ROZMOWA „DO RZECZY"

Marcin Romanowski bez pardonu o przestępstwach bodnarowców

Co wiadomo o tworzeniu Legionu Ukraińskiego w Polsce

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 30/588 22–28 LIPCA 2024

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

IGRZYSKA OLIMPIJSKIE 2024

ODSŁANIAMY LISTĘ NAGRÓD DLA POLSKICH MEDALISTÓW

PARIS 2024

Czy warto podnieść limit alkoholu we krwi kierowców z 0,2 do 0,5 promila?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 46 800 egzemplarzy

DYPLOMATA BIDENA USTAWIA POLSKI RZĄD

Ambasador USA Mark Brzezinski twardo wspiera u nas lewicową ideologię

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

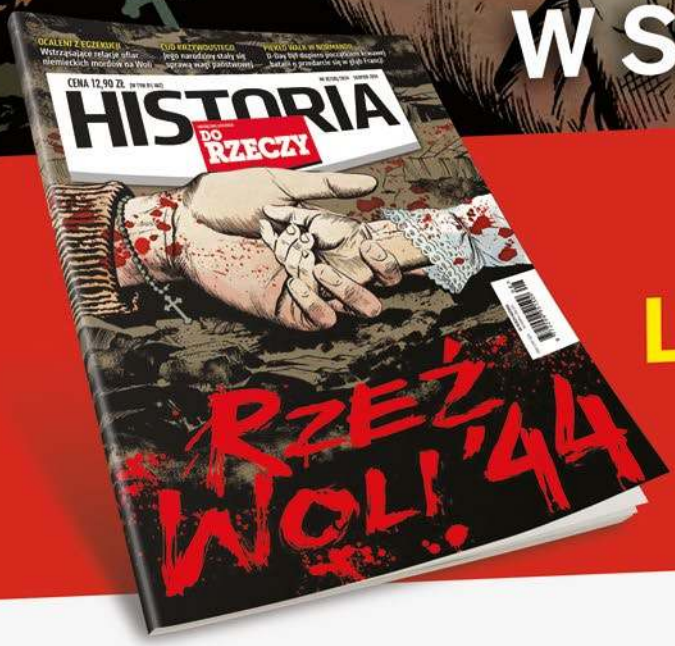

NIEMIECKIE LUDOBÓJSTWO NA WOLI

Zgładzona dzielnica – Piekło tamtych mordów przyćmiewa wszystkie inne niezliczone zbrodnie popełnione w sierpniu i we wrześniu 1944 r. na mieszkańcach stolicy Polski

„To Bóg mnie tak poprowadził" – Cudownie ocaleni z zagłady Woli do końca życia dawali świadectwo o cierpieniach polskich ofiar

Niezwykłe narodziny syna Marsa – Czy przyjście na świat Bolesława Krzywoustego było efektem interwencji św. Idziego?

Licytacja Piłsudskiego – Sto dziesięć lat temu oddziały strzeleckie wyruszyły na wojnę z Rosją. Dziesięć dni później powstały Legiony Polskie

Cesarz legenda – Barbarossa był ostatnim niemieckim władcą, który usiłował zrealizować wizję uniwersalnego cesarstwa w starym stylu

Swastyka i trójząb – Pod koniec wojny dość nieoczekiwanie drogi Niemców zeszły się ze ścieżkami jednego z ich dotychczasowych wrogów – UPA

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl f8bc18ad72

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Gambit Orbána

To, że obecnie rządząca Polską Platforma jest prostym narzędziem globalistów waszyngtońskich, jest czymś oczywistym. Ministrowie rządu biegają niczym chłopcy na posyłki do miejscowego, warszawskiego ambasadora USA, wdzięcznie przyjmując od niego pouczenia i rozkazy. Z tego punktu widzenia wysłanie do Waszyngtonu byłego ministra obrony Bogdana Klicha, który ma być kierownikiem placówki (cokolwiek by to znaczyło), człowieka, który wsławił się tym, że nazywał Donalda Trumpa obsesjonatem, osobą niezrównoważoną i w gruncie rzeczy wariatem, stanowi jedynie dopełnienie katastrofy polskiej dyplomacji, która stała się zabawką w rękach Radosława Sikorskiego. W wolnych chwilach minister prowadzi grę eskalacyjną z Putinem, a to opowiadając o zestrzeliwaniu rakiet rosyjskich (czego stanowczo nie wyklucza), a to chełpiąc się tłumami ukraińskich ochotników, zapisujących się do ochotniczego legionu, powołanego (lub niepowołanego) przez Donalda Tuska. Co do tego zatem, że Platforma po prostu markuje uprawianie polityki, złudzeń mieć nie można.

Kiedy jednak obserwuję nadciągające coraz wyraźniej – w miarę, jak czymś nieuchronnym staje się wybór na prezydenta USA Donalda Trumpa – geopolityczne przesilenie, widzę również jak na dłoni błędy polityków PiS. Jeszcze kilka lat temu, kiedy Trump był prezydentem i przyjechał do Polski, mogło się wydawać, że będzie inaczej. Po wystąpieniu w Warszawie widać było, że Trump gotów jest postawić na Polskę jako na swego głównego sojusznika w Europie. Nie da się ukryć, że obecnie taką rolę, kluczowego podmiotu i najważniejszego polityka w Europie, zaczyna pełnić nie kto inny jak premier Węgier Viktor Orbán.

Węgierski polityk nawet po przegranej Trumpa w wyborach w 2020 r. dbał o jak najbliższe kontakty z przywódcą republikanów. Podobnie jak Trump definiował główne zagrożenie dla Zachodu, a więc ideologię globalistyczną. Kluczowe z tego punktu widzenia było zachowanie Orbána po lutym 2022 r., kiedy to – całkiem inaczej niż Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki – nie wspierał bezkrytycznie narracji amerykańskich demokratów odnośnie do wojny na Ukrainie i nie rzucił się w ramiona Joe Bidena, jako wybawcy przed Moskwą. Nie zrywał mostów w relacjach z Rosją i cały czas grał na różnych fortepianach. A przede wszystkim, podobnie jak Trump i jego otoczenie, szybko zrozumiał to, czego polscy politycy nie przyjmowali do wiadomości: wojna na Ukrainie jest zastępczym starciem kierowanego przez neokonserwatystów Waszyngtonu z Moskwą.

Ukraińcy w tej rozgrywce zostali użyci po to, by osłabić Rosję, a opowieść o imperialistycznym, koniecznym, niepowstrzymanym parciu Rosji na Zachód stała się retoryczną narracją dla zmobilizowania poparcia Europy dla neokonserwatywnej polityki wojennej. W istocie – jak zauważył słusznie Trump i co podkreślał Orbán – niezależnie od tego, że Rosja jest agresorem, NATO w dużym stopniu przyczyniło się do wywołania konfliktu. Ten zaś może nie tylko wyrwać się spod kontroli, lecz także, w ostateczności, jest dla USA i Zachodu niekorzystny. Im dłużej trwa wojna na Ukrainie, tym Rosja nie staje się słabsza, lecz silniejsza. Podobnie coraz większej spójności nabiera sojusz chińsko-rosyjski, wokół którego gromadzą się inne państwa.

A skoro tak, to dalsza eskalacja nie ma – z amerykańskiego, a także europejskiego punktu widzenia – sensu. Co ciekawe, do tego wniosku dochodzą również kolejni politycy wcześniej bezkrytycznie popierający przekaz Waszyngtonu, jak Petr Pavel, prezydent Czech, który zauważył, że wiara w militarne odbicie zajętych przez Rosjan terenów jest iluzją i że konieczne są negocjacje.

Łatwo zauważyć, że jedynym politykiem, który może je realnie prowadzić, jest ni mniej, ni więcej właśnie premier Węgier. Jako jedyny bowiem może rozmawiać tak z Moskwą, jak z Kijowem, Pekinem i Waszyngtonem, rządzonym już wkrótce przez Donalda Trumpa. Komisja Europejska może go lekceważyć, eurokraci mogą wyszydzać, nie zmienia to tego, że prędzej czy później, a dokładnie od listopada, będą musieli grzecznie położyć uszy po sobie i dostosować się do zmiany układu sił, w którym to Orbán będzie rozgrywającym. To, że taka zmiana nastąpi, pokazuje także nominacja przez Trumpa na wiceprezydenta J.D. Vance'a, jednego z najsurowszych krytyków wsparcia militarnego i gospodarczego dla Ukrainy.

Dysponując słabszymi kartami, Viktor Orbán zbudował Węgrom pozycję nadzwyczajną. Mając w ręku nieporównywalnie większe atuty, Polska zrobiła to, co zawsze: dała się zapędzić w pułapkę bezalternatywności. Orbán grał i wybierał, Polska nie miała wyboru i musiała. Przez Waszyngton była używana do dyscyplinowania nie dość entuzjastycznych państw europejskich. Nie potrafiła wykorzystać sprzyjających okoliczności do postawienia sprawy ekshumacji ofiar Wołynia lub powstrzymania kultu banderowców. Zamiast tego polscy politycy ulegli ułudzie opowieści o dziejowej przyjaźni z Ukrainą i twierdzili w najlepsze, że wojna w Donbasie to „nasza wojna". ©℗

eprasa.pl f8bc18ad72

TEMAT TYGODNIA

16 KAROL GAC
NADAMBASADOROWIE
Dyplomata Bidena ustawia polski rząd

20 WOJCIECH GOLONKA
AMERYKAŃSKA CENZURA NAD WISŁĄ

KRAJ

24 ROZMOWA Z DR. MARCINEM ROMANOWSKIM
TUSK, BODNAR, MYRCHA BĘDĄ MUSIELI ZA TO ODPOWIEDZIEĆ
Za nadużycie władzy grozi do 10 lat więzienia

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KOALICJA NIEZGODY

30 PIOTR SEMKA
WTOPA 12 LIPCA, CZYLI ANATOMIA PRZEGRANEJ

33 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
GRANICA NIEPOKOJU

KULTURA

36 PIOTR SEMKA
GUERCINO – NIESPOTYKANIE SPOKOJNY GENIUSZ
Wystawa prac włoskiego mistrza

NIE PRZEGAP

39 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 ROZMOWA Z MICHAŁEM OSTROWSKIM
BEZPRAWIE NIE MOŻE POZOSTAĆ BEZKARNE
Prokuratura pod rządami Adama Bodnara

48 ŁUKASZ WARZECHA
ZMARNOWANA SZANSA

51 LESZEK GALAROWICZ
ZIELONE ŚWIATŁO DLA BEZPRAWIA

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
MINISTRANT BIDENA?

54 ŁUKASZ ZBORALSKI
CZY WARTO PODNIEŚĆ LIMIT ALKOHOLU WE KRWI KIEROWCÓW Z 0,2 DO 0,5 PROMILA?

HISTORIA

56 GRZEGORZ MAJCHRZAK
NA OLIMPIADĘ DOJECHAŁA TYLKO SB
Kiedy sport przegrywa z polityką

ŚWIAT

60 JACEK PRZYBYLSKI
KTO SIĘ BOI TRUMPA?
Jak może zmienić świat zwycięstwo kandydata republikanów

64 PIOTR GOCIEK
GWIAZDA BIDOKÓW

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
CO WIADOMO O TWORZENIU LEGIONU UKRAIŃSKIEGO W POLSCE

EKONOMIA

68 JAKUB WOZINSKI
CZYSTY TRANSPORT W IMPASIE
Rośnie sprzeciw wobec prób wyrugowania aut spalinowych

SPORT

72 ROZMOWA Z RADOSŁAWEM PIESIEWICZEM
PARYŻ 2024: STAWKA JEST WYSOKA
Chciałbym, żeby medali było więcej niż w Tokio

WAKACJE Z „DO RZECZY"

74 JACEK PAŁKIEWICZ
MASOWY TRANSPORT LOTNICZY
Podróże z Pałkiewiczem

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl f8bc18ad72

TYGODNIK POLSKI
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Darek Delmanowicz/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 800 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Czas Kaczyńskiego dobiegł końca", rozmowa z Janem Krzysztofem Ardanowskim, „DRz" nr 28/2024

Szanowna Redakcjo,
z wielką uwagą i zainteresowaniem przeczytałem wywiad z Panem Ministrem Janem Krzysztofem Ardanowskim, zwłaszcza że z wieloma jego opiniami i postulatami się zgadzam. Choć oczywiście nie ze wszystkimi, a zwłaszcza ze stwierdzeniem, że projekt polityczny, którym jest PiS, się skończył. Jako mocno starszy obserwator życia politycznego (86+), który nigdy nie należał do żadnej partii, z dumą stwierdzam, że od ponad 30 lat głosuję na PC/PiS. Widziałem i reagowałem na błędy, zwłaszcza na „piątkę dla zwierząt", którą ktoś doradził Prezesowi. Pisałem wtedy ostro na Nowogrodzką, choć wątpię, by mój mail dotarł do Prezesa.

Pamiętam, że w tym mailu podkreślałem stratę Ministra Ardanowskiego, najlepszego ministra rolnictwa, zwłaszcza że po nim kierownictwo resortu objął – jak się wydaje – najgorszy minister w historii.

Nie wiem, czy są szanse na kolejne samodzielne rządy, ale na pewno w zasięgu naszych możliwości są rządy koalicyjne i w tym kierunku należy pracować. Sądzę, że zarówno z PSL, jak i z Konfederacją moglibyśmy się porozumieć, tylko trzeba nad tym konsekwentnie pracować.

Siłą PiS była zwartość szeregów partyjnych i rozbicie tej jedności przed wyborami prezydenckimi uważam za błąd. Myślę, że mogę napisać, że dwóch kandydatów centroprawicy to gwarancja oddania prezydentury w ręce lewacko-proniemieckiej partii.

A druga sprawa, z którą się nie zgadzam, to kilkakrotnie wyrażana przez Ministra Ardanowskiego opinia, że żadnych przedterminowych wyborów nie będzie?! Coraz gorsze wyniki finansowe rządów tej koalicji, wzrost cen i inflacji, masowe zwolnienia, czyli bezrobocie, tortury aresztowanych niewinnych ludzi, coraz ostrzejsza walka z Kościołem (który niestety milczy), coraz ostrzejsza pedagogika wstydu (casus Muzeum II Wojny Światowej), jawna promocja aborcji i homoseksualnych związków małżeńskich, niezadowolenie na wsi, zmniejszenie wsparcia dla wojska itd. spowodują, że – moim zdaniem – już na jesieni sytuacja sama dojrzeje do przedterminowych wyborów.

Z poważaniem dla Redakcji i Pana Ministra
Tadeusz Szostak

Danucie Holeckiej
i Krzysztofowi Dunin-Holeckiemu

wyrazy najgłębszego współczucia
z powodu śmierci syna

ŚP.

Juliana Dunin-Holeckiego

składają przyjaciele z tygodnika „Do Rzeczy"

eprasa.pl f8bc18ad72

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Zadecydować musi Ukraina

Prezydent Ukrainy, Wołodymyr Zełenski, skupił uwagę światowych mediów, deklarując niedawno, że w czasie tzw. drugiego szczytu pokojowego powinna być obecna delegacja Federacji Rosyjskiej. Powszechnie przyjęto to jako wstęp do przyjęcia przez Kijów możliwości rozmów z przedstawicielami Kremla na spotkaniu, które ma odbyć się w listopadzie.

Informacja ta wywołała niezwykłe ożywienie wśród tych polskich polityków i publicystów, którzy przez ostatnie dwa lata krytycznie oceniali upartą obronę Ukrainy przed rosyjskim agresorem. Przykładowo Sławomir Mentzen, jeden z liderów Konfederacji, ogłosił: „Bardzo dobrze, że Ukraina chce w końcu pokojowych rozmów z Rosją. Ta wojna nie ma militarnego rozwiązania, które jest korzystne dla Ukrainy. Jedyne wyjście to metody dyplomatyczne. Na to oczywiście najlepszy moment był prawie dwa lata temu. Wtedy każdy, kto o tym pisał, kto uważał, że czas będzie grał na korzyść Rosji, a przedłużanie wojny będzie kosztować zupełnie niepotrzebne setki tysięcy ofiar, był ruską onucą. Teraz onucą [...] został sam Zełenski".

Efektowny bon mot, tyle że kulą w płot. Gdyby Ukraina nie przeszła dwuletniej epopei stawiania oporu wobec agresji Moskwy, byłaby dzisiaj państwem o złamanym kręgosłupie moralnym, które bardzo łatwo mogłoby znaleźć się na równi pochyłej powrotu w sferę rosyjskich wpływów. Zmuszenie Kijowa przez zachodnich dyplomatów do podjęcia negocjacji z Putinem już na początku wojny było wymarzonym scenariuszem Kremla. Gdyby do rozmów wtedy doszło, nie byłoby odbicia dużej części rejonu charkowskiego i okolic Chersonia. Ukraińska armia nie otrzymałaby nowoczesnego sprzętu. A Rosjanie nadal posiadaliby większość armii, która zaatakowała Ukrainę 24 lutego. I niewykluczone, że gdyby nawet doszło do jakiegoś zawieszenia broni, to nienaruszona w dużym stopniu armia rosyjska przygotować by się mogła do kolejnego ataku, do którego sowiecka dyplomacja na pewno znalazłaby jakiś pretekst.

Wołodymyr Zełenski w dużym stopniu roztrwonił kapitał sympatii, który Polacy udzielili mu osobiście i jego narodowi w pierwszych miesiącach po ataku Rosjan. Nie zmienia to jednak tego, że pod względem strategicznym podmiotowość Ukrainy wobec Rosji nadal jest dla Polski kwestią pierwszorzędną. I nie jest prawdą, że Ukraina jest zabawką zachodnich macherów politycznych, którzy zmuszają ją do walki wbrew jej naturalnym interesom. Mój kolega redakcyjny Piotr Włoczyk trafnie wskazał: „Nikt nie zmuszał i nie zmusza Ukrainy do stawiania oporu. Dopóki oni sami chcą walczyć o swoje państwo, dopóty ubolewanie nad ich stratami brzmi dziwnie". Nie wolno też zapominać, ile swego potencjału militarnego przez ten czas wytraciła Rosja. Dla Polski nie powinno to być obojętne. Ukraina poniosła w tej wojnie ogromne straty i to jej prezydent ma prawo decydować, kiedy przystąpić do rozmów i jaką cenę zapłacić za pokój. I powinniśmy to prawo wyboru Ukraińców szanować. ©℗

FOT. JEAN-FRANCOIS BADIAS/AP/EAST NEWS

VON DER LEYEN PONOWNIE SZEFOWĄ KOMISJI EUROPEJSKIEJ

Ursula von der Leyen została ponownie wybrana na przewodniczącą KE. Za jej kandydaturą zagłosowało 401 europosłów, 284 było przeciw, a 50 wstrzymało się od głosu. Niemka będąca twarzą Zielonego Ładu zapowiedziała, że podczas kolejnej pięcioletniej kadencji będzie zabiegać m.in. o utrzymanie celów klimatycznych i obniżenie emisji CO_2 o 90 proc. do roku 2040.

eprasa.pl f8bc18ad72

Dziwne podobieństwo – jakoś tak w czasie, gdy pojawiły się wiadomości o polskich sportowcach wybierających się na igrzyska złapanych na dopingu, ludzie nowej Lepszej Zmiany postanowili zapakować do ciupy byłego wicka sprawiedliwości, Marcina Romanowskiego. Nas to podobieństwo nie dziwi. I w sporcie, i w polityce zdarzają się ludzie, którzy bez łamania prawa nic nie potrafią osiągnąć.

Drobna ciekawostka sprzed sali sądowej, w której orzekano w sprawie aresztu dla Marcina Romanowskiego. Otóż prokurator wyznaczony do bronienia wniosku aresztowanego nie był tym faktem specjalnie zachwycony. Pod nosem rzucał najgorsze wyrazy, i to po kilka razy. Nie dziwimy się. Gdyby nam powiedziano, że impreza, na którą szykowaliśmy się na jutro, jest już dziś, też nie bylibyśmy zachwyceni.

Sama rozprawa długo nie trwała. Sędzia Pomianowska olała długi wniosek prokuratury, ograniczając się do stwierdzenia, że Romanowskiemu nie uchylono immunitetu Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Nie odniosła się w ogóle do innych argumentów neoprokuratury. Dokładnie tak samo wyglądało uzasadnienie pisemne. Bodnar i Korneluk mają teraz pod górkę. Chcąc zaskarżyć postanowienie, będą musieli zwrócić się przeciw mateczce Europie.

Nie możemy się doczekać oficjalnej reakcji rządu przeciw całemu temu Zgromadzeniu Parlamentarnemu Rady Europy. Po pierwsze – otoczyć siedzibę policją i wyłączyć sygnał. Po drugie – łomami rozwalić szafy pancerne w poszukiwaniu tych tzw. immunitetów. Po trzecie – ustanowić likwidatora zgromadzenia, a najlepiej całej Europy. No bo skoro Zły Donald z Sopotu ogłosił, że immunitet Romanowskiego jest „wątpliwy", i coś tam majaczył o gangsterach, to mateczka Europa powinna drżeć teraz przed jego gniewem.

Tak czy inaczej swąd poniósł się po całej Europie. Może właśnie z tego powodu Bodnar na ostatnich posiedzeniach rządu jest jakoś dziwnie smutny i ust nawet nie otwiera. Owemu smutkowi wcale się nie dziwimy. Szanse na zostanie sędzią Europejskiego Trybunału Praw Człowieka dramatycznie spadły. Podobnie jak szanse na załapanie się na sędziego TSUE. A to oznacza, że Bodnarowi w przyszłości immunitet będzie uchylał tylko zwykły polski Sejm.

Tymczasem w Ameryce. Zakończyła się konwencja Donalda Trump w Miłłoki, czy jak to się tam pisze. Byli tam i nasi. Na konwencję ciupasem wysłano dwóch ministrów z kancelarii Andrzeja Sebastiana, czyli Marcina Mastalerka oraz Wojciecha Kolarskiego. Złe języki mówią, że wysłano aż dwóch, bo jeden z nich nie bardzo posiadł lengłydż, a drugi – owszem. Zachodzimy w głowę, który jest który.

Z okazji konwencji w Miłłoki postanowiliśmy rozszerzyć repertuar naszych żartów wycieczką o dokonania międzynarodowe. Oto próbka: Joe Biden – Joe Bye Den – Joe Bye Then. No bo jak tu nie kibicować Dobremu Donaldowi z Waszyngtonu, który na swojego przyszłego wicka wyznaczył gościa, który uważa, że Tusk jest takim małym wschodnioeuropejskim satrapą?

Wysłano tu i ówdzie także niejakiego Radka Sikorskiego. Szef resortu dyplomacji na parę chwil został nawet z tej okazji Donaldem. Ale nie tym dobrym, z Ameryki, tylko Złym Donaldem z Sopotu.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Otóż Donald z Sopotu nie pofatygował się na odbiór jakiejś tam nagrody w Londynie. Zastąpił go więc Zły Radek z Chobielina. Dlaczego łasy na pochlebstwa DzS zrezygnował z honoru? Złe języki mówią, że obawiał się pytań dociekliwych Brytoli o praworządność w Polsce. Bo w samym Londynie owszem, był. Czemu nie? Tylko po nagrodę nie poszedł.

Na moment wracamy na kierunek amerykański. Wiecie, dlaczego w takim pośpiechu niejaki Klich wypychany jest do USA w charakterze nędznej atrapy Magierowskiego? Otóż złe języki opowiadają, że podobno idzie o to, by szybko zwolniło się po Klichu miejsce w Senacie. Fotel ów miano bowiem obiecać niejakiemu Mazurowi, w zamian za wycofanie się z kandydowania na prezydenta Krakowa. Co prawda, poparcie miał znikome, ale i tak wystarczające, by zabrać ze 2 proc. Miszalskiemu. No a takie drobiazgi zdecydowały ostatecznie o zwycięstwie Miszalskiego.

Bruksela. Nowi europosłowie już się wprowadzają do gabinetów, dawni się już wyprowadzili. Co ciekawe, niektórzy nie musieli się wyprowadzać daleko, gdyż w trakcie posługi europejskiej zdążyli sobie kupić mieszkania w Brukseli. Pochwalamy tę zaradność. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek wróci na salony, a w tzw. międzyczasie nic się nie zmarnuje, zawsze można wynająć.

Największą gwiazdą wśród nowych eurodepów jest oczywiście Grzegorz Braun. I tu ciekawostka – to nie jest tak, że nie trafił do żadnej frakcji, bo go nie chciano. Słyszeliśmy, że podjął decyzję o pozostaniu posłem niezależnym całkowicie świadomie. Gdyż w takiej sytuacji ma się największe fundusze na promocję – nie trzeba dzielić się z frakcją.

Tymczasem w Polsce. Usłyszawszy, że Jan Krzysztof Ardanowski zakłada nową partię, która nie jest PiS-em, Konfederacja zaproponowała mu miejsce u siebie. Ardanowski na razie podziękował. Na razie liczba rozczarowanych z PiS, którzy chcą do niego iść, jest większa niż konfederatów w Sejmie. Ale czy telefony z deklaracjami zamienią się we frondę – tego jeszcze nie wiadomo. ©℗

eprasa.pl f8bc18ad72

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Eurogierek

Organizacja WindEurope dopisała ciekawy ciąg dalszy do mojego starego tekstu o podobieństwach „polityki klimatycznej" Unii Europejskiej do gierkowskiego „planu Wisła" i – szerzej – zarządzania obecną UE do dawnych „demokracji ludowych". Otóż wspomniana organizacja alarmuje, że już ponad 500 GW „zielonych" mocy z wiatraków marnuje się, gdyż postawione, gotowe do pracy wiatraki nie są przyłączane do sieci. Nie tylko w krajach „nowej Europy", takich jak Polska, gdzie byłoby to wybaczalne, lecz także w unijnych mocarstwach, z Niemcami na czele. Oburzeni eksperci organizacji winią za to biurokrację – złe, przewlekłe procedury certyfikowania, niepotrzebne utrudnienia w przepisach itd. Zapewne jest to odpowiedź, ale nie cała. Całej udzielić publicznie – strach.

Ja tam się nie boję, więc podzielę się domysłem, że mnożenie biurokratycznych oporów ma realną przyczynę. Wiatraki i inne tzw. OZE (poza turbinami wodnymi) są niestabilnymi źródłami energii. A sieć energetyczna niczego tak nie potrzebuje, jak stabilności. Kiedy wiatr wieje, trzeba zmniejszać produkcję z elektrowni tradycyjnych; gdy cichnie – zwiększać. Dlatego Chińczycy na każdy GW z wiatru czy słońca budują 2 GW z węgla i wtedy się to spina. A w Europie? Stawiać wiatraki, stawiać jak najwięcej – a tradycyjne elektrownie wyłączać! „Nie mamy planety B"! Kto wynajduje jakieś przeszkody, sieje defetyzm, ten faszysta, putinista i negacjonista klimatyczny – na stos z takim!

Co mają robić ludzie odpowiedzialni „na dole", żeby mimo wszystko jakoś to działało? Przecież nie powiedzą: „To wszystko to jest do d..y", tak jak Gierkowi nie mógł nikt powiedzieć, że wielkie socjalistyczne projekty się nie spinają. Więc robią to samo, co się robiło w „realnym socjalizmie". Opóźniają co grubsze idiotyzmy, a w razie potrzeby mówią: „Robimy, towarzyszu sekretarzu, staramy się! Są pewne przejściowe obiektywne trudności, mamy pewne takie bolączki, przez co się opóźnia, podwykonawcy zawalają, ale w naszym departamencie robimy, co się tylko da". Pod nosem wzdychając: „I żeby to tylko nie pie…..ęło na mojej zmianie…". ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Antyfaszyzm w natarciu

Wydaje się, że są rzeczy, które powinny stanowić moralne spoiwo Rzeczypospolitej i w szczególności moralne spoiwo prawicy. Dla prawicy bowiem wartości Rzeczypospolitej powinny być nie tylko wartościami deklarowanymi, lecz także przeżywanymi. Wartości te to przede wszystkim solidarność i tradycja narodowa, jak również np. antykomunizm jako doświadczenie.

Tymczasem na ostatnim posiedzeniu Sejmu Konfederacja (wbrew całemu Sejmowi) zagłosowała przeciw uchwale upamiętniającej deportację Tatarów krymskich, bo – jak uzasadniła – „fałszem jest pisanie o jakimś ich bezcennym wkładzie w dziedzictwo narodowe Rzeczypospolitej albo o wielu wiekach pokojowego współżycia Tatarów krymskich z narodem polskim czy z Rzecząpospolitą".

O wiekach historii Tatarów polskich (będących gałęzią krymskich) można by przez pół numeru pisać. Tu przypomnę jedynie, że tatarski rząd gen. Macieja Sulkiewicza (pochodzącego zresztą z Lidzkiego, nie z Krymu) zwrócił się w czasie rosyjskiej wojny domowej o udzielenie Polsce mandatu Ligi Narodów do władzy zwierzchniej nad Krymem. W tym czasie polscy Tatarzy (Kryczyńscy, Sulkiewicze właśnie i inni) bronili – jak cały naród – Rzeczypospolitej przed bolszewikami.

Opowiem tu jeszcze prywatną historyjkę. Przez jakiś czas dzieci mieszkały u nas na wsi, a my u nich, na Woli. Wtedy pierwszy raz (człowiek najmniej zna miejsca, które są blisko) udało mi się odwiedzić cmentarz tatarski na Powązkach. Wchodzę i pierwszy grób, który widzę (z arabskimi inskrypcjami), to mogiła Jerzego Edigeya. W czasach PRL tego znanego autora kryminałów, a przed wojną jednego z czołowych działaczy młodonacjonalistycznych, wywieziono w pierwszym transporcie do Berezy Kartuskiej.

Sami Tatarzy krymscy byli deportowani, mordowani i wymazywani z historii w ramach bolszewickiego antyfaszyzmu. Ale na konwergencję z takimi ideowymi atrakcjami Konfederacja powinna być chyba odporna. ©℗

eprasa.pl f8bc18ad72

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O najpiękniejszej

W Italii upały okrutne. Mam podejrzenia graniczące z pewnością, że antycyklon afrykański najbardziej zaszkodził rozgrzanym żandarmom poprawności politycznej z wydziału feministycznego.

6 czerwca zapatrzeni w futbol Włosi nagle odkryli, że posiadają znakomitą tenisistkę. Dwudziestoośmioletnia Jasmine Paolini pochodzenia włosko-polsko-nigeryjskiego sensacyjnie awansowała do finału wielkoszlemowego turnieju w Paryżu. Gładko przegrała z Igą Świątek, ale podbiła serca całej Italii, a pewnie i naszych polskich kibiców za przesympatyczne wywiady po polsku.

Paolini to korpulentny kłębek mięśni, ma 164 cm wzrostu, tryskający dynamiką i entuzjazmem na korcie, a poza nim zaraźliwym śmiechem, uśmiechem, radością życia i skromnością. Awans do finału w Paryżu Włosi małej wiary uznali za zbieg sprzyjających okoliczności. Jednak miesiąc później dziewczyna jako pierwsza Włoszka zameldowała się w finale legendarnego turnieju na Wimbledonie. „La Gazzetta dello Sport" dzień przed meczem wyszła z wielkim zdjęciem radującej się Jasmine na pierwszej stronie na tle serca we włoskich barwach narodowych z napisem: „Jasmine – mistrzyni normalności". Pod tym hołdem tytuł „Belissima" („Najpiękniejsza"). I o ten tytuł poszło. Rozpętało się piekło.

Popisując się rewolucyjną czujnością, włoska żandarmeria politycznej poprawności natychmiast zmasowanym atakiem w mediach i w Internecie natarła na sportowy dziennik: „Seksizm! Męski szowinizm! Patriarchat! Hańba! Wstecznictwo!". Kłótnia rozlała się na cały kraj. Nawiedzeni pałkarze i pałkarki poprawności wywodzili, że tytuł „Belissima" to niedopuszczalna estetyczna ocena wartościująca, dla której nie ma miejsca w sporcie. Bardzo ich też oburzyło, że dziennik zwraca się do tenisistki po imieniu. Paternalizm!

Naturalnie Jasmine Paolini poświęcona jej niemal w całości pierwsza strona „GdS" bardzo się spodobała. Ale funkcjonariuszom zideologizowanej policji obyczajowej to w niczym nie wadzi. Wiedzą lepiej. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl f8bc18ad72

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

AKTOR ROZUMIE LEPIEJ

Daniel Olbrychski udzielił tzw. dużego wywiadu o wszystkim. Bo i o PiS, i o Kościele, a także o przewadze aktorów nad dziennikarzami. Przyznał, że lubi głośno wyrażać swoje poglądy i nie interesuje go szczególnie opinia innych. „Po prostu jeśli ktoś ma inne poglądy niż ja i mnie nie lubi, to czytając moje wypowiedzi, będzie miał do mnie jeszcze mniej sympatii. I tak to działa w przypadku wyznawców PiS. Wielokrotnie z ich ust padały obelgi w moją stronę. Ale nie przeszkadza mi to. Nie da się być lubianym przez wszystkich. Przynajmniej wiem, że mam z kim walczyć na argumenty. Sytuacja, kiedy wrze w kociołku, jest dla mnie ekscytująca" – stwierdził w rozmowie z Plejadą. Według Daniela Olbrychskiego bzdurą jest twierdzenie, że aktorzy nie powinni wypowiadać się na temat polityki. Ba, wręcz powinni. „A w czym aktorzy są gorsi od innych? Przecież my mamy kontakt z największą literaturą, jaka została napisana w historii cywilizacji. I starożytni Grecy, i Szekspir, i nasi wielcy klasycy – Mickiewicz, Słowacki, Norwid i Krasiński – w swoich dziełach reagowali na to, co działo się w kraju i na świecie. Często prezentowali ostre stanowiska i wyraziste przesłania. Aktorzy przepuszczają je przez siebie, są ich nosicielami" – przekonuje. „Uważam, że przez to, że tak często korzystamy z bogactwa literatury, mamy przewagę nad innymi. Ktoś, kto kilkaset razy zagrał Makbeta czy króla Leara, rozumie pewne rzeczy lepiej i głębiej niż nawet najbardziej wnikliwy dziennikarz" – wskazał Olbrychski. Czy myślał kiedyś o wejściu do polityki? Przyznał, że takie propozycje były, ale nie był zainteresowany. „Mam ciekawsze rzeczy do robienia. Wierzę, że większy pożytek jest ze mnie na planie filmowym czy w teatrze. Wolę zajmować się tym, co potrafię najlepiej. Myślę, że zanudziłbym się na śmierć w sejmowych ławach. Albo jeszcze komuś dałbym w zęby" – podsumował gwiazdor. Olbrychski bardzo by do naszego Sejmu pasował – byłby posłem obrotowym. Raz Azja Tuhajbejowicz, a raz Kmicic.

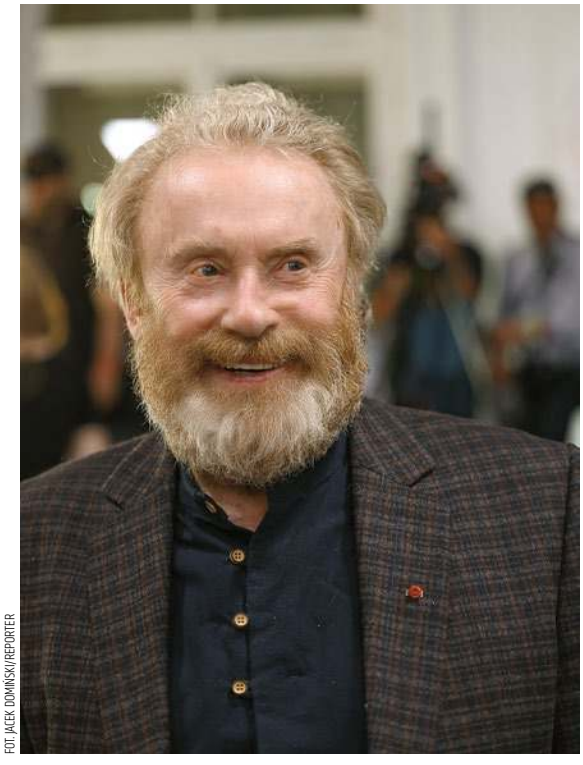

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

SAMO GĘSTE OD DANIELA

Prawdziwa jazda rozegrała się jednak w dalszej części wywiadu. Wiedzieliście, że żona Daniela Olbrychskiego startowała do europarlamentu z list KO? To już wiecie. „Krysia od lat należy do Platformy Obywatelskiej. Wystartowała w ostatnich wyborach samorządowych do rady powiatu i odniosła sukces. Ci, którzy układali listy na wybory do europarlamentu, stwierdzili, że ma potencjał i zbierze dużo głosów. Zapytano ją, czy jest chętna. Ona stwierdziła, że jeśli może pomóc, to z chęcią to zrobi. Startowała z szóstej pozycji. Zwykle wygrywają jedynki, czasem dwójki. Mieliśmy więc świadomość, że ta gra nie toczy się o mandat. Chodziło o to, by głosy oddawane na Krysię wzmocniły listę Koalicji Obywatelskiej. I tak też się stało" – przyznał aktor, który jednocześnie nie może pojąć, że PiS ma wciąż dużą grupę wyborców. „Że tacy ludzie, jak Obajtek, Kamiński i – bodajże – Wąsik, weszli do europarlamentu. Trudno mi zapamiętać nazwiska tych nieciekawych facetów. Mam nadzieję, że żadnego nie przekręciłem. Fakt, że ci właśnie przestępcy ciągle cieszą się poparciem, budzi we mnie gniew. Przecież to dowód na głupotę sporej części naszego społeczeństwa" – grzmi Olbrychski. Na koniec samo gęste. „Nie rozumiem, jak można lekceważyć to, co coraz głośniej powtarzają wybitne jednostki. Mianowicie, że PiS to grupa przestępcza zorganizowana przez Moskwę" – wskazał aktor. Samo gęste.

POLACY NIE DOROŚLI

Pozostając w wątku aktorskim – aktorka Julia Kamińska wyznała, że ma już dość czekania na liberalizację przepisów dotyczących aborcji i związków jednopłciowych. – Szczerze – ta dyskusja mnie tak wk..wia, że się wyłączyłam – i nie ma innego słowa lepiej opisującego mój stan. Czasami nie jestem w stanie tego wszystkiego słuchać. Jestem za równością małżeńską, jestem pro-choice. Przykro mi, kiedy uświadamiam sobie, jak bardzo zabetonowana w tych tematach jest Polska – stwierdza. – Ostatnio rozmawiałam z przyjaciółmi z Włoch i tłumaczyłam im, że nie, u nas nie ma aborcji, trzeba jechać za granicę – a nawet, kiedy ustawowo zabieg przysługuje, często mnoży się problemy i przymusza do rodzenia, i że zdarza się, że kobiety umierają, bo odmawia się im aborcji, że prawa płodu są w Polsce ważniejsze niż prawa kobiety – mówi Kamińska. Problemem są nie tylko politycy, lecz także polskie, zaściankowe społeczeństwo. – Zrobiłam ostatnio numer z drag queen Polish Removeher, daliśmy świetny show, fotkami pochwaliłam się w sieci i po raz kolejny zdziwiłam się, ile wokół nas jest homofobii. Kiedy szłam z inną drag queen – Polka Dot – w centrum Warszawy, nie było ani jednej osoby, która by na nas ostentacyjnie nie patrzyła, nie reagowała okrzykami i zaczepkami. To było nieprawdopodobne, jakie to emocje wzbudzało wśród ludzi – wspomniała Julia Kamińska. Ech, ci Polacy... ©℗

eprasa.pl f8bc18ad72

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jako iż wielu z was pewnie podróżuje, miewa różne refleksje i zastanawia się, jakim typem podróżnika jest, przygotowaliśmy krótką psychozabawę, której wyniki są of kors niezobowiązujące, ale być może pomogą wam uzyskać wgląd w siebie i uzyskać odpowiedź na pytanie, jakim typem podróżnika jesteś.

1) Na plaży najczęściej:

a) po prostu leżysz, opalasz się, palisz papierosy i słuchasz głośno muzyki przez głośniczek Bluetooth; **b)** stoisz, mocząc stopy w wodzie, wpatrujesz się w horyzont i myślisz, jak bardzo nienawidzisz Szwedów, wrzucasz w morze pierścień i odchodzisz; **c)** urządzasz pogrzeb muszelkom wyrzuconym na brzeg, przepraszając ich zmarłych właścicieli za ludzką dominację nad Bałtykiem; **d)** narzekasz na drożyznę, jecie z grupą frendów/rodziną jeden gofr na 10 osób, a kiedy nikt nie widzi, wnosisz własne piwo do beach baru.

2) Kiedy jesteś w górach, to:

a) nie chodzisz męczyć się pod górę, spędzasz ten czas w modnym kurorcie, na głównej ulicy, na zakupach w H&M; **b)** zdobywasz najwyższy szczyt, zatykasz na nim polską flagę, pełen dumy z góry patrzysz na naszą piękną ojczyznę; **c)** jesteś zszokowany, iż na świecie może być tyle nierówności; **d)** pakujesz w siatę z biedry browary, kanapki i sandały na zmianę, wychodzisz nawet ponad piętro lasu, ale dostajesz zadyszki, postanawiasz odciążyć swój bagaż, wypijasz browary, zasypiasz pod kosodrzewiną.

3) Zwiedzając muzea:

a) zastanawiasz się, jak ta babka z jakimś śmiesznym pieskiem wyglądałaby na ścianie w twoim salonie; **b)** odbiera ci mowę i dech w piersiach, jak oglądasz „Bitwę pod Grunwaldem", masz ochotę ruszyć na Berlin; **c)** odruchowo przyklejasz się do pierwszej napotkanej rzeźby; **d)** nudzisz się, bo ile można oglądać jakieś bohomazy.

4) Jesteś na lotnisku i nie wiesz, co robić:

a) oczywiście, iż wiesz, co robisz, co roku kilka razy latasz do Hurghady;

b) uporczywie mówisz do wszystkich po polsku, jednak lotniska odwiedzasz baaardzo rzadko, wolisz twardo stąpać po polskiej ziemi; **c)** w myśli przeliczasz, ile śladu węglowego wygenerujesz, wahasz się, czy lecieć, ale jednak nie potrafisz tego obliczyć, więc lecisz; **d)** wielokrotnie przekonałeś się w życiu, iż darcie mordy na wszystkich wokół niezależnie od sytuacji sprawia, że dostajesz to, czego chcesz, więc tym razem dziwisz się mocno, kiedy lądujesz w pomieszczeniu ochrony w oczekiwaniu na policję.

ROZWIĄZANIA

Najwięcej odpowiedzi a): uważasz, iż cały świat istnieje po to, abyś wszędzie mógł się czuć jak u siebie. Jako typowy libek patrzysz wyłącznie na swój interes, wnerwiają cię ci wszyscy inni ludzie, którzy też ośmielili się pojechać na wakacje. Mógłbyś być typowym celebrytą narzekającym na wczasy wśród Polaków, ale masz za mało obserwujących na Instagramie.

Najwięcej odpowiedzi b): poza granice Polski podróżujesz bardzo niechętnie, iż uważasz swój kraj za najwspanialszy na świecie. Z dumą wydeptujesz ścieżki, po których kroczyli pierwsi Piastowie, zanudzasz swoje dzieci anegdotami o młodości Kazimierza Jagiellończyka, wolisz przepłacić za chleb ze smalcem na Krupówkach niż opuścić swoją ojczyznę.

Najwięcej odpowiedzi c): jako osoba o wrażliwości lewicowej starasz się dostrzegać nierówności i wykluczenia na każdym etapie swojej podróży, jest ci czasem trochę wstyd, iż wybierasz nieekologiczne środki transportu, oraz podziwiasz przyrodę, jakby była twoją własnością i jakbyś miał do tego prawo.

Najwięcej odpowiedzi d): będąc januszem, który po raz pierwszy od lat opuścił obszar jurysdykcyjny swojego ośrodka pomocy społecznej, nie wiesz, jak się zachować, więc skrępowanie nadrabiasz agresją w dowolnym kierunku. Mimo tego starasz się wszędzie czuć jak u siebie, więc denerwują cię inni ludzie wokół. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Sztuka jest sztuką

Adam, nie sprawdziłeś tego drugiego immunitetu?!
Donald, mam tu przecież opinię, że ten immunitet dęty jest.

Czyja to opinia?
Oj, nieważne...

Pokaż, bo i tak już jestem wkurzony! „Magister Wojciech Glągłała". Kto to w ogóle jest?!
No... Kolega mój. Sąsiad właściwie.

Prawnik?
Prawie... Właściwie to nie.

To czego, do cholery, jest magistrem?!
Historii sztuki chyba. Kiedyś mu kosiarkę pożyczyłem, chciał się odwdzięczyć, więc napisał mi opinię. Miała być opinia – jest opinia. Sztuka jest sztuką. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Będziemy składać projekt o depenalizacji aż do skutku".

***ANNA MARIA ŻUKOWSKA**, posłanka Lewicy*

eprasa.pl f8bc18ad72

BARYSZ
CHRYNÓW
BRYNCE ZAGÓRNE
HUTA STEPAŃSKA
KISIELIN
ŁANOWCE
ŁOZOWA
OSTRÓWKI
KRECHOWCE
GUCIN
KATY
CZEŚĆ ICH
PAMIĘCI
1942
1947
HUCISKO
GURÓW
JANOWA DOLINA
KOROŚCIATYN
JANÓWKA
DOMINOPOL
MAJDAN
LACHÓW
LUDWIKÓWKA
HURBY
NAROL
Gmina Jarocin
WOŁYŃSKA

FOT. XXXXXX

FOT. TADEUSZ KONARZ/REPORTER

POMNIK RZEZI WOŁYŃSKIEJ ODSŁONIĘTY W DOMOSTAWIE

Pomnik autorstwa Andrzeja Pityńskiego, upamiętniający Polaków pomordowanych przez ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, został odsłonięty w Domostawie koło Niska, w województwie podkarpackim. – Niech z tego miejsca idzie w świat nasze wołanie: Nigdy więcej ludobójstwa, nigdy więcej nienawiści, nigdy więcej wojny – wezwano w apelu poległych odczytanym w czasie uroczystości odsłonięcia pomnika, w której uczestniczyło kilkanaście tysięcy osób z biało-czerwonymi flagami w rękach.

Drastyczna wymowa mierzącego 14 m wysokości pomnika upamiętniającego polskie ofiary ukraińskich mordów w latach 1942–1947 (częścią monumentu jest m.in. dziecko nabite na tryzub) wzbudziła kontrowersje i krytykę m.in. ze strony polskiego MSZ.

– Tylko prawda może nas wyzwolić. Prawda, która niczego nie przemilcza, ale prowadzi do prawdziwego nawrócenia i pojednania. Ten pomnik w całym swym bolesnym wymiarze ukazuje prawdę, którą tak wielu, niestety, świeckich i duchownych chce zakłamać – zauważył ks. Antoni Moskal.

Budowę monumentu Społeczny Komitet Budowy Pomnika sfinansował m.in. z pieniędzy pochodzących z publicznych zbiórek. ***(jap)*** © ℗

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

Orle Pióro, wydawca tygodnika „Do Rzeczy", planuje debiut na giełdzie!

Credo redakcji tygodnika „Do Rzeczy"
przyjęte przez Redakcję i Wydawcę
Warszawa, dnia 21 stycznia 2013 roku

Tygodnik „Do Rzeczy" jest pismem konserwatywno-liberalnym.

Konserwatywnym, bo szanuje tradycję chrześcijańską, odwołuje się do sprawdzonych i trwałych zasad etycznych w życiu publicznym, przeciwstawia się eksperymentom społecznym, które podkopują i naruszają odziedziczony ład wartości, bo poważnie traktuje polską pamięć narodową, niepodległość państwa i jego podmiotowość. **Liberalnym,** bo popiera wolność gospodarczą, docenia przedsiębiorczość i twardo będzie stawał w obronie nieskrępowanej wolności słowa oraz swobody debaty publicznej.

Tygodnik chce być wyrazistym głosem w polskiej debacie publicznej. Głosem, który ma wpływ na opinię publiczną, który się słyszy i bierze pod uwagę. Ale ma to być głos niezależny, wolny od partyjnych uwikłań, reprezentujący interes ogółu. Najważniejszym punktem odniesienia dla publicystów i dziennikarzy tygodnika będą Czytelnicy. Zdobycie i zachowanie ich zaufania jest nadrzędnym celem redakcji.

Dlatego redakcja, wydawca i dziennikarze zamierzają przestrzegać Kodeksu Dobrych Praktyk, dokumentu opracowanego i przyjętego w 2005 r. przez Izbę Wydawców Prasy, jak również szanować inne kodeksy i wysokie standardy związane z zawodem dziennikarza – jak np. Karta Etyki Mediów (Rady Etyki Mediów), czy Kodeks Etyki Dziennikarskiej (Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich).

Rolą wydawcy i redaktora naczelnego jest dbanie o zaznajamianie z treścią niniejszego dokumentu i przyjętych zasad wszystkich dziennikarzy i pracowników tworzących zespół tygodnika „Do Rzeczy".

Michał M. Lisiecki
Wydawca

Paweł Lisicki
Redaktor Naczelny

eprasa.pl f8bc18ad72

Wolność to Konkret!

Przejdźmy DoRzeczy

ZAINWESTUJ

Zostaw swój e-mail na naszej stronie, aby otrzymywać najnowsze informacje i wspierać niezależne dziennikarstwo.

Odwiedź naszą stronę: www.dorzeczy.pl/gielda lub wyślij swój adres e-mail, SMS/WhatsApp na numer: +48 508 040 882, a my wyślemy Ci informację zwrotną.

Gwarancja Prywatności:
Twoje dane są bezpieczne. Nigdy nie udostępnimy Twojego adresu e-mail osobom trzecim.

Ilustracja: Wydanie numer 1 z 2013 r.

KORZYŚCI DLA CIEBIE:

Bądź na bieżąco:
Otrzymuj najnowsze informacje o naszym debiucie na giełdzie.

Dostęp do ekskluzywnych treści:
Zarezerwowanych tylko dla naszych subskrybentów.

Wspieraj wolne media:
Twoje zaangażowanie pomaga nam tworzyć wartościowe treści.

INWESTUJ I ZYSKAJ!

Już wkrótce więcej szczegółów inwestycyjnych od nas i naszego biura maklerskiego.

eprasa.pl f8bc18ad72

Georgette Mosbacher pod względem pouczania i licznych interwencji przebiła swojego poprzednika. Na zdjęciu: z premierem Mateuszem Morawieckim FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Nadambasadorowie

Karol Gac

Chociaż Polska postrzega sojusz ze Stanami Zjednoczonymi w kategoriach strategicznych, dalece wykraczających poza typową dyplomację, to Amerykanie bardzo często traktują nas niczym młodszego brata. I brutalnie walczą o swoje interesy, wymuszając na nas korzystne dla nich decyzje

Stosunki polsko-amerykańskie były, są i będą asymetryczne. Mowa przecież o światowym supermocarstwie, które z oczywistych względów w relacjach dwustronnych jest stroną dominującą. Przez ostatnie dekady nasz kraj wielokrotnie wykazywał, że jest lojalnym i sprawdzonym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych na wielu polach. Polska poważnie traktuje swoje zobowiązania wynikające z przynależności do paktu północnoatlantyckiego oraz obecności na wschodniej flance NATO. Ze względu na nasz potencjał gospodarczy i wojskowy, a także niezwykle silnie zakorzeniony proamerykanizm, Warszawa pozostaje w orbicie ścisłego zainteresowania Stanów Zjednoczonych. Problem w tym, że Amerykanie bardzo często traktują nas niemalże jak kolonię, której można de facto wszystko narzucić. Niestety, przy wydatnym wsparciu polskich elit. A jak wiadomo, państwo, które nie potrafi zdobyć się na asertywność i zaakcentować własnego interesu narodowego, nie będzie szanowane przez innych. Niedawno z ambasadorem USA Markiem Brzezinskim spotkał się minister sprawiedliwości Adam Bodnar, by porozmawiać o „znaczeniu praworządności i ścieżce do zapewnienia zgodności reform sądownictwa z najlepszymi praktykami międzynarodowymi". Do spotkania doszło… w rezydencji ambasadora. „Konstytucyjny minister rządu RP może przyjąć ambasadora obcego państwa – ale u siebie w ministerstwie! Pielgrzymka na audiencję do rezydencji ambasadora to złamanie podstawowej zasady: ambasador jest w Polsce gościem, nie gospodarzem! […] To już nie pierw-

eprasa.pl f8bc18ad72

Sympatie polityczne Marka Brzezinskiego i jego dobre relacje z politykami PO nie są dla nikogo żadną tajemnicą FOT. X.COM/ADBODNAR

szy raz, kiedy Bodnar ustawia nasz kraj w pozycji petenta wobec obcych państw" – napisał na X były wiceszef MSZ Paweł Jabłoński z PiS.

Naciski Amerykanów na polskie władze nie są jednak niczym nowym i trwają nieprzerwanie od kilku dekad. Niezależnie od tego, która ekipa polityczna akurat sprawuje w Polsce władzę. Wystarczy przypomnieć chociażby głośną sprawę tajnych więzień CIA w Starych Kiejkutach z czasu rządów SLD. Warto jednak przeanalizować dwie kadencje rządów Zjednoczonej Prawicy pod kątem nacisków amerykańskich, ponieważ skutki wielu decyzji poprzedniej koalicji rządzącej widzimy dziś.

Amerykanie niemal od samego początku naciskali na PiS. Już na początku 2016 r. ówczesny ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce Paul W. Jones kilkukrotnie spotykał się z Jarosławem Kaczyńskim, by wywrzeć na niego wpływ w sprawie rozwiązania sporu o Trybunał Konstytucyjny i uznania zaleceń Komisji Weneckiej. – Paul Jones interweniował głównie w sprawie praworządności. Można powiedzieć, że wręcz histeryzował i pokazywał nam artykuły z amerykańskich mediów na ten temat – wspomina w rozmowie z „Do Rzeczy" jeden z polityków PiS, który był świadkiem wielu interwencji Jonesa.

NADAMBASADOR MOSBACHER

W 2018 r. doszło do zmiany na stanowisku ambasadora USA w Polsce. Miejsce ustępującego Paula W. Jonesa zajęła Georgette Mosbacher, która od lat 60. była związana z Partią Republikańską. W polskich mediach przedstawiano ją także jako przyjaciółkę prezydenta USA Donalda Trumpa. W PiS liczono, że skończy się czas pouczania i licznych interwencji. Szybko okazało się jednak, że były to płonne nadzieje, a Mosbacher pod tym względem przebiła swojego poprzednika.

Zaledwie kilka miesięcy po złożeniu listów uwierzytelniających w Polsce tygodnik „Do Rzeczy" ujawnił, że Georgette Mosbacher wysłała do ówczesnego premiera Mateusza Morawieckiego list, w którym pouczała, co wolno, a czego nie wolno mówić ministrom w sprawie stacji TVN należącej wówczas do amerykańskiej firmy Discovery Communications. Tłem listu był głośny materiał wyemitowany przez „Superwizjer" na temat rzekomego neonazistowskiego środowiska w Polsce. Politycy PiS mocno skrytykowali wówczas stację, co nie spodobało się Mosbacher, czemu dała wyraz w swoim liście, który utrzymany był w dość aroganckim tonie. Roiło się w nim zresztą od niezręczności i literówek, a nawet mylenia funkcji.

Na spotkaniu z sejmową komisją do spraw relacji polsko-amerykańskich Mosbacher mówiła zresztą wprost, na które rozwiązania prawne odnośnie do mediów amerykańskich Kongres nie wyrazi zgody. – Powinniście mieć świadomość, że jedna rzecz, co do której Kongres amerykański się zgadza, zarówno demokraci, jak i republikanie, to jest wolność prasy. W tej chwili Kongres w USA jest bardzo pozytywnie nastawiony do Polski. I demokraci, i republikanie bardzo chętnie pomagają Polsce, bo wiedzą, że Polska jest bardzo ważnym sojusznikiem. Ale to się może wszystko posypać – mówiła Mosbacher.

Szybko okazało się jednak, że Mosbacher od samego początku swojej misji dyplomatycznej w Polsce bardzo twardo dba o amerykańskie interesy nad Wisłą. Portal DoRzeczy.pl w listopadzie 2018 r. pisał, że ambasador wzywała do siebie „na rozmowy" osoby związane z polskim rządem, które zaangażowane były w pracę nad nowelizacją ustawy o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych. Po co? – Pani ambasador bardzo wyraźnie, otwartym tekstem, zadeklarowała, że nie powinno być tak, że wszystkie podmioty funkcjonujące na polskim rynku płacą podatek w podobnej wysokości. Mówiła, że polski i europejski rynek jest trudny dla amerykańskich firm, i oczekiwała, że wprowadzone zostaną rozwiązania zmniejszające wysokość obciążeń podatkowych dla firm pochodzących ze Stanów Zjednoczonych. Ambasador oczekiwała, że nowe przepisy w efekcie postawią amerykańskie podmioty w uprzywilejowanej pozycji wobec polskich firm. Mówiła m.in. o Uberze – wskazywał informator naszego portalu.

Wątek Ubera, czyli firmy świadczącej usługi transportu samochodowego poprzez kojarzenie pasażerów z kierowcami korzystającymi z aplikacji, pojawiał się zresztą kilkukrotnie. W styczniu

eprasa.pl f8bc18ad72

2019 r. „Fakt" ujawnił, że Mosbacher jesienią interweniowała także u ówczesnego ministra infrastruktury Andrzeja Adamczyka w sprawie projektu ustawy o transporcie drogowym, który zakładał m.in. konieczność posiadania przez pośrednika wpisu do ewidencji działalności gospodarczej lub posiadania numeru w KRS, co praktycznie blokowało możliwość działalności Ubera w Polsce. Mosbacher napisała do Adamczyka list, w którym domagała się odstąpienia od projektu, a jeśli tak by się nie stało, to amerykańskie inwestycje w Polsce miałyby zostać zamrożone. Kopię listu otrzymała kancelaria premiera. – Potraktowała nas jak republikę bananową. Choć minister tłumaczył jej, że Uber działa bezprawnie w Polsce, to była głucha na argumenty – mówił „Faktowi" jeden z pracowników KPRM. Ostatecznie sprawa Ubera została rozwiązana po myśli Mosbacher, a rząd wstrzymał prace nad zmianami.

Podczas spotkania amerykańskiej ambasador z ministrem infrastruktury Andrzejem Adamczykiem nie rozmawiano jednak wyłącznie o Uberze. Co ciekawe, Mosbacher krytykowała polskie władze za... plany dotyczące repolonizacji PKP Energetyka. Ta strategiczna dla transportu kolejowego spółka została sprzedana w 2015 r. międzynarodowemu funduszowi CVC Capital Partners, który zdecydował się interweniować u ambasador USA. – Bardzo jasno powiedziała, że mamy się od PKP Energetyka... odczepić – mówił informator „Faktu". Ostatecznie PKP Energetyka została odkupiona w 2023 r. za blisko 2 mld zł.

W marcu 2019 r. Georgette Mosbacher została zapytana w jednym z wywiadów o swoje dyplomatyczne interwencje. Amerykańska ambasador nie miała sobie jednak niczego do zarzucenia i stwierdziła, że „to jej praca". – Moją pracą jest także zapewnienie, by amerykańskie firmy, inwestujące w Polsce 43 mld dol., były uczciwie traktowane. Na tym samym poziomie co inne. I będę tę pracę kontynuowała – wyjaśniała w Polsat News. O ile do zadań ambasadora faktycznie należy dbanie o interesy państwa, które reprezentuje, o tyle rząd powinien bronić swoich. A z tym bywało różnie. – Na początku Amerykanie się tak nie zachowywali, ale zobaczyli naszą słabość i w to weszli – przyznaje nam jeden z polityków w rządzie PiS.

Powtarzającym się wątkiem w publicznych sporach ambasador Mosbacher z politykami PiS była kwestia oceny stacji TVN. Pod koniec kwietnia 2020 r. „Wiadomości" TVP sporo miejsca poświęcały „Faktom", co wywołało reakcję amerykańskiej ambasador, która stanęła w obronie prywatnej stacji, zapewniając, że jej priorytetami są „przejrzystość, wolność słowa oraz niezależne i odpowiedzialne dziennikarstwo".

W lipcu 2020 r. zwróciła uwagę europoseł PiS Beacie Mazurek, bo nie spodobał się jej... wpis na Twitterze. Podczas kampanii prezydenckiej Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy i kandydat Koalicji Obywatelskiej, poinformował, że nie zamierza pojawiać się na debacie organizowanej przez Telewizję Polską. „Trzaskowski boi się debaty z Polakami. Woli ustawioną debatę w WSI 24 i niemieckim Onecie. To przykład pogardy dla wyborców z mniejszych miejscowości. Mieszkańcy Końskich i Polacy już niedługo wystawią mu rachunek" – skomentowała to Beata Mazurek. Nieoczekiwanie na jej wpis zareagowała Mosbacher, która zarzuciła europoseł PiS, że ta kłamie. „Dobrze Pani wie, że szerzy Pani coś, co jest absolutnym kłamstwem, sugerując, że TVN to WSI. Powinna się Pani wstydzić. To jest poniżej godności osoby, która reprezentuje Polaków" – napisała ambasador USA. Niedługo później skrytykowała tweet Antoniego Macierewicza. Wpisy, w których szef misji dyplomatycznej obcego państwa skarcił polityków partii rządzącej kraju przyjmującego, zelektryzowały wówczas scenę polityczną. Zwracano przy tym uwagę, że prawo dyplomatyczne wyraźnie mówi, że dyplomaci kraju wysyłającego nie powinni się mieszać w sprawy wewnętrzne kraju przyjmującego.

POLSKA PO „ZŁEJ STRONIE HISTORII"

Georgette Mosbacher chętnie zabierała głos również w sprawach światopoglądowych. W lipcu 2019 r. tygodnik „Gazeta Polska" dołączył do swojego wydania naklejki „Strefa wolna od LGBT", co spotkało się z reakcją amerykańskiej ambasador. „Jestem rozczarowana i zaniepokojona tym, że pewne grupy wykorzystują naklejki do promowania nienawiści i nietolerancji. Szanujemy wolność słowa, ale musimy wspólnie stać po stronie takich wartości jak różnorodność i tolerancja" – napisała na Twitterze. Dokładnie rok później na stronie amerykańskiej ambasady pojawił się list otwarty wystosowany w ramach solidarności ze środowiskami LGBT. Akcję wsparli ambasadorowie z 50 różnych krajów. „Prawa człowieka to nie ideologia – są one uniwersalne. Pięćdziesięciu ambasadorów i przedstawicieli się z tym zgadza" – stwierdziła Mosbacher w mediach społecznościowych. List wywołał spore poruszenie w Polsce, a działalność ambasadorów została przez wielu potraktowana jako ingerencja w wewnętrzne sprawy Polski. W wywiadzie udzielonym Wirtualnej Polsce Mosbacher stwierdziła m.in., że Polska posiada na Zachodzie reputację kraju „nieprzyjaznego mniejszościom seksualnym", co z kolei przekłada się niekorzystnie na decyzje inwestycyjne oraz ma wpływ na „sprawy militarne". – Musicie wiedzieć, że w kwestii LGBT jesteście po złej stronie historii. Mówię o postępie, który się dokonuje bez względu na wszystko. Używanie tego typu retoryki wobec mniejszości seksualnych jedynie wyobcowuje Polskę – stwierdziła ambasador.

Po wygranej Joe Bidena w wyborach prezydenckich w USA Georgette Mosbacher ustąpiła ze stanowiska. Prezydent Andrzej Duda odchodzącej ambasador wręczył Krzyż Wielki Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. „Został on nadany w uznaniu wybitnych zasług w rozwijaniu polsko-amerykańskich przyjaznych stosunków i współpracy, za zaangażowanie w działalność na rzecz bezpieczeństwa międzynarodowego" – poinformowała Kancelaria Prezydenta.

ERA BRZEZINSKIEGO

W 2021 r. desygnowany na stanowisko ambasadora w Warszawie został Mark Brzezinski, syn Zbigniewa Brzezińskiego, doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego USA w administracji Jimmy'ego Cartera. Podczas wysłuchania przed amerykańskim Senatem Brzezinski powiedział, że w kontaktach z władzami Polski będzie podkreślał wagę „bezstronnego sądownictwa, nieza-

eprasa.pl f8bc18ad72

W Polsce szybko odczytano spotkanie Brzezinski-Bodnar jako autoryzację przez Stany Zjednoczone działań rządu Donalda Tuska

leżnych mediów i poszanowania praw człowieka dla wszystkich, w tym osób LGBTQI+ i członków innych mniejszości". To, że z rządem Zjednoczonej Prawicy nie będzie mu po drodze, było oczywiste od samego początku. Nic dziwnego. Od kiedy w 2015 r. zmieniła się w Polsce władza, Brzezinski konsekwentnie krytykował rząd PiS w wywiadach udzielanych „Gazecie Wyborczej". – Ludzie, którzy kierują procesem naruszania polskiej konstytucji, robią ogromną krzywdę tym, o których powinniśmy troszczyć się najbardziej – młodym Polakom, którzy chcą, by ich kraj był w dobrych relacjach z innymi państwami i szanowany na świecie – mówił np. w 2018 r.

Brzezinski swoje urzędowanie zaczął w dość osobliwym stylu. Amerykańska ambasada opublikowała bowiem na Twitterze zaskakujący wpis, w którym zachęcała do obserwowania profilu społecznościowego... psa ambasadora. „Ambasadorowi Brzezinskiemu w Polsce będzie towarzyszyć Teddy, trzyletni owczarek. »Chcę odkrywać bogatą polską kulturę i zapierające dech piękno razem z Teddym« – napisał ambasador Brzezinski. Zachęcamy do obserwowania podróży Teddy'ego na jego własnym profilu: @AmbassadogTeddy" – mogliśmy przeczytać.

Choć sympatie polityczne Brzezinskiego i jego dobre relacje z politykami PO nie są dla nikogo żadną tajemnicą, to jednak swoiste tournée, które urządził sobie po polskich ministerstwach, mogło zaskoczyć. – Brzezinski realizuje agendę Partii Demokratycznej, ale po zmianie władzy w Polsce nie musiał się już kryć zupełnie – mówi „Do Rzeczy" jeden z członków kierownictwa MSZ w rządzie Zjednoczonej Prawicy. I faktycznie, Brzezinski z niczym się nie krył, a wręcz przeciwnie – ostentacyjność jego działań była wręcz kuriozalna.

Największe emocje polityczne wzbudziło spotkanie ambasadora Stanów Zjednoczonych z ministrem sprawiedliwości prof. Adamem Bodnarem i kierownictwem resortu. Doszło bowiem do niego tuż po aresztowaniu posłów PiS Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Na ten temat jednak nie rozmawiano. „Podczas spotkania z ministrem sprawiedliwości Adamem Bodnarem miałem okazję pogratulować mu niedawnej nominacji. Stany Zjednoczone i Polskę łączy zaangażowanie na rzecz praworządności i niezawisłości sądów, co wymaga stałej determinacji i odnowy" – napisał Brzezinski w mediach społecznościowych. O krok dalej poszedł za to Adam Bodnar. „Cieszę się, że pan ambasador Mark Brzezinski pozytywnie ocenia działania resortu prowadzące do przywrócenia w Polsce praworządności" – napisał minister sprawiedliwości, czym ściągnął na siebie krytykę. „Tym, co nie uległo zmianie, a czego najwyraźniej nie rozumie minister Bodnar, jest to, że członek rządu szanującego się państwa nie ma prawa publicznie »cieszyć się«, gdy pochwali go ambasador innego kraju" – pisał np. w Onecie Witold Jurasz, były dyplomata.

W Polsce szybko odczytano spotkanie Brzezinski-Bodnar jako autoryzację przez Stany Zjednoczone działań rządu Donalda Tuska. Tym bardziej że ambasador USA w krótkim czasie spotkał się jeszcze m.in. z Krzysztofem Gawkowskim, wicepremierem i ministrem cyfryzacji, Pauliną Hennig-Kloską, minister klimatu i środowiska, czy Czesławem Siekierskim, ministrem rolnictwa.

W sprawie tych spotkań zwróciliśmy się z pytaniami do Ambasady Stanów Zjednoczonych w Polsce. Chcieliśmy wiedzieć, z czyjej były inicjatywy oraz czy można uznać, że ambasador akceptuje obecną politykę kierownictwa Ministerstwa Sprawiedliwości. Poprosiliśmy również o ustosunkowanie się ambasadora do zarzutów, że jawnie wspiera jedną ze stron sceny politycznej w Polsce. Odpowiedź, która nadeszła z ambasady, była raczej ogólnikowa. „Ambasada Stanów Zjednoczonych w Warszawie prowadzi regularny dialog z wieloma rozmówcami, gdyż podstawowym celem prowadzonej przezeń działalności dyplomatycznej jest pielęgnowanie i rozwijanie współpracy w zakresie bezpieczeństwa, gospodarki i współpracy międzyludzkiej, w oparciu o wyznawane przez oba kraje wartości demokratyczne. Okresowe spotkania z urzędnikami polskiej administracji rządowej, przedstawicielami partii politycznych, reprezentantami społeczeństwa obywatelskiego i sektorem prywatnym stanowią integralną część tej pracy, odzwierciedlającą zakres specjalnego partnerstwa amerykańsko-polskiego. Ambasador i inni dyplomaci amerykańscy spotykają się ze swoimi odpowiednikami, aby omówić kwestie istotne z punktu widzenia wspólnych interesów obu stron. Zgodnie ze standardową praktyką dyplomatyczną Ambasada nie komentuje specyfiki takich spotkań" – odpisał „Do Rzeczy" rzecznik ambasady.

Jednocześnie ambasada przekonuje, że jej zaangażowanie „ma charakter ściśle apolityczny i obejmuje całe spektrum sceny politycznej". „W Polsce, podobnie jak w krajach na całym świecie, Stany Zjednoczone wspierają proces demokratyczny jako taki, a nie jedną, wybraną opcję polityczną" – czytamy w odpowiedzi.

Co ciekawe, pewną aktywnością polityczną wykazuje się również partnerka życiowa ambasadora USA Marka Brzezinskiego, Olga Leonowicz, która spotkała się w lutym m.in. z wiceminister rodziny Aleksandrą Gajewską. „Tematów nam nie brakowało, bo obie widzimy, ile jest rzeczy do zrobienia w Polsce! Działamy!" – napisała Leonowicz w mediach społecznościowych. O aktywności partnerki Brzezinskiego pisała niedawno szerzej w „Do Rzeczy" Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska.

W artykule przypomniano wyłącznie wybrane przykłady aktywności czy raczej „aktywności" amerykańskich ambasadorów w Polsce. W rzeczywistości tych ingerencji było o wiele więcej. W większości przypadków wola Amerykanów była traktowana priorytetowo, co niejednokrotnie odbijało się negatywnie na państwie polskim. Nic dziwnego, że Stany Zjednoczone chętnie korzystały ze swojej uprzywilejowanej pozycji. Skoro nie napotykały większego oporu, to dlaczego miałyby tego nie robić?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f8bc18ad72

Amerykańska cenzura nad Wisłą

Wojciech Golonka

Waszyngton we współpracy z Warszawą uruchamia międzyrządową agencję PR-owską (być może z pewnymi uprawnieniami specsłużb), mającą zapewnić jednolity przekaz dla sprawy ukraińskiej, a właściwie jednolity proamerykański przekaz w kwestii ukraińskiej

Hipotetyczne „zwijanie się" Amerykanów z naszej części Europy – zjawisko, o którym nierzadko się w ostatnich latach mówi, a które wymaga zniuansowania, które postaram się przedstawić – nie oznacza bynajmniej rezygnacji przez Stany Zjednoczone z własnej strefy wpływów, przynajmniej nie dziś. Wręcz odwrotnie – jeśli podobne „zwijanie" rzeczywiście zachodzi, to na korzyść efektywnego „outsourcingu", mającego podtrzymać i zakonserwować istniejące status quo, czego interesującym, choć niekoniecznie docelowo korzystnym dla nas casusem jest powstający amerykańsko-polski Zespół do spraw przekazu o Ukrainie (Ukraine Communications Group – UCG), zapowiedziany 10 czerwca przez Departament Stanu USA.

Ma się rozumieć, w dobie wojny mniej lub bardziej wyraźna propaganda, chwilami subtelna, chwilami dramatyczna bitwa o narrację w ogóle i stałe kontrowanie propagandy wroga, a także mozolne próby wyprowadzenia go w pole dezinformacją są w sumie stare jak świat i normalne. Z tą różnicą, że przy dzisiejszych niesamowitych środkach nie tylko komunikacji, lecz także samego cyfrowego odziaływania, przy złożoności – wbrew pozorom – interesów i graczy obecnego konfliktu, a przede wszystkim biorąc pod uwagę w zasadzie oficjalną taktykę globalistów i wszelkiej maści antydemokratów, aby każdy kryzys wykorzystywać do narzucania zmian, których niedojrzałe do postępu narody skądinąd ochoczo ani po dobroci by nie przyjęły – w tychże specyficznych okolicznościach – jakże krucha i cienka jest granica między zdrową retoryką czasu wojny a robieniem ludziom wody z mózgu. To sprawia, że wszelkie nowe zespoły do spraw komunikacji, przekazu, tropienia dezinformacji itd., itp. można nie tylko przyjąć za z góry podejrzane, lecz także niestety za kolejny objaw socjotechniki i tresury społeczeństwa.

Dla świeżego przykładu tego pryncypialnego już braku woli rzetelnej komunikacji i informacji, jak na demokratyczny ustrój by przystało, i to przykładu w dużej mierze związanego nawet z samą wojną rosyjsko-ukraińską i narracją wokół niej, w zasadzie jeszcze przed prezydenturą Joe Bidena liberalne media i giganty internetowe wespół z demokratami udawały, że nie widzą problemu jego demencji,

Pełnomocnik ministra spraw zagranicznych do spraw przeciwdziałania dezinformacji międzynarodowej Tomasz Chłoń (z lewej) oraz specjalny wysłannik i koordynator agencji Global Engagement Center Departamentu Stanu USA James P. Rubin FOT. SEBASTIAN INDRA/MSZ

eprasa.pl f8bc18ad72

a próby kwestionowania jego kondycji zdrowotnej były systematycznie i bezlitośnie kontrowane przez establishment, by – po tym, jak latami chwaliło się wszem wobec sznyt przywódcy wolnego świata – z udawanym zdumieniem nagle „odkryć" i obwieścić światu, że król w rzeczywistości był i jest nagi, bez szansy na poprawę.

Dyplomacja Stanów Zjednoczonych pracuje nad utworzeniem czegoś na wzór podlegającego Waszyngtonowi międzynarodowego ministerstwa prawdy, na razie tylko do spraw wojny na Ukrainie

MIĘDZYNARODOWE MINISTERSTWO PRAWDY

Cóż zatem obrazoburczego obwieścił w ubiegłym miesiącu Departament Stanu USA, że słusznie bić można na alarm i po raz kolejny, do znudzenia wręcz, a zarazem nieco bezsilnie głosić: trzymajmy rękę na pulsie, i to solidnie? Otóż dyplomacja Stanów Zjednoczonych pracuje nad utworzeniem czegoś na wzór podlegającego Waszyngtonowi międzynarodowego ministerstwa prawdy, na razie tylko do spraw wojny na Ukrainie, a ściśle rzecz biorąc – nad zespoleniem i ścisłym podporządkowaniem Waszyngtonowi narracji dotyczącej tego konfliktu. Tak przynajmniej wynika z oficjalnych komunikatów amerykańskiej administracji, byle czytać je ze zrozumieniem. Albowiem, po pierwsze, za utworzenie tego nowego zespołu odpowiadać będzie sekcja do spraw publicznej dyplomacji i spraw publicznych, a właściwie podlegający jej ośrodek na rzecz globalnego odziaływania. Pod tą wdzięczną nazwą o nieco humanitarnym zabarwieniu operuje tak naprawdę, cytując stronę Departamentu Stanu, „ciało mające za cel przewodzenie, w oparciu o dane, międzyagencyjnym wysiłkom na rzecz aktywnego zwalczania wrogich prób podważania interesów USA przy użyciu dezinformacji i propagandy".

Celem nadrzędnym zatem międzynarodowego zespołu będzie przede wszystkim zabezpieczenie narracji dotyczącej amerykańskiej dominacji tudzież interesów graczy wykorzystujących tę hegemonię do własnych korzyści (jak wiadomo, choć zbyt mało się o tym rozprawia, kluczowym elementem demokratycznych wyborów różnego szczebla w wolnym świecie za oceanem są „darczyńcy" partii politycznych, w zasadzie bez ograniczeń, tak że amerykańska demokracja niebezpiecznie nabiera coraz bardziej zabarwienia kryptooligarchii). W każdym razie wiedząc, która komórka Departamentu Stanu do spraw narracji w obronie interesów imperium przychyli nam nieba prawdy quasi-objawionej w kwestii wojny na Ukrainie, o wiele łatwiej prawidłowo odczytać oficjalne zadanie nowo powstającego w Warszawie zespołu, które – tu znów przytoczmy stronę internetową amerykańskiego Departamentu Stanu – polegać będzie na „zjednoczeniu rządów partnerskich o zbliżonym nastawieniu celem koordynacji przekazu, promowania dokładnego relacjonowania rosyjskiej pełnoskalowej inwazji, nagłaśniania głosu strony ukraińskiej i obnażania manipulacji informacją ze strony Kremla. Przedstawiciele uczestniczących w zespole krajów rozpoczną osobistą współpracę na rzecz ukraińskiej niepodległości, suwerenności oraz integralności terytorialnej za pomocą wspólnych wysiłków przeciwstawiania się dezinformacji i wspierania przekazu opartego na faktach".

Innymi słowy, po dwóch i pół roku wojny rosyjsko-ukraińskiej Waszyngton we współpracy z Warszawą uruchamia międzyrządową agencję PR-owską (być może z pewnymi uprawnieniami specsłużb), mającą zapewnić jednolity przekaz dla sprawy ukraińskiej, a właściwie jednolity proamerykański przekaz w kwestii ukraińskiej – jest to istotny niuans, zważywszy na prozaiczny fakt, że interesy Waszyngtonu i Kijowa nie są tożsame, a jeśli są zbieżne, to tylko częściowo. Pytanie o kontekst chronologiczny tej inicjatywy byłoby jak najbardziej zasadne. Po pierwsze, dlaczego podobny zespół powstaje dopiero dwa i pół roku po rozpoczęciu wojny? Po drugie, dlaczego powstaje tuż przed tym, gdy prezydent Zełenski pod koniec czerwca zapowiada prace nad planami pokojowymi, przez co należałoby rozumieć rokowania z Rosją, od których od czasu zerwania rozmów w Istambule w 2022 r. stanowczo się odżegnywał? Po trzecie, czy powoływanie tego zespołu o wyraźnym neokońskim rodowodzie ma związek z możliwymi wkrótce przetasowaniami na szczytach amerykańskiej władzy?

W rzeczy samej, kontekst chronologiczny bardziej sugerowałby zabezpieczenie jednolitego dyskursu we wrażliwej dla narracji proamerykańskiej chwili, którą byłby etap turbulencji związanych z potrzebą przestrojenia narracji wobec gruntownie zmieniającej się perspektywy – z wojennej na perspektywę rozejmu, jakikolwiek by on był. Jest bowiem rzeczą zrozumiałą, że moment tak istotnej zmiany tonacji wymaga dyscypliny i wzmożonej uwagi całej orkiestry celem uniknięcia dodatkowych dysonansów mogących przerodzić przekaz w niekontrolowaną kakofonię. Ten wątek, skądinąd fascynujący, jest jednak wtórny w przypadku rozważania istoty samego mechanizmu, który słusznie można porównać do orkiestry.

Zostawmy tu na chwilę z boku te zbyt wyzbyte z pruderii podejście z mej strony do dominującej na Zachodzie narracji, która od dwóch i pół roku nie znalazła lepszego pomysłu, raczej nie przez przypadek, niż li tylko dopingowanie exodusowi całego narodu za naszą wschodnią granicą i wysłanie tysiącami jego mężczyzn w sile wieku na śmierć z rąk bezwzględnie zdeterminowanego przeciwnika. Otóż zwiastując w lutym 2015 r. wojnę rosyjsko-ukraińską i tłumacząc, w jaki sposób Stany Zjednoczone powinny ją wykorzystać, a nawet dlaczego w sumie tak naprawdę jej potrzebują dla podtrzymania swej hegemonii (ten tragiczny dla Ukrainy konflikt jest bowiem bardziej złożony niż faryzejskie zapewnienia o niczym niesprowokowanej rosyjskiej inwazji, których faktyczna wiarygodność jest warta mniej więcej tyle, co dotychczasowe zapewnienia o świetnej kondycji zdrowotnej Joe Bidena), George Friedman – bo o tego tuza amerykańskiej geopolityki chodzi – tłumaczył w wystąpieniu „Europa: skazana na konflikt" dla Chicagowskiej Rady do spraw Stosunków Globalnych, że amerykańska hegemonia nie może utrzymać się na zasadzie zbyt rozciągniętego imperium. Panaceum, w selekcji priorytetów, tkwi z jednej strony w mniej lub bardziej zwasalizowanych państwach sojuszniczych, z drugiej w życzliwym – mówił o tym dobrodusznie i z nieskrywanym rozbawieniem – podsycaniu

eprasa.pl f8bc18ad72

wojen i podziałów neutralizujących przeciwników Ameryki. Mniejsza z tym, czy chodzi rzeczywiście o hegemonię Ameryki jako takiej, której wewnętrzne problemy świadczą o postępującym upadku, czy o hegemonię oligarchiczną opartą na amerykańskiej potędze – przedstawiona przez Friedmana wizja jasno wskazuje, że dla dobra imperium należy się być może skądś zwijać z racji priorytetów (tymi obecnie są Bliski Wschód – Izrael – oraz Azja), nie zwijając jednocześnie strefy wpływów. Dość powiedzieć, że przeszło dekadę od wystąpienia Friedmana algorytmy sztucznej inteligencji, w przypadku ogólnego rozpoznania i nadzoru wywiadowczego, a także sterowania informacją, sprawiają, że nigdy tak wielu, w tak różnych dziedzinach nie podlegało tak nielicznym… Co za tym idzie – hegemonia w świecie cyfrowym pozwala oszczędzać zasoby ludzkie, z natury ograniczone, a potrzebne do dominacji w świecie rzeczywistym.

W WARSZAWIE MOŻNA

Wracając do wspomnianego Zespołu UCG, nie jest nawet aż tak istotne, czy powstał on z inicjatywy Waszyngtonu czy ze strony polskiego wasala, chcącego z jakichś powodów i korzyści wykazać się gorliwością w „zwalczaniu wrogich prób podważania interesów USA przy użyciu dezinformacji i propagandy". To, co razi w pierwszej mierze, to to, że podobny rządowy zespół nie mógłby oficjalnie powstać ani operować w Ameryce i dotyczyć amerykańskich obywateli i mediów, ponieważ ich swobody opinii są rzeczywiście (a nie iluzorycznie) gwarantowane konstytucyjnie przez pierwszą poprawkę, co wciąż, mimo piętnowanych nadużyć, traktuje się poważnie. Albowiem nawet jeśli USA pozwalają potężnym informatycznym koncernom (będących w rękach globalistów) na cenzurę na swoich platformach, a wielkie media, mniej więcej w tych samych rękach, w razie potrzeby gorliwie zwalczają lub przemilczają niewygodne dla establishmentu fakty, to wciąż nie do pomyślenia jest, aby to jakaś rządowa agencja stawała się wobec swych obywateli i rodzimych mediów świeckim magisterium prawdy objawionej i niepodważalnej.

Dla przykładu: prof. Jeffrey Sachs, człowiek z bardzo rozpoznawalnym dorobkiem w stosunkach międzynarodowych, może swobodnie wypowiadać się w USA na temat współodpowiedzialności polityki jego kraju za wojnę na Ukrainie, będąc w tej kwestii „co najwyżej" poddawany ostracyzmowi ze strony mediów (został bądź co bądź ściągnięty z anteny w trakcie wywiadu na żywo dla Bloomberga). Natomiast śmiertelnik niebędący obywatelem USA, wypowiadający lub powtarzający te same tezy w Polsce, będącej już na niechlubnych miejscach w rankingu wolności słowa w Internecie, będzie oficjalnie „kontrowany" i zwalczany przez podlegającą pod Waszyngton warszawską agencję, wykonującą rękami i środkami tubylców bliżej niedookreślone zadania cenzorsko-represyjne. (Chyba warto tu przypomnieć, że zarówno PiS, jak i PO lubią sięgać po tak „pospolite" służby jak ABW, gdy idzie o ochronę narracji w kwestiach, które skądinąd rząd postrzega dla siebie jako newralgiczne). A wszystko to bez większego oglądania się na polską konstytucję, w której duchu operowanie podobnej instytucji w Warszawie wymagałoby w zasadzie wprowadzenia stanu nadzwyczajnego – podobne skrupuły zapewne rozwiewają samo błogosławieństwo i nadzór Waszyngtonu, który przecież z definicji lepiej od nas wie, czym są rządy prawa nad Wisłą.

W drugiej mierze, co także należy podkreślić, powoływanie podobnego międzyrządowego ministerstwa prawdy tworzy niebezpieczny precedens, ponieważ wypracowane mechanizmy, wzorce, zasoby i doświadczenie mogą zostać użyte w zasadzie w każdej innej kwestii służącej obronie interesów amerykańskich (tudzież globalistów) w sferze informacji, by przypomnieć nadrzędne zadania rzeczonego pionu operacyjnego Departamentu Stanu, pod który podlegać ma Zespół UCG. A przecież wrogiem interesów USA równie dobrze może być nieuznawanie zaimków subiektywnej identyfikacji genderowej czy denializm klimatycznego armagedonu, bo są to akurat oficjalnie najważniejsze priorytety polityki zagranicznej amerykańskiej administracji za prezydentury Joe Bidena.

Podobny rządowy zespół nie mógłby oficjalnie powstać ani operować w Ameryce i dotyczyć amerykańskich obywateli i mediów, ponieważ ich swobody opinii są rzeczywiście (a nie iluzorycznie) gwarantowane konstytucyjnie

STAN POLSKA

W końcu, jeśli nie budzi żadnych wątpliwości, że Rosja buduje i rozsiewa swoją narrację wokół wojny na Ukrainie, to czy bezkrytyczne przyjmowanie stanowiska amerykańskiej frakcji neokonserwatystów, niereformowalnych wyznawców boga Marsa w polityce, jako naszego krajowego, i rozsiewanie go po naszej części Europy (gdzie rząd Węgier od początku odmówił stanięcia w Waszyngtońskim szeregu, a rząd Słowacji niedawno się zeń wyłamał na skutek demokratycznych wyborów), przede wszystkim jednak nad Wisłą, jest tożsame z naszym interesem narodowym? Summa summarum, czy zasadniczym problemem dla Warszawy ma być poświęcanie swych zasobów i środków na rywalizowanie z Moskwą w sferze informacji o interesy Waszyngtonu w kwestii ukraińskiej, i być może nie tylko?

Odpowiedź powinna być prosta: w dobie i tak zwijania się państw narodowych skupmy wszelkie nasze wysiłki na przyłączeniu się do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, jakiekolwiek w tej chwili by one były. Znikną definitywnie nasze prozachodnie kompleksy, zniknie upokarzający nadzór amerykańskiego ambasadora, nie będzie więcej procedur praworządności z Brukseli, berlińska i inne kuratele dadzą sobie z nami spokój na dobre, być może doczekamy się i tańszej amerykańskiej energii w postaci uwolnionej eksploatacji polskiego węgla, ciężar obrony kraju spadnie na Pentagon, synowie ministra spraw zagranicznych nie będą już dłużej służyć w obcej armii, a kiedy rząd federalny w Waszyngtonie przestanie dyktować swym obywatelom stanu „Polska", co należy i można myśleć i mówić w geopolityce, ich konstytucyjne swobody okażą się rzeczywiste.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f8bc18ad72

REPUBLIKA

Zapraszamy na żartobliwy komentarz bieżących wydarzeń politycznych i krótkich fragmentów programów różnych nadawców

PIACHEM W TRYBY

Codziennie

21:45

w Telewizji Republika

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

eprasa.pl f8bc18ad72

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

KAROL GAC: 12 lipca Sejm uchylił panu immunitet i zgodził się na pociągnięcie pana do odpowiedzialności karnej, a także zatrzymanie i tymczasowe aresztowanie. 15 lipca weszła do pana ABW, ale już kolejnego dnia, na pilnym posiedzeniu, sąd odrzucił wniosek prokuratury o areszt. Wcześniej mieliśmy jednoznaczną reakcję przewodniczącego Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy w pana sprawie. Przyznaję, istny rollercoaster.

DR MARCIN ROMANOWSKI: Donaldowi Tuskowi i jego żądnej zemsty ekipie ewidentnie zależało na spektakularnej akcji przeciwko naszemu środowisku politycznemu. I wyszło spektakularnie, ale myślę, że nie tego się spodziewali. W efekcie przez bezprawne pozbawienie wolności chronionego międzynarodowym immunitetem polityka opozycji postawili Polskę w jednym szeregu z Białorusią i Federacją Rosyjską, jeśli chodzi o standardy rządów prawa.

Spodziewał się pan, że przyjdą po pana funkcjonariusze ABW?

W piątek, bezpośrednio po zgodzie Sejmu na zatrzymanie i postawienie zarzutów, udałem się z moim pełnomocnikiem mec. Bartoszem Lewandowskim do Prokuratury Krajowej, aby odnieść się do zarzutów prokuratury. Jednak żaden z prokuratorów nie był tym zainteresowany. Mój pełnomocnik złożył pismo informujące o gotowości stawienia się na każde wezwanie prokuratury, pozostawiając wszelkie niezbędne dane kontaktowe. Tymczasem Tusk rękoma bodnarowców i ABW zorganizował medialno-polityczną akcję zatrzymania i przymusowego doprowadzenia.

Jak ocenia pan czynności ABW i czas zatrzymania? W przypadku ks. Michała Olszewskiego, a wcześniej Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, mieliśmy do czynienia z niepokojącymi relacjami. Jak było w pana przypadku?

Decyzją zwierzchników zatrzymujących mnie funkcjonariuszy zostałem potraktowany jak groźny przestępca, który dwa dni wcześniej sam się zgłosił do prokuratury, ale „pocałował klamkę". To, a także zasadność użycia kajdanek czy konieczność obnażania się przy przeszukaniu, oceni sąd. Nie chcę jednak koncentrować się na kwestii naruszenia mojej nietykalności. Nie bagatelizując naruszenia prawa, traktuję to jako ryzyko zawodowe polityka walczącego z polityczno-mafijnymi układami. Zdecydowanie bardziej powinniśmy bronić praw ks. Michała, Urszuli i Karoliny, którzy od kilku miesięcy bezpodstawnie pozbawieni wolności cierpieli przemoc i poniżające traktowanie.

Już po pana zatrzymaniu pojawił się temat immunitetu ZP Rady Europy. Większość ocen jest miażdżąca dla prokuratury. Nie wiedziała czy nie chciała wiedzieć?

Jak się okazuje, wiedzieli doskonale. Radio Zet poinformowało, że już w czerwcu Rada Europy miała ostrzegać władze, że jestem objęty immunitetem. Dlaczego to zignorowali? Bo myśleli, że ich polityczni koledzy ze Strasburga przymkną oko na bezprawie. A bali się składać do Rady Europy wniosek o zdjęcie mojego immunitetu, bo doskonale rozumieli, że tam – w przeciwieństwie do polskiego Sejmu – decyduje czasem siła argumentu, a nie tylko argument siły w postaci większości w parlamencie. Z tak oczywiście bezzasadnymi prawnie zarzutami, bez należytego materiału dowodowego, nie mieliby czego szukać w Strasburgu.

Po wyjściu na wolność zapowiedział pan walkę o pociągnięcie winnych do odpowiedzialności. Co pan zamierza?

Za bezprawne pozbawienie wolności i nadużycie władzy grozi do 10 lat więzienia. Tusk, Bodnar, Myrcha, prokuratorzy z zespołu nr 2 i autorzy dwóch „opinii", które miały być podkładką do mojego aresztowania, będą musieli prędzej czy później za to odpowiedzieć.

eprasa.pl f8bc18ad72

Z dr. Marcinem Romanowskim, posłem PiS, byłym wiceministrem sprawiedliwości
rozmawia Karol Gac

Tusk, Bodnar, Myrcha będą musieli za to odpowiedzieć

Cofnijmy się teraz do samej sprawy związanej z Funduszem Sprawiedliwości. Chodzi o politykę?

Atak na Fundusz Sprawiedliwości to narzędzie w walce przeciw Zjednoczonej Prawicy. Mamy do czynienia z brutalną kampanią, którą Roman Giertych i Adam Bodnar prowadzą na zlecenie swego mocodawcy – Donalda Tuska. Jak trafnie zauważył Jarosław Kaczyński, to „kryminalna akcja kryminalnej władzy", która siłowo przejmuje instytucje publiczne. Najpierw TVP, potem prokuraturę, a teraz de facto sądy aresztowe, dbając, żeby byli tam tylko ich ludzie.

Tusk i Giertych są osobiście zainteresowani oczernianiem Zbigniewa Ziobry oraz zdemolowaniem środowiska Suwerennej Polski, a także całej ZP. Ich motywacja jest typowa dla politycznych gangsterów. To zemsta za ściganie przestępczej działalności bliskich współpracowników Tuska. Są niczym „rodzina Soprano". Giertych – wedle prokuratury uczestniczył w wyprowadzaniu 92 mln zł ze spółki giełdowej. Tomasz Grodzki – miał kierować zorganizowaną grupą łapówkarską w szczecińskim szpitalu. Sławomir Nowak – oskarżony o międzynarodową korupcję, 5 mln zł gotówki trzymał w skrytkach w podłodze. Włodzimierz Karpiński – podejrzany o przyjęcie prawie 5 mln zł łapówek w warszawskiej aferze śmieciowej.

Cała Polska słyszała o tych sprawach. Pytanie, co się z nimi dzieje?

Są zamiatane pod dywan. A Tusk zrobi wszystko, by nikt już nie wrócił do sprawy jego syna, który – wedle zeznań świadka – miał wziąć, by następnie przekazać swojemu ojcu, 600 tys. euro łapówki w torebce z Biedronki. Zeznania te ujawnił Zbigniew Ziobro. Sprawa była wyjaśniana, a o autorze tych zeznań sam Tusk mówił jako o bardzo wiarygodnym małym świadku koronnym.

Jak to się ma do pana?

Motyw zemsty jest również ściśle związany ze mną. Powodem są złożone przeze mnie zawiadomienia o popełnieniu przestępstw przez Tuska i jego ministrów: Bartłomieja Sienkiewicza, Marcina Kierwińskiego i Adama Bodnara.

Jednak prokuratura stawia panu 11 zarzutów, w tym udział w zorganizowanej grupie przestępczej. Brzmi poważnie.

Brzmi śmiesznie. Komuś może się nie podobać, że za rządów ZP państwowe dotacje nie szły na marsze równości czy tęczowe piątki. Takie „eventy" to domena samorządowców z PO, na czele z prezydentem Warszawy. My woleliśmy wspierać organizacje patriotyczne, chrześcijańskie, chroniące tradycyjne wartości. I to ma być przestępstwo? Nawet abstrahując od faktów, sama kwalifikacja rzekomych przestępstw urzędniczych jako popełnianych w ramach zorganizowanej grupy jest całkowicie chybiona. Ministerstwo istnieje i działa na podstawie regulacji prawnych, nie powstało w celu przestępczym. Przy takim założeniu prokuratury należałoby przyjąć, że jakiekolwiek przestępstwo popełnione w jakiejkolwiek instytucji byłoby działaniem w ramach grupy. Absurd. A tak naprawdę rzeczywistym hersztem zorganizowanej grupy przestępczej jest Tusk. Siłowe wejście do TVP, wyrzucenie ludzi z pracy, doprowadzenie do ogromnej straty widowni stacji, nielegalne wyłączenie sygnału. Przecież to czysty kryminał. Ten sam herszt wydał polecenie przejęcia prokuratury – również wbrew ustawie i konstytucji.

A pozostałe zarzuty?

Prokuratura zarzuca m.in. działanie na szkodę interesu publicznego, kiedy nie było szkody, bo zadania zostały zrealizowane. Żeby było jeszcze bardziej absurdalnie, zarzuca mi również

eprasa.pl f8bc18ad72

wyrządzenie szkody majątkowej znacznych rozmiarów na podstawie przepisów, które dotyczą działań z zakresu obrotu gospodarczego. Tylko FS nie prowadzi takich działań. Połowa zarzutów dotyczy kwestii czysto formalnych i tutaj są prawdziwe „kwiatki". Zupełnym kuriozum są też dwa ostatnie zarzuty, zgodnie z którymi rzekomo przez miesiąc, gdy zmieniłem status z podsekretarza na sekretarza stanu, działałem bez umocowania. Dlaczego? Zdaniem prokuratury nadanie mi tych uprawnień poprzez zmianę tzw. zarządzenia kompetencyjnego było niewystraczające, bo powinno zostać wydane nowe zarządzenie. Czym różni się z punktu widzenia mocy prawnej czynność zmiany zarządzenia od wydania nowego, prokuratura już nie wyjaśnia. Niczym się nie różni. A na dodatek to „przestępstwo" miałoby być umyślne i popełnione w zorganizowanej grupie, czyli działając w grupie przestępczej, celowo miałem doprowadzić do sytuacji, w której działałem bez umocowania. Aż chciałoby się zacytować klasyka dziennikarstwa: cokolwiek tam bierzecie, bierzcie tego pół.

Jednym z głównych zarzutów jest to, że pieniądze z FS zamiast na pomoc ofiarom przestępstw szły na promocję polityków Suwerennej Polski.

To kłamstwo. FS pomagał ofiarom przestępstw na niespotykaną dotąd skalę. Ponad 500 mln zł trafiło do potrzebujących. Ze wsparcia skorzystało ponad 250 tys. osób, w tym niemal 30 tys. ofiar przemocy domowej. Natomiast rządy PO-PSL na pomoc pokrzywdzonym przeznaczyły nieco ponad 40 mln zł. Fundusz działał nie tylko za pośrednictwem ośrodków, lecz także wspierając szpitale i ochotnicze straże pożarne. To przecież do szpitali trafia wielu pokrzywdzonych, a strażacy z OSP często jako pierwsi niosą pomoc na miejscu różnego rodzaju zdarzeń będących skutkiem przestępstwa, np. wypadków drogowych. Trzeba pamiętać, że zmiana przepisów w 2017 r. rozszerzyła zakres wsparcia z FS o przeciwdziałaniu przestępczości. I ówczesna I prezes SN prof. Gersdorf pozytywnie opiniowała tę zmianę.

A co z tą „promocją"?

Następna perfidna manipulacja. Politycy mają obowiązek działać na rzecz swoich małych ojczyzn. Dobry polityk jest wśród ludzi, rozpoznaje ich problemy, a potem pomaga w realizacji ich potrzeb. Politykom PO wolno było w czasie kampanii wyborczej chwalić się przekazywaniem pieniędzy publicznych na „schetynówki", „orliki", „Polskę w budowie". A nam nie wolno? Oni robili klipy wyborcze z tych akcji. My mieliśmy działać w ukryciu?

Kolejny publicznie wysuwany zarzut dotyczy „ustawiania" konkursów.

W fałszywym świetle przedstawia się sposób funkcjonowania komisji konkursowych. Nigdy nie było tak, że komisja jest wyrocznią, to nie ona przesądza o przyznaniu dotacji, a członkowie komisji nie są niezawisłymi i niezależnymi sędziami. Jej rolą jest przekazanie rekomendacji dysponentowi. To on podejmuje zawsze ostateczną decyzję. Komisja ma więc rolę pomocniczą, a jej członkowie mogli też dyskutować czy dowiadywać się o punkt widzenia kolegów z pracy lub kierownictwa ich departamentów. Jednak ostateczna decyzja co do treści rekomendacji należała do nich. Przecież nawet sędziowie przed rozstrzygnięciem sprawy zasięgają czasami opinii doświadczonych kolegów sędziów, a nawet wysłuchują stanowiska swoich asystentów, co może wpływać na ich ostateczne decyzje. A w tym przypadku mieliśmy do czynienia z pracownikami podlegającymi ocenie z punktu widzenia prawa pracy oraz właściwego wywiązywania się z obowiązków członka komisji. I o tym mówią zapisy obowiązującego rozporządzenia. Dysponent FS może też posługiwać się opiniami zewnętrznymi przy ocenie ofert i zgłosić dodatkowe kryteria wyboru oferty wiążące dla komisji konkursowej. Tak było za PO i taki sposób pracy komisji został przez nas przejęty. To model powszechnie stosowany. Nawet w „Gazecie Wyborczej" jeden z ekspertów przyznał ostatnio, że tak wygląda praktyka działania komisji konkursowych. I nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Bo przecież to nie członkowie komisji, będący często szeregowymi pracownikami, nierzadko o małym doświadczeniu i krótkim stażu pracy, realizują politykę resortu. To rola dysponenta, co jasno wynika z przepisów. Dysponent ma decydujący wpływ na przebieg i rezultat konkursu, bo na nim spoczywa odpowiedzialność za realizację celów Funduszu. Wszystko, co robiliśmy, było więc zgodne z prawem. A jeśli pan Mraz przeprowadzał jakieś kombinacje, to czynił to na własną rękę.

W tej atmosferze strachu i medialnej nagonki łatwo stosować wymuszanie nieprawdziwych zeznań i szantaż wobec świadków. A polityczne zaangażowanie sędziów z prorządowych stowarzyszeń sędziowskich nie napawa optymizmem, aby możliwy był uczciwy proces

Jak pan odnosi się do jego rewelacji?

Ewidentnie trafił do ministerstwa z zadaniem agenturalnym. Działał z intencją, żeby prowokować i wyrządzić krzywdę jak największej liczbie osób. Wszystko służyło wytwarzaniu zmanipulowanego materiału. Dowodem mają być taśmy wątpliwej autentyczności, pocięte i spreparowane pod założoną z góry tezę. A nad wyjaśnieniami Mraza pracował w pocie czoła Giertych, co sam przyznał. To on odpowiada za agenta Mraza i jest jego promotorem, i to nie jest tylko moja ocena.

Ten człowiek był podobno jednym z najbliższych współpracowników Zbigniewa Ziobry.

Bzdura. To kłamstwo wygłoszone przez Giertycha przy pełnej aprobacie Mraza, podczas farsy odegranej na posiedzeniu sejmowego zespołu. Giertych próbuje wykreować swojego agenta na ważną figurę w ministerstwie. W rzeczywistości Mraz był tylko jednym z wielu dyrektorów departamentów, z którym minister Ziobro nigdy nie spotkał się bez udziału osób trzecich. Zupełnie inaczej było z dyrektorami ważnych, z jego punktu widzenia, departamentów, z którymi bezpośrednio angażował się w pracę. Ponadto minister nigdy nie nadzorował Departamentu FS, w którym

eprasa.pl f8bc18ad72

pracował Mraz. A już zupełnym kuriozum jest kreowanie się Mraza na specjalistę od onkologii, kiedy na podstawie tonu głosu kilkusekundowej wypowiedzi ministra Ziobry, którą z daleka usłyszał w słuchawce mojego telefonu, podnosi tezę, że minister mógł nie być chory na nowotwór. Nie mają znaczenia długotrwała kuracja w Polsce, operacja za granicą, rozpoznania medyczne wielu specjalistów z zakresu onkologii. Mraz i Giertych stawiają diagnozę i basta! A mówię o tym przykładzie dlatego, że on dokładnie oddaje ich sposób działania i manipulowania we wszystkich pozostałych sprawach dotyczących FS.

Jaka była rola Zbigniewa Ziobry w działaniach Funduszu?

To wytworzony przez Giertycha mit, że Fundusz był oczkiem w głowie ministra sprawiedliwości. Priorytetem dla niego były legislacja, prokuratura oraz sytuacja w sądownictwie. Reagował na nieuprawnione ingerencje TSUE i KE, nadzorował kolejne projekty reform. Przede wszystkim bardzo absorbowały go jednak obowiązki, które wykonywał jako prokurator generalny. Co, muszę przyznać, było przedmiotem czasem pewnego niezadowolenia wiceministrów, że nie miał wystarczająco dużo czasu dla naszych zakresów obowiązków, jak byśmy tego chcieli. W tej sytuacji FS interesował się sporadycznie. To ja nadzorowałem te sprawy. Zresztą wszystkim swoim zastępcom pozostawiał szerokie pole swobody. Miał do nas zaufanie. Nie mieszał się – jak twierdzą fałszywie Giertych i Mraz – do moich decyzji w sprawie przyznawanych organizacjom pozarządowym dotacji. Nawet trudno by wymagać od ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego, by miał na to czas. Owszem, zdarzało się, że inicjował jakieś zadania. Niektórym na początku poświęcał większą uwagę, np. programowi w zakresie pomocy dla ofiar wypadków drogowych pozostających w śpiączce, który dziś prowadzi klinika Budzik, czy programowi wsparcia dla OSP. Jeśli rozmawiał o problemach i szukał ich rozwiązania, to dotyczyło to ataków medialnych. Bo Fundusz był wściekle zwalczany przez media związane z ówczesną opozycją. To wszystko było negatywnym PR-em, który robił antypromocję Funduszowi. Trzeba było prostować kłamstwa, pokazywać prawdziwy dorobek Funduszu. Zdarzało się też, że niektóre rozstrzygnięcia konkursowe wywoływały u ministra mieszane uczucia. Jednak mimo to nigdy nie ingerował w sam przebieg i rezultat już zainicjowanych konkursów. Zatem usilna próba powiązania Zbigniewa Ziobry z propozycjami formułowanymi przez komisje konkursowe w konkretnych sprawach i ostatecznie zapadającymi decyzjami to oczywiste kłamstwo.

A co z historiami o rzekomym załatwianiu dotacji u ministra? Przecież pan się na niego powoływał?

Bajki z mchu i paproci. Powoływanie się na ministra to częsta metoda dyscyplinowania pracowników, nie byłem tu zresztą wyjątkiem. Naturalnie przychodzili do niego ludzie z pomysłami. Przedstawiciele organizacji społecznych czy politycy. Po to był ministrem, żeby się spotykać i poznawać różnorodne inicjatywy. Podobnie jak do mnie również przychodziło wiele osób z pomysłami. Gdy wydawały mu się cenne, przekazywał je do dalszej oceny. Oczywiście w ramach możliwości Funduszu i o ile przepisy prawa na to pozwalały. Ale na dalszym etapie, tj. wszczętego już postępowania konkursowego, w sprawy nie ingerował, a zwłaszcza w wynik konkursu. Nie jest więc prawdą, jak twierdzi Mraz, że informowałem ministra o szczegółach zainicjowanych już konkursów przed ich rozstrzygnięciem. Kompetencje w tym zakresie minister scedował całkowicie na mnie. Wbrew faktom Mraz przykleja do każdej rozstrzygniętej sprawy i powtarza jak mantrę zestawienie „Romanowski-Ziobro". Zapewne wypracowane przez Giertycha w ramach „przygotowywania" świadka. Celem tego jest odwetowe uderzenie w Zbigniewa Ziobrę. Za Tuska i jego partyjną „rodzinę Soprano". Za Giertycha i jego klienta Leszka Czarneckiego, którego bank uczestniczył w aferze GetBack. Za obronę suwerenności Polski i stanie na straży narodowych wartości.

Nie ma pan sobie nic do zarzucenia?

Na pewno niektóre decyzje kadrowe i nadmierną ufność wobec takiej osoby jak pan Mraz, który zamiast działać lojalnie i zgodnie z prawem, organizował – jak się okazało – prowokacyjne działania. Działałem w zaufaniu do Mraza, który kierował departamentem i zapewniał mnie, że działania, które podejmuje, pozostają w granicach prawa – co najwyżej niektóre decyzje mogły budzić kontrowersje medialne, o czym rozmawialiśmy. Mogę natomiast być dumny z tego, co udało się osiągnąć. W szczególności z budowy sieci 300 punktów pomocy pokrzywdzonym w całej Polsce. Z kliniki Budzik, z programów dla OSP na sprzęt ratujący życie i dla KGW na projekty przeciwdziałania przemocy domowej oraz z wielu projektów edukacyjnych, walczących z chrystianofobią czy polonofobią. Decydując o programach, naborach czy konkursach, wybierałem cele zgodne z misją FS, a zarazem ważne dla obrony wartości, na których zbudowane są nasza wspólnota narodowa i porządek prawny. Realizując te wszystkie zadania, zawsze postępowałem zgodnie z prawem. Każdy konkurs, każda decyzja mają udokumentowane, merytoryczne uzasadnienie.

Czy biorąc pod uwagę ciąg zdarzeń z ostatnich tygodni, jak również to, że był pan zastępcą Zbigniewa Ziobry, spodziewa się pan uczciwego procesu?

W tej sprawie doszło do wielu naruszeń prawa. W tej atmosferze strachu i medialnej nagonki łatwo stosować wymuszanie nieprawdziwych zeznań i szantaż wobec świadków. A polityczne zaangażowanie sędziów z prorządowych stowarzyszeń sędziowskich rzeczywiście nie napawa optymizmem, aby możliwy był uczciwy proces. Doktryna Neumana w polskim wymiarze „sprawiedliwości" ma się dobrze i jest twórczo rozwijana w jeszcze groźniejszy bodnaryzm. Tym niemniej wszystkie wyjaśnienia i dowody na nieprawdziwość wysuwanych wobec mnie oskarżeń przedstawię we właściwym czasie w odpowiedniej procedurze prawnej. Nie można ulegać strachowi wobec naporu bezprawia, nawet jeśli jest to bezprawne uwięzienie. W trakcie lipcowej pielgrzymki Rodzin Radia Maryja na Jasnej Górze spotkałem się z ogromem zapewnień o pamięci w modlitwie i o wsparciu. Kiedy jesteśmy zjednoczeni, możemy stawić czoła złu i zwyciężyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f8bc18ad72

FOT. PIOTR NOWAK/ PAP

Koalicja niezgody

Rafał A. Ziemkiewicz

Parafrazując stary żart: Jaka jest najcieńsza książka świata? Ta o sukcesach rządu Tuska i tworzącej go koalicji. Właściwie da się wskazać tylko jeden: partie tworzące koalicję wygrały wybory i stworzyły najliczniejszy w dziejach III RP gabinet – media przestały liczyć jego ministrów po bodajże 136

Od powstania rządu nawet jeśli coś się koalicji udaje, to ostatecznie się nie udaje. Udało się przejąć siłą państwową telewizję, ale za cenę utraty przez nią widzów i finansowania z abonamentu (bo KRRiT uznaje działania „likwidatorów" za nielegalne, w czym ma wsparcie sądów). Udało się aresztować Kamińskiego i Wąsika, upokarzając przy tym prezydenta, ale zaraz trzeba ich było wypuścić… Żeby nie dłużyć, ograniczmy się już tylko do ostatniego tygodnia: udało się „dowieźć" projekt najuroczyściej przez Tuska obiecanej lewicowemu elektoratowi legalizacji aborcji na życzenie poprzez jej „depenalizację", ale koalicja nie zdołała go przegłosować. I udało się aresztować Mariusza Romanowskiego, ale jego też trzeba było zaraz wypuścić, po gniewnym liście Theodorosa Roussopoulosa, bo bodnarowscy prokuratorzy zignorowali to, że oprócz uchylonego, krajowego, ma jeszcze były wiceminister immunitet europejski jako członek Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy.

PIEKŁO TUSKA

Już pierwsza z tych spraw była dla Tuska bolesna: nie żeby tak bardzo uwierzył w „piekło kobiet", ale zamierzał za jednym zamachem zrobić kolejny krok w marginalizowaniu Lewicy (pokazując jej wyborcom, kto naprawdę może ich oczekiwania spełnić, a kto tylko o nich mówić) i zmusić prezydenta Dudę do weta, by umocnić budowaną przez PO PR-owską narrację, w której pisowski prezydent reprezentuje religijny zaścianek, a obóz Tuska – światłą europejskość. Tymczasem pokazał spektakularnie, że poza nienawiścią do PiS i zemstą koalicja, na której się wspiera, jest podzielona i niespójna.

Sromotna porażka w sprawie Romanowskiego to jeszcze większa wizerunkowa klęska. I rozpaczliwe pocieszanie się przez prof. Sadurskiego i innych kibiców rządu, że Romanowski „w końcu i tak będzie siedzieć", brzmi żałośnie, bo przecież nie chodziło o ewentualne przyszłe skazanie, które przy tak marnych „dowodach" jest palcem na wodzie pisane, tylko właśnie o aresztowanie – TVN i Onet już by zadbały, aby „środek zapobiegawczy" odebrano jako „zasłużoną karę" i dowód słuszności miotanych oskarżeń. Zresztą nawet skrajnie radykalny w domaganiu się zemsty na PiS sędzia Tuleya zmuszony był przyznać (w wywiadzie dla Renaty Grochal), że ponownego aresztowania Romanowskiego w październiku, najwcześniej we wrześniu, bo tyle zajmie procedura ewentualnego uchylenia mu immunitetu w Zgromadzeniu, nie da się prawnie uzasadnić – do tego czasu, jeśli chce, to zdąży już namataczyć do woli.

W związku z czym nie ma też uzasadnienia dla dalszego przetrzymywania w aresztach ks. Olszewskiego i urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości. Oczywiście ich sprawą zajmują się prokuratorzy, którzy mają już doświadczenie w bezprawnym przetrzymywaniu ludzi w „wydobywczym" areszcie. Ale, po pierwsze, poprzednio chodziło o „kiboli", za którymi mało kto był skłonny się ujmować, a po drugie i ważniejsze – pokazanie Iustitii, #SilnymRazem i innym ośmiogwiazdkowcom, że jedynymi „pisowskimi aferzystami", których Tusk jest w stanie rzucić im na pożarcie, są takie płotki, raczej ich rozsierdzi, niż udobrucha.

eprasa.pl f8bc18ad72

Już Romanowski był przecież więźniem zastępczym, wziętym na cel zamiast Zbigniewa Ziobry, gdy okazało się, że tego ostatniego chroni społeczne tabu związane z ciężką chorobą.

Mniejsza już o to, że przy okazji solidnie skompromitowały się peowskie media z korowodem swych dyżurnych ekspertów, do wtorkowego wieczoru wmawiające, że żaden europejski immunitet Romanowskiemu nie przysługuje i prośba o interwencję Zgromadzenia wzbudzi tam tylko „kupę śmiechu" oraz „doszczętnie skompromituje" PiS. Mniejsza nawet o to, że władza, doprowadzając do przywołania jej do porządku przez „Europę", nadkruszyła filar swej legitymizacji, którym było rzekome stosowanie się do „europejskich standardów". Istota sprawy w tym, że – mówiąc najkrócej – wyborcy koalicji po wszystkich sygnałach, że ich wybrańcy nie potrafią nic poza rozliczaniem PiS, dostali jeszcze jeden, dobitny: że i tego nie potrafią.

ATAK NA PSL

Frustracja, że „nie tak miało być", skłania Tuskowe zaplecze do rzucania się sobie nawzajem do gardeł. Po klęsce projektu aborcyjnego progresiści ruszyli ze zmasowanym atakiem na PSL – gdzie, skądinąd, i tak kipi już niezadowolenie z uległości Kosiniaka-Kamysza wobec Tuska, szczególnie po tym, jak premier uderzył w MON prowokacyjnym spektaklem zakucia w kajdanki żołnierzy broniących granicy i mocno w ten sposób zredukował wynik Trzeciej Drogi w eurowyborach. Wojsko nie ma na granicy nic do powiedzenia, musi wykonywać polecenia Straży Granicznej – czyli ministra Siemoniaka – która na dodatek, jako dysponentka nagrań z przygranicznych kamer, donosi na nie do specjalnego zespołu prokuratorów Bodnara, tropiącego „nadużycia siły" przez żołnierzy, a Kosiniak-Kamysz nie dość, że godzi się firmować sobą i PSL niepowodzenia peowskiego resortu, to jeszcze ośmiesza się bezsilnymi apelami. A teraz na dodatek „jeżdżą" po PSL wszystkie prorządowe media, z intensywnością nienotowaną od września ubiegłego roku, kiedy to Tusk nakazał zmienić narrację o „jednej liście".

Marna pociecha, że bardziej jeszcze jeżdżą po Romanie Giertychu – bo to jego gest wyjęcia poselskiej karty z systemu wzbudził szczególną wściekłość salonów. Wielokrotnie wypominały one, że – wedle relacji Tuska – Giertych miał zobowiązać się, iż jeśliby zagłosował wbrew dyscyplinie partyjnej, oddałby mandat wraz z immunitetem. On sam wyjaśnił z adwokacką zręcznością, że właśnie dlatego nie zagłosował przeciw, tylko nie wziął udziału w głosowaniu, a to nie to samo. W ogóle bronił się zręcznie, zamiast meritum sprawy podkreślając, że projekt lewicy był legislacyjnym bublem, co zresztą jest zgodne z prawdą. I natychmiast po wypuszczeniu przez sąd Romanowskiego przystąpił do kontrataku.

Mówiąc ściśle, kontratakiem przeciwko lewicy zajął się jego wieloletni przyjaciel Michał Kamiński – w nagranym na gorąco komentarzu gromiąc ją, że chce wyrzucać Giertycha, który jako jedyny skutecznie walczy z PiS, bo ma „niepoprawne" poglądy na aborcję, a popiera Bodnara, który jest za aborcją, za to zawalił sprawę „rozliczeń" (co prawda, to przecież nie Lewica zrobiła Bodnara ministrem – jak widać, w koalicji Tuska, podobnie jak w Zjednoczonej Prawicy za jej rządów, frakcje mogą się żreć między sobą, ale lidera nikt się atakować nie odważy). Sam Giertych w tym czasie uderzył bezpośrednio w swego głównego rywala, czyli właśnie Bodnara, w typowy dla siebie sposób łącząc teorie spiskowe z agresją wobec PiS. Przyczyną kompromitacji – jak stwierdził – jest to, że Bodnar pozostawił w prokuraturze 90 proc. „ludzi Ziobry", którzy sabotują rozliczenia – zgodnie z teorią „pisowskiego deep state" sformułowaną już przez Bartłomieja Sienkiewicza i nader popularną w najtwardszym antypisie. Padły też mocne słowa o kompromitacji bodnarowskiej Prokuratury Krajowej, która zmarnowała dorobek „wielu godzin ciężkiej pracy" parlamentarnej komisji Giertycha. Stwierdzenie, że prokuratura nie przeprowadziła własnego śledztwa, tylko dostała wszystko na tacy od Giertycha, i przez niekompetencje nominatów Bodnara zmarnowała, jest horrendalne i kompromitujące, ale dla rządu jako takiego (nie pierwszy raz: przypomnijmy kancelarię Clifford Chance i posłużenie się przygotowanymi poza prokuraturą dokumentami przez Ewę Wrzosek), nie dla Giertycha. A sugestia jest jasna: Bodnar to mięczak, tylko ja wiem, jak pokierować ministerstwem, żeby PiS naprawdę został rozliczony.

Dla wspomnianego najtwardszego antypisu, przypominającego w swej zajadłości sektę, to ważki argument (już podchwycony przez Tomasza Lisa, zasypującego rządzących deklaracjami typu „jak dalej będziecie tak rozliczać PiS, to my was rozliczymy" czy „potrzebni są twardziele, a nie miękkie faje i chłopcy z chóru kościelnego"). A jak dotąd Tusk zawsze ulegał oczekiwaniom tej grupy. Giertych, zawieszony w prawach członka klubu, niewiele ma do stracenia i gra ostro. Czy skutecznie? Po konferencji prasowej „pełniącego obowiązki prokuratora krajowego" Daniela Korneluka, wijącego się pod ostrzałem dziennikarzy jak niegdyś podobnie pozostawiony sam sobie Zbigniew Chlebowski, wydaje się, że co najmniej jego i być może jeszcze kilku ludzi Bodnara uda się Giertychowi „odstrzelić". Ale do realizacji marzeń o odegraniu roli Wielkiego Inkwizytora Antypisu jeszcze daleko.

A Tusk, jak ma to w zwyczaju w sytuacjach kryzysowych, na dłuższy czas zniknął – nie tylko fizycznie, bo wiadomo, że wypoczywa nad Morzem Śródziemnym, lecz także nawet z portalu X. Swoim zwyczajem zaczekał, aż jego luzie zbadają oczekiwania elektoratu, by wypowiedzieć się zgodnie z nimi. Jak się okazało, wyborcy PO wciąż bardziej sympatyzują z Bodnarem niż z Giertychem, bo Tusk pochwalił prokuraturę za „dobrą robotę" i złożył winę na „kruczki prawne" zastosowane przez obrońcę oskarżonego. Ale to wstępna deklaracja i może się jeszcze zmienić. Na ostateczny wyrok czekają nie tylko Bodnar i Giertych, nie tylko lewica, zagrożona pozbawieniem obiecanego wcześniej „rotacyjnego" Marszałka Sejmu, lecz także Hołownia, który w zamieszaniu z pominięciem opinii Zgromadzenia też, delikatnie mówiąc, nie błysnął i trudno na razie powiedzieć, na ile skuteczne okażą się teraz jego próby zdystansowania się od sprawy.

Tymczasem wszyscy właściwie eksperci i komentatorzy są zgodni, że obecne problemy w koalicji, wytworzone przez nią samą, to zaledwie przedsmak tego, co na jesieni przyniesie zderzenie ze spadkiem poziomu życia, nieuchronnym wobec szalejących cen energii, nałożenia na Polskę przez UE procedury nadmiernego zadłużenia, powracającej inflacji etc. To będzie dopiero prawdziwy test spójności koalicji. Jak zwykło się mówić: „Lepiej już było".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f8bc18ad72

Wtopa 12 czyli anatomia przegranej

Piotr Semka

Nieudana próba przeforsowania depenalizacji aborcji to najpoważniejsze pęknięcie w koalicji rządzącej od czasu jej powstania. Reakcje na sejmowe niepowodzenie wiele mówią o obecnym stanie umysłów w obozie władzy. Przypatrzmy się racjom i rachubom wszystkich graczy występujących w tym spektaklu

Można doskonale zrozumieć, dlaczego lider Platformy tak bardzo potrzebował jakiegoś sukcesu z obszaru zmian obyczajowych. Było mu to bardzo potrzebne po paśmie ostatnich porażek. Począwszy od upokorzenia związanego z wizytą kanclerza RFN Olafa Scholza, przez odrzucenie przez Komisję Europejską planów opłacenia z funduszy unijnych planów wzmocnienia polskiej granicy wschodniej, a skończywszy na fiasku idei, by z polskiego węgla wytwarzać prąd dla Ukrainy pod kuratelą instytucji unijnych.

TUSK NA SPALONYM

Tyle że pilna potrzeba sukcesu nie przełożyła się na profesjonalizm działań. Tusk zdecydował, że większe szanse na przeforsowanie przez Sejm, od głosowania nad związkami partnerskimi, może mieć depenalizacja aborcji. Zamiast samemu przypilnować, by projekt był profesjonalnie napisany, oddał sprawę w ręce radykalnych aktywistek feministycznych, które napisały projekt „na kolanie".

Najdokładniejszą krytykę ustawy przeprowadził nie kto inny, jak Roman Giertych, wskazując, że dawałaby ona swobodę działania każdemu znachorowi i konowałowi w ramach tzw. pomocy przy usuwaniu ciąży. Bardzo trafną analizę błędów lewicy sporządził też Krzysztof Bosak: „Koalicja rządząca [...] stała się [...] zakładnikami fanatyków z lewicy. To pod presją lewicy po wulgaryzmach

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl f8bc18ad72

lipca,

jednej z jej liderek skierowanych w stronę marszałka Sejmu wzięto pod obrady i głosowanie w pierwszej kolejności najradykalniejszy projekt. Wbrew sztuce legislacyjnej zaczęli nie od zmiany przepisów szczegółowych ustawy o ochronie życia, ale od Kodeksu karnego, który powinien być aktualizowany w drugiej kolejności [...]. Pracowano nad zmianami w pośpiechu, chaotycznie i bardzo głęboko ze świadomością, że robią zmiany sprzeczne z orzecznictwem TK tak starym, jak nowym". Tej nonszalancji lewicowych aktywistek towarzyszyła arogancja argumentacji. Anna Maria Żukowska z Lewicy głosiła: „Przerywanie własnej ciąży na gruncie prawa polskiego nie jest karalne, nie jest czynem przestępczym. Tym bardziej nie można karać za pomoc w czymś, co przestępstwem nie jest".

Była to bardzo nieuczciwa argumentacja. Czym innym jest niekaranie kobiety za przeprowadzenie aborcji, a czym innym faktyczne delegalizowanie pomocy w aborcji w wykonaniu ludzi zupełnie przypadkowych, których działania mogą doprowadzić do zagrożenia zdrowia lub życia. To, że Tusk nie miał czasu ani nie wskazał ludzi z odpowiednią wiedzą prawniczą do nadzorowania prac nad projektem, świadczy o rosnącej arogancji lidera rządu. Dodatkowo premier był absolutnie przekonany, że w pełni już kontroluje sytuację w koalicji.

Dopiero teraz, po wielkiej klęsce z 12 lipca, wychodzi na jaw, że przekonanie o istnieniu większości zdolnej do przeforsowania depenalizacji aborcji było złudzeniem. Wspierający rząd portal OKO.press ujawnia: „Według kuluarowych interpretacji premier Donald Tusk miał być niedoinformowany i uwierzyć w ogólnikowe deklaracje ze strony PSL, że »będzie dobrze i ustawa się prześliźnie«. Zaprzecza tym pogłoskom wicemarszałkini Sejmu Monika Wielichowska (KO). Mówi OKO.press: »Nie wiedzieliśmy, co się wydarzy. Sala sejmowa jest zawsze żywym organizmem. Do końca nie wiedzieliśmy, ile osób z PSL będzie głosować za, ile będzie przeciw«".

Można zadać pytanie, co robił Zbigniew Konwiński, przewodniczący Klubu Parlamentarnego Koalicji Obywatelskiej. Czy nie przeprowadził elementarnego sondażu dotyczącego szans projektu? Zobaczyliśmy więc Donalda Tuska w roli polityka tracącego kontakt z rzeczywistością, działającego ad hoc na podstawie nietrafnych wyobrażeń. Ten mało pochlebny dla Tuska obraz został po porażce sejmowej wzmocniony nowym wizerunkiem – polityka, który wpada w furię i który na oślep zawiesza dwóch posłów swojego ugrupowania. Pierwszy z nich, Waldemar Sługocki, był nieobecny z racji podróży służbowej do Stanów Zjednoczonych, gdzie spotykał się z wiceszefem NASA, i był całkowicie usprawiedliwiony. Drugi przypadek był dla Tuska o wiele bardziej konfundujący. Osobą, która uchyliła się od głosowania, był Roman Giertych, który dotychczas miał status wręcz ulubieńca lidera PO. Obu parlamentarzystów zawieszono na trzy miesiące w prawach członków klubu Koalicji Obywatelskiej.

SZPAGAT GIERTYCHA

Dlaczego Roman Giertych nie wziął udziału w głosowaniu? W twitterowym wyjaśnieniu napisał: „Wiele moich poglądów ewoluowało [...]. Dzisiaj ze względu na szacunek wobec poglądów zdecydowanej większości wyborców KO oraz wobec dyscypliny klubowej postanowiłem nie brać udziału w głosowaniu nad projektem Lewicy". Giertych krytykował rozwiązania nowego projektu, wskazując, że niektóre jego zapisy mogłyby być wykorzystane przeciwko kobietom, których dobro rzekomo stawiane było przez autorów projektu na pierwszym miejscu. Po reprymendzie Tuska natychmiast też pospieszył z zapewnieniami, że z pokorą przyjmuje wyznaczoną mu karę.

Zdumiewa jednak jedna sprawa. Skoro Giertych zauważał ewidentne wady prawne projektu Lewicy, to dlaczego nie przestrzegł przed tym Tuska? Czy oznacza to, że między oboma panami nie ma tak bliskich relacji, jak powszechnie sądzono? A jeśli tak, to czy oznacza to również, że drogi obu polityków zaczynają się rozchodzić?

Rzuca się w oczy to, że były lider Młodzieży Wszechpolskiej nie zdecydował się na otwarte powiedzenie, iż odrzuca depenalizację aborcji z przyczyn światopoglądowych. Ale nie mógł tego zrobić, bo wtedy natychmiast przypomniano by mu, że zaakceptował startowanie z list KO przy pełnej świadomości, iż jej lider dąży do legalizacji aborcji. Wypomniała mu to jedna z internautek, Monika

eprasa.pl f8bc18ad72

Zakrzewska: „Przed wyborami na wielokrotne pytania o to, jak pan zagłosuje w sprawach aborcyjnych, używał pan swojej niekwestionowanej inteligencji i erudycji, by ukryć prawdziwą odpowiedź. Wielu się na to nabrało. To było oszustwo czy tchórzostwo? Już wtedy musiał pan mieć świadomość, że wyjawienie prawdy poważnie może zaszkodzić uzyskaniu mandatu. A być może całkowicie przekreślić. Trzymając się zasad własnego sumienia, nie wchodziłby pan na listy partii, której jednym z głównych postulatów jest aborcja do 12. tygodnia".

Ten zarzut z lewej strony doskonale przypomniał trudny do pozazdroszczenia status Romana Giertycha na dworze Donalda Tuska. Z jednej strony Tusk pozwala mu pełnić rolę „mózgu" polityczno-prawnej zemsty na PiS, z drugiej strony wymaga to wyrzeczenia się konserwatyzmu, którym Giertych lubi kokietować tę część prawicy, która nie przepada za PiS. Ceną za taki szpagat są wybuchy wściekłej niechęci Lewicy wobec byłego ministra oświaty. Co zresztą istotne, nawet po pół roku pryncypialnego antypisizmu znajdują się po lewej stronie tacy, którzy Giertycha podejrzewają o jakąś tajną grę z PiS. Michał Danielewski, wiceszef portalu OKO.press, tuż po głosowaniu sejmowym zadawał na portalu X pytanie: „Lewica zawiesiła posłankę Matysiak za współpracę z Horałą. Czy KO zawiesi Giertycha za współpracę z PiS i Konfederacją przeciwko prawom kobiet?". Danielewskiemu najwyraźniej nie przyszło do głowy, że stosunek do aborcji nie musi oznaczać jakichkolwiek spisków z partią Jarosława Kaczyńskiego. Ale samo stawianie takich pytań pokazuje, jak kruchą pozycję ma pan Roman w obozie platformerskiej zmiany.

Giertych uzyskał okazję do odwinięcia się Donaldowi Tuskowi parę dni później, gdy prokuratura zmuszona była w kompromitujący dla niej sposób uznać decyzję sądu o zwolnieniu posła klubu PiS Marcina Romanowskiego z racji naruszenia jego statusu członka zgromadzenia parlamentarnego Rady Europy. Giertych pisał: „Przez setki godzin pracowaliśmy nad sprawą Funduszu Sprawiedliwości. Od miesięcy czekaliśmy na wnioski o uchylenie immunitetów, które prokurator Korneluk zapowiadał od marca. Dziś główny podejrzany wychodzi na wolność, bo PK zapomniała złożyć wniosek o uchylenie immunitetu do RE. Kompromitacja Prokuratury Krajowej".

Giertych nie posunął się tak daleko, aby napisać, że jest to „kompromitacja Donalda Tuska". Ale znaczenie tego wpisu na portalu X musiało być dla premiera mało przyjemne. Pytanie: Czy po tym zderzeniu waleczny Roman ma jeszcze szansę u Tuska na wymarzoną funkcję ministra sprawiedliwości lub prokuratora generalnego?

WYKLĘCI LUDOWCY

PSL, którego większość klubu zagłosowała przeciwko depenalizacji aborcji, z miejsca stał się wrogiem obozu radykalnych feministek. W Poznaniu tablice biura zarządu wojewódzkiego PSL zostały oblane czerwoną farbą. W Szczecinie na demonstracji strajku kobiet skandowano hasło: „Od Giewontu aż po Hel, j…ć PSL". Jedna z przemawiających na wiecu głosiła: „Nie o taką Polskę walczyłyśmy. Koalicja 15 października miała stać po stronie kobiet, bo to dzięki ich protestom PiS trafił do opozycji". Jeszcze większy poziom agresji zaprezentowała lewicowa wicemarszałek Senatu Magdalena Biejat: „Nie damy spokoju kolegom z PSL, dopóki nie stwierdzą, że bardziej opłaca się im przyjąć tę ustawę niż cały czas musieć się z nami – brzydko mówiąc – użerać. A będą musieli się z nami użerać".

Na plus PSL trzeba powiedzieć, że jego politycy byli w stanie odważnie reagować na tego typu zaczepki. Poseł Tadeusz Samborski mówił: „W Polsce trzeba podnieść dzietność. Dlatego zagłosowałem przeciwko dekryminalizacji aborcji [...]. Projekt był chaotyczny, trochę niespójny". Równie zdecydowanie odpowiadał na ataki poseł Marek Sawicki. W trakcie audycji w Polsat News wskazywał: „Sam wasz Roman Giertych (źle) ocenił tę ustawę. W myśl tej ustawy, gdyby została przyjęta, szeptucha, która podczas aborcji zabija matkę i dziecko, nie ponosiłaby żadnej odpowiedzialności".

Dlaczego PSL zdecydował się na odrzucenie projektu, któremu patronował sam Donald Tusk? Można podejrzewać, że jest to wynik obserwacji, jak w ostatnich dwóch wyborach do samorządów i do europarlamentu Platforma pożera elektorat ludowców. Być może to właśnie skłoniło Władysława Kosiniaka-Kamysza do podkreślenia swego osobnego stanowiska w rozmaitych sporach. Po raz pierwszy lider PSL pokazał tę nową taktykę, krytykując usunięcie z Muzeum II Wojny Światowej wizerunków Witolda Pileckiego, rodziny Ulmów i o. Maksymiliana Kolbego. Teraz Kosiniak-Kamysz wyraźnie zademonstrował, że wejście do wspólnej koalicji z PO nie oznacza wspierania lewicowych awanturniczych projektów z kręgu feministek.

Zdecydowanie PSL było tym bardziej jaskrawe na tle absolutnej mimikry Polski 2050 Szymona Hołowni. Hołownia, mimo deklarowania przez wiele lat, że jest przeciwnikiem aborcji, posłusznie poparł skandaliczny projekt Lewicy i tak samo głosowali wszyscy obecni członkowie jego klubu. Oznaczać to może coraz bardziej rozchodzące się drogi Kosiniaka-Kamysza i Hołowni. Przy tym tempie urawniłowki Polski 2050 można przyjąć, że ugrupowanie Hołowni może z czasem stopić się z Platformą, jak niegdyś uczyniła to Nowoczesna Ryszarda Petru.

Warto podchodzić do całego incydentu z 12 lipca z odpowiednim spokojem. Nie jest to oczywiście wydarzenie, które rozsadzi koalicję w krótkim planie. Ale poziom zacietrzewienia zwolenników aborcji wobec tych członków Koalicji, którzy nie są przekonani do takich zmian, na pewno poszerzy pęknięcie między ludowcami z jednej strony a Platformą, ugrupowaniem Hołowni i Lewicą z drugiej strony. Dla konserwatystów to oczywiście krzepiący sygnał, że bałamutna propaganda feministek znajduje jednak opór.

Teraz pytanie, jak PSL zachowa się w nadchodzącym sporze o legalizację tzw. związków partnerskich. I kolejne pytanie, w jakim stopniu Tusk pozwoli w tym wypadku znów na wojujący radykalizm feministek i speców od rewolucji obyczajowej w Polsce. Afera wokół 12 lipca pokazała Donaldowi Tuskowi, że Lewica i feministki to kłopotliwy sojusznik. Lewica po całej tej awanturze pokazała się jako obóz przekonany o swoim monopolu na rację, niezdolny do refleksji nad swoją niekompetencją i gotowy do „świętej wojny" wewnątrz koalicji Tuska w razie najmniejszego sprzeciwu wobec ich haseł. Pytanie: Czy lider Platformy będzie nadal niewolnikiem ich agendy obyczajowych zmian?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f8bc18ad72

Granica niepokoju

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Mieszkańcy terenów graniczących z Białorusią od trzech lat żyją w stanie podwyższonej czujności. Mimo zapory i licznych funkcjonariuszy napływ nielegalnych migrantów trwa. Niektórzy postanowili wziąć sprawy w swoje ręce

Kilku, kilkunastu młodych mężczyzn idzie z plecakami szeroką drogą wiodącą przez środek puszczy. Z powodu ostrego upału niektórzy nie mają na sobie koszulek. To tzw. spacer, czyli przejście od kilku do kilkunastu kilometrów w celu zlokalizowania nielegalnych migrantów, którzy przekroczyli granicę od strony Białorusi. Zlokalizowania, a następnie – jak zapewniają „spacerowicze" – przekazania ich w ręce Straży Granicznej. „Kolejny spokojny dzień. Przy płocie brak żadnych incydentów. Miejmy nadzieję, że to się utrzyma. My spacerujemy dalej i podziwiamy uroki Puszczy Białowieskiej" – czytamy w jednym z facebookowych wpisów Inicjatywy Ochrony Mieszkańców Pogranicza. Pod koniec czerwca na profilu Narodowa Hajnówka (organizacji, która odpowiada za Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych w Hajnówce) opublikowano następujące ogłoszenie: „Po paru rozmowach z mieszkańcami przygranicznych miejscowości i sygnałach o tym, że ludzie boją się o bezpieczeństwo swoje i swoich dzieci, spowodowane działalnością aktywistów i nielegalnych imigrantów, postanowiliśmy aktywnie zadziałać".

ZDANI SAMI NA SIEBIE

Na razie grupa działa nieformalnie, choć – jak mówi „Do Rzeczy" jej chcący zachować anonimowość przedstawiciel – są plany sformalizowania. – Cały czas jesteśmy wśród mieszkańców, rozmawiamy z nimi. Dostrzegliśmy, że mają dość tego wszystkiego, co dzieje się wokół – dość aktywistów narzucających swoje racje, których mieszkańcy terenów przygranicznych nie popierają. To także coraz częstsze kontrole różnych służb, pałętający się migranci. Postanowiliśmy coś z tym zrobić – wyjaśnia rozmówca tygodnika.

Mieszkanie w strefie lub tuż przy niej ma swoją specyfikę. To często jeden dom lub dwa, tuż pod lasem, gdzie człowiek jest zdany właściwie sam na siebie. Niedługo po wybuchu sztucznie wykreowanego kryzysu migracyjnego, jesienią i zimą lat 2021 i 2022, historii o migrantach chodzących wokół gospodarstw było wiele. Chodzili po wioskach w poszukiwaniu schronienia, jedzenia, kogoś, kto ich wywiezie na zachód i dalej, do Niemiec, a mieszkańcy się bali. – Przede wszystkim zachować spokój, udawać, że się go nie widzi. Żeby nie pokazać, że się go boi. W momencie, gdy się go minie, trzeba wykonać telefon do Straży Granicznej – tak jedna z mieszkanek tamtych terenów opisuje instrukcję przekazaną przez służby.

Ostatnie tygodnie przy granicy z Białorusią są nieco spokojniejsze. Jednak – jak podkreśla przedstawiciel Inicjatywy Ochrony Mieszkańców Pogranicza – kryzys narasta falami. Momentem, który dla wielu oznaczał przekroczenie pewnej nieprzekraczalnej granicy, była śmierć 21-letniego żołnierza, Mateusza Sitka, który zmarł po zranieniu przez migranta. – Na naszą aktywność złożyły się różne czynniki, także śmierć żołnierza na granicy. Wiele osób miało potrzebę zrobienia czegoś. Podkreślmy, że to wszystko nie trwa tydzień czy dwa, ale my się borykamy z tą sytuacją od kilku lat. Ludzie mieli po prostu dość, a my jesteśmy grupą młodych osób, która ma pewne doświadczenie; pochodzimy z różnych środowisk. Jeśli my z tym nic nie zrobimy, to starsze osoby, które wiadomo, że mają często problemy zdrowotne, same nie dadzą rady. Przejście 20–30 km po lesie to dość duży wysiłek – przekonuje rozmówca „Do Rzeczy".

– Jesteśmy przygotowani w kwestii udzielania pierwszej pomocy. Mamy sprzęt, aby w razie konieczności pomóc. Mamy jedzenie, mamy wodę. Robimy bardzo podobne rzeczy do pomocy humanitarnej. Tylko że my, osoby, które nielegalnie przekroczyły granicę, przekazujemy służbom. Zawsze w pierwszej kolejności – ze względu też na nasze dobro, żeby nikt nie zarzucił nam nie wiadomo czego – powiadamiamy odpowiednie służby, które robią swoją robotę – wskazuje. Na pograniczu działają też m.in. członkowie Stowarzyszenia Jednostka Strzelecka Hajnówka.

ZARZUTY LIBERALNYCH MEDIÓW

Działalność przygranicznych grup budzi wściekłość mediów lewicowo-liberalnych, które straszą „nacjonalistycznymi bojówkami", chcącymi „dopaść migrantów i aktywistów". „Od końca czerwca w Internecie powstają grupy »obrońców« polskiej granicy. Najbardziej radykalni chcą 11 lipca ustalić plan działań, a w sieci nawołują do obalenia rządu

eprasa.pl f8bc18ad72

i zabijania migrantów. Mniej radykalni na granicy szukają migrantów. I nie mogą ich znaleźć" – pisze na portalu OKO.press Anna Mierzyńska.

Wśród zarzutów formułowanych pod adresem „spacerowiczów" jest ten, że ludzie ci mają pojęcie o broni i w przyszłości mogą przekształcić się w niebezpieczną grupę, chcącą mieć wpływ na politykę. „Najczęściej zapewniają o chęci organizowania »wycieczek« na granicę – tak określają wyjazdy w celu tropienia migrantów. Prezentują też swoją muskulaturę i polowe mundury. Zapewniają o przeszkoleniu lub doświadczeniu wojskowym. Na takich grupach gromadzą się weterani, byli żołnierze WOT" – opisuje Mierzyńska. Co ciekawe, z tekstu płynie taki oto wniosek – źli nacjonaliście chodzą po puszczy, ale nikogo nie mogą w niej znaleźć. – To są brednie. Poprosiłbym o konkretne dowody dziennikarzy, którzy takie artykuły piszą. Albo zgłoszenie z policji, czy ktoś zgłosił, że nasza grupa zrobiła komuś jakąś krzywdę w lesie. Wymyślają głupoty, bo chcą stłamsić naszą inicjatywę. Są u nas ludzie różni. O poglądach lewicowych, narodowych. Mieszanka osób w różnym wieku. Nie mieszamy się w politykę, co także się nam zarzuca. Nie chcemy obalać rządu. W większości to młodzi mężczyźni, prawda, ale są też kobiety. Jednak ze względów bezpieczeństwa nie ujawniamy, kto, co i jak, bo te osoby miałyby na pewno problemy – tak na zarzuty OKO.press odpowiada nasz informator.

Prawdą jest, że podobnych inicjatyw, choć funkcjonujących w inny sposób, przy granicy jest więcej. W sieci można znaleźć nagrania i zdjęcia mężczyzn, którzy nie zasłaniają twarzy. Podjeżdżają pod puszczę dużymi samochodami i ewidentnie chcą się „pokazać". Tatuaże, mięśnie i zapowiedzi „zrobienia porządku". Nie wiadomo, co robią, gdy faktycznie spotkają migranta. Na Facebooku funkcjonuje też grupa „Bronimy polskiej granicy". Jej założycielem jest Dariusz Sierhej, zawodnik MMA. „Nasza grupa ma łączyć Polaków, braci i siostry niezależnie od tego, za którą są partią. My nie przynależymy do żadnej partii, do żadnej subkultury. Nie nawołujemy do nienawiści, nie nawołujemy do zamieszek. Kochamy swój kraj, bo jesteśmy patriotami" – pisze Sierhej w odpowiedzi na krytyczny tekst Anny Mierzyńskiej (która postanowiła uczynić jego towarzyszom ciekawy zarzut; „Dwóch jego kolegów, z którymi przemierza tereny przygraniczne, dość regularnie gra role epizodyczne w serialach telewizyjnych. Zawsze grają przestępców. Ewentualnie gangsterów o dobrym sercu. Taką rolą chwali się jeden z nich na swoim prywatnym profilu" – wskazuje Mierzyńska). W ubiegłym tygodniu Sierhej organizował obóz survivalowy dla mężczyzn pod hasłem „Jak radzić sobie w lesie". „Pokażemy, jak sobie radzić w lesie, będziemy spacerować w lasach, spanie survivalowe, namiot, nauczymy, jak przetrwać w lesie, rozpalić ognisko, kurs pierwszej pomocy czy samoobrony" – zachęcano. Choć wielu komentujących w sieci jest zachwyconych, to z mieszkańcami polsko-białoruskiego pogranicza jest różnie. „Pamiętam tego typu wycieczki z 2021 r. To jest nic innego, jak zawracanie dupy służbom. Te auta na obcych blachach będą musiały być monitorowane, gdy zbliżą się do granicy, zostaną sprawdzone/skontrolowane. Co to oznacza? Odciągnięcie służb od ich pracy na granicy. A tu każda para wykwalifikowanych rąk na wagę złota. Rąk profesjonalistów, a nie tiktokowych influencerów. Chłopaki chcieli zabłysnąć, a nawet nie zaiskrzyło. Ponadto mieszkańcy pogranicza od początku kryzysu zdawali się na reakcję odpowiednich służb. Na razie nie zawiedliśmy się. Po prostu dajmy im pracować. Nie ma potrzeby tu przyjeżdżać. Szczególnie gdy coś komuś nie styka" – komentuje na portalu X Jacek Słoma, rolnik spod Krynek.

– Wiem o drugiej grupie, która też coś robi, ale przyznam, że nie rozmawiałem z nimi, nikt się od nich nie odzywał. Ich plany działania nie są związane z nami. My robimy inicjatywę mieszkańców. Nie chcemy robić zamieszania. Jesteśmy świadomi tego, że jeśli dużo osób będzie chodziło po puszczy, to będzie to problemem dla służb, którego my nie chcemy – opowiada przedstawiciel Inicjatywy Ochrony Mieszkańców Pogranicza. Jak mówi, wbrew temu, co twierdzi Mierzyńska, problem nie jest wymyślony i migranci pojawiają się w wioskach i w puszczy. – Migranci, których spotykamy, to często młodzi mężczyźni, którzy we mnie strachu nie wzbudzają. Nawet gdyby byli agresywni, to dalibyśmy radę. Nigdy nie widziałem zmęczonych, wykończonych ludzi. Raczej dobrze ubrani, w grupach. Pierwsze, co robimy, to telefon do Straży Granicznej. Czy uciekają? Ostatnio minęliśmy większą grupę, z dość daleka. Powiadomiliśmy SG, zaczęliśmy się za nimi rozglądać, ale

eprasa.pl f8bc18ad72

Mieszkanie w strefie lub tuż przy niej ma swoją specyfikę. To często jeden dom lub dwa, gdzie człowiek jest zdany właściwie sam na siebie FOT. STACH ANTKOWIAK/REPORTER

rozpłynęli się – relacjonuje. W naszej rozmowie kilkukrotnie zapewnia, że „spacerowicze" nie przekraczają przepisów i nie znęcają się nad obcokrajowcami. – Nie skuwamy nikogo, nie zatrzymujemy siłą. Próbujemy tylko zatrzymać w legalny sposób, na który pozwala nam prawo. Nie chcemy łamać prawa. Aktywiści o tym nie powiedzą, ale są sytuacje, że taka grupa migrantów jest agresywna, potrafią się rzucać do ludzi – zaznacza.

Zastrzega, że „trzeba reagować adekwatnie do sytuacji". – Gdyby ktoś szedł na mnie z nożem, to nie będę przecież mówił: „Spokojnie, niech się pan uspokoi". Jesteśmy przeszkoleni w kwestii samoobrony, gdyby ewentualnie, podkreślam: ewentualnie, były historie, że ktoś jest agresywny, to można obezwładnić w taki sposób, żeby się nad nikim nie znęcać – przekonuje.

Członkowie Inicjatywy wiedzą, że ewentualne doniesienia i „dręczenie migrantów" nie są im na rękę. – Jeżeli chcemy na dłuższą metę działać na rzecz mieszkańców, to pokazywanie w sieci obrazków znęcania się nad migrantami nie jest na naszą korzyść. Podobnie jak zbieranie tysięcy osób, żeby tutaj przyjechały. Trzeba realnie dowiedzieć się, co ludzie myślą, jakie mają problemy. A mają. Bo pada turystyka, jest dużo wojska i policji, które robią kontrole na każdym kroku – dodaje rozmówca „Do Rzeczy". Jak mówi, on i jego towarzyszenie nie wchodzą w strefę buforową, by nie przeszkadzać służbom. – Chcemy być dopełnieniem działalności służb, żeby zlokalizować większą liczbę nielegalnych migrantów. Na razie służby reagują na naszą obecność neutralnie. Przecież nie łamiemy prawa. Widzimy czasami funkcjonariuszy SG w lesie. Zatrzymają się, pytają, co robimy. A my spacerujemy – zaznacza.

Co na to Straż Graniczna? W oświadczeniu przekazanym „Do Rzeczy" jej rzecznik ppłk Andrzej Juźwiak podkreśla, że funkcjonowanie Inicjatywy Ochrony Mieszkańców Pogranicza w postaci tzw. patroli w przygranicznych lasach „w opinii Straży Granicznej należy traktować jako swojego rodzaju inicjatywę obywatelską". „O ile działalność takiej »inicjatywy obywatelskiej« jest realizowana zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa, w szczególności prawa karnego, i przestrzegane są przepisy prawa dotyczące przebywania w strefie nadgranicznej, w tym np. zakazów przebywania w tzw. strefie buforowej lub poza tą strefą, o tyle na określonych odcinkach pasa drogi granicznej działania Straży Granicznej ograniczają się do monitorowania informacji o działalności przedmiotowej »inicjatywy obywatelskiej«" – czytamy w komunikacie.

Rzecznik SG podkreśla, że Straż nie współpracuje z grupą. „Ponadto funkcjonariusze Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej w trakcie wykonywania obowiązków służbowych na polsko-białoruskim odcinku granicy państwowej dotychczas nie spotkali się z tzw. patrolami Inicjatywy Ochrony Mieszkańców Pogranicza. W przypadku pojawienia się osób deklarujących przynależność do Inicjatywy Ochrony Mieszkańców Pogranicza i zachowania niezgodnego z prawem reakcja funkcjonariuszy POSG będzie adekwatna do zachowania ww. osób" – zapewnia ppłk Andrzej Juźwiak.

Aktywiści oskarżają chodzących po Puszczy Białowieskiej o akty agresji. – Mamy poprzebijane opony, zdarza się spotykać samozwańczych bojówkarzy, którzy organizują patrole w celu wyłapania osób szukających w Polsce schronienia – mówiła podczas konferencji prasowej Aleksandra Chrzanowska z Grupy Granica. – Ponad tydzień temu wracałam z lasu z panem z Sudanu, szliśmy do miejsca, gdzie odebrać go miała Straż Graniczna. Nagle wyłonił się mężczyzna ubrany w moro, miał przy sobie pistolet. Świecąc nam po oczach, trzymając dłoń na kaburze, zapytał: „Swoi czy obcy?". Nas, aktywistów, było wielu, dużo białych osób, pan z Sudanu był niewidoczny i tylko dlatego udało nam się bez dramatu przejść dalej. Jeden z kolegów wrócił z tym panem porozmawiać i usłyszał, że ten boi się o bezpieczeństwo rodziny, a jego misją jest „odławianie ciapatych". Mówił, że gdy spotyka większe grupy, wzywa Straż, a jeśli mniejsze, to sam ich zatrzymuje – opowiadała.

Chcemy być dopełnieniem działalności służb, żeby zlokalizować większą liczbę nielegalnych migrantów

– Aktywiści to ludzie, z którymi mamy do czynienia od paru lat. To są ci sami ludzie, którzy kiedyś przypinali się do drzew i walczyli o Puszczę Białowieską. Oni zostali w tej Puszczy, zadomowili się i teraz znaleźli inne źródło dochodu – nielegalnych imigrantów. To jest to samo grono – stwierdza nasz informator z Inicjatywy. – Na co dzień mijamy się, nie zaczepiamy się. Natomiast jeszcze w lesie się nie spotkaliśmy. Oni opowiadają głupoty, że ich nachodzimy, przebijamy im opony, różne historie słyszałem. Po co? Niczego byśmy tym nie osiągnęli. Wiemy, że mają dobrych prawników, media i polityków po swojej stronie – mówi przedstawiciel Inicjatywy Ochrony Mieszkańców Pogranicza. Rozmówca „Do Rzeczy" zaznacza, że ci, którzy się angażują, mają też swoje własne życie, nie siedzą w Puszczy przez całą dobę. – Czasami wyjdziemy chodzić po Puszczy o godz. 4, pochodzimy trzy–cztery godziny. Czasami po południu lub w nocy. Staramy się dzielić na mniejsze grupy, żeby obejść większy teren – do 10 osób, dzielimy się w zależności od sytuacji – opowiada. Często „spacerowicze" zamiast migrantów znajdują pozostawione przez nich śmieci. Popakowane w worki wynoszą z puszczy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f8bc18ad72

Piotr Semka
z Turynu

Guercino – niespotykanie spokojny geniusz

Był malarzem katolickiej kontrreformacji. Im bardziej protestanci odrzucali kult świętych – tym chętniej przyjmował zlecenia na malowanie patronów Kościoła. Opowieści o tym, jak wyglądała XVII-wieczna kariera Guercina – mistrza malarstwa baroku – poświęcona jest olśniewająca wystawa w Turynie

Obraz Matki Boskiej Wniebowziętej wykonany dla kościoła Najświętszego Różańca w Cento (1620 r.)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Turyn – to barokowe miasto cacko u podnóża Alp gości w Palazzo Reale wielką wystawę. W roli głównej Guercino, czyli Giovanni Francesco Barbieri (1591–1666) – mistrz włoskiego malarstwa z XVII w. „Ponad 100 dzieł Guercina i artystów współczesnych, pochodzących z ponad 30 ważnych muzeów i kolekcji – w tym Prado i klasztoru Escorial – zgromadziliśmy, aby zaprezentować wielką sztukę Mistrza i aby opowiedzieć historię zawodu i życia malarzy XVII w., w fascynującym, wspaniałym fresku wystawienniczym" – tak reklamują pokaz autorzy ekspozycji.

Malarstwo baroku – gdy myślimy w tym kontekście o Hiszpanii, narzuca się nam nazwisko Velázqueza. Gdy wzrok zwracamy ku północy, przed oczyma stają nam płótna Rembrandta. W wypadku Włoch sprawa jest bardziej skomplikowana. Najczęściej historycy sztuki, klasyfikując mistrzów malarstwa baroku w Italii, wymieniają trójcę: Caravaggio, Ludovico Carracci i wreszcie Guercino.

Na tle owianego czarną legendą Caravaggia i ambitnego Carracciego Guercino jawił się jako mistrz stateczny, spokojny, wręcz nudny. Głęboko wierzący, ale bynajmniej nie w ostentacyjny sposób. Niewiele z tego, co skłania tak licznych reżyserów do ekranizowania życiorysów twórców „przeklętych", zmagających się z samym sobą.

W swych obrazach łączył realizm Caravaggia z akademizmem Carracciego. Był doskonałym obserwatorem rela-

eprasa.pl f8bc18ad72

cji międzyludzkich i to widać na jego płótnach. Niegdyś zepchnięty na dalszy plan – od dłuższego czasu wraca do łask historyków sztuki.

Od 23. roku życia, gdy w pełni już odkryto jego talent, spokojnie i systematycznie budował swoją karierę i solidność swojej marki zawodowej. I opowieści o tym, jak wyglądała XVII-wieczna kariera mistrza malarstwa, poświęcona jest turyńska wystawa.

My w Polsce z gwiazdą włoskiego baroku jesteśmy już nieco obeznani. Na przełomie lat 2013 i 2014 w warszawskim Muzeum Narodowym oglądaliśmy 33 dzieła Guercina w ramach wystawy „Triumf baroku".

ZEZOWATE SZCZĘŚCIE

Przydomek Guercino brzmi w polskich uszach elegancko i zmysłowo, ale po włosku znaczy to „zezowaty". Malarz obdarzany tym przydomkiem urodził się w 1591 r w Cento koło Ferrary, w środkowych Włoszech, na granicy Państwa Kościelnego. Bynajmniej nie w domu bogatych mieszczan – na świat przyszedł w rodzinie dość ubogich rolników. Jak pisze Carlo Cesare Malvasia, jego pierwszy biograf, gdy był jeszcze niemowlęciem, miał go wystraszyć jakiś wielki huk. Z przerażenia oko dziecka miało umknąć w kąt i już nie wróciło na swoje miejsce. Ale wada wzroku nie przeszkodziła młodemu chłopcu w zamiłowaniu do rysowania. Ba, niektórzy badacze twierdzą nawet, że zez pomagał artyście w kreowaniu ciekawszych kompozycji.

Kiedy miał osiem lat, wyrysował całkiem poprawnie rysunek Matki Bożej na ścianie rodzinnego domu. Kolejni nauczyciele uświadomili rodzicom, że ich dziecko ma niezwykły talent. Mieli szczęście, że ich syn przyszedł na świat akurat w Cento, które było wówczas lokalnym centrum malarstwa. Zresztą to miasto będzie jego domem aż do 50. roku życia, z wyjątkiem wizyt w Bolonii i Wenecji oraz dwuletniego pobytu w Rzymie. Dopiero gdy w 1641 r. w okolicach Cento dojdzie do lokalnych wojenek, z powodów bezpieczeństwa malarz przeniesie do Bolonii. W tej metropolii posiadającej solidne mury zostanie już do końca życia. Początkowo kształcił się u lokalnych mistrzów, ale na podstawie nawet jego wczesnych dzieł brytyjski badacz jego sztuki Denis Mahon wskazuje, że w kwestii rozwoju kompozycji swych obrazów był samoukiem. Historyków sztuki zastanawia jego niezwykle szybko uzyskana dojrzałość twórcza.

Gdy w 1610 r. umiera jego najwybitniejszy nauczyciel Bartolomeo Gennari, 19-letni Guercino decyduje się na odważny krok. Tworzy własną szkołę malarską, a trzech synów Gennariego przyjmują na czeladników. I odtąd aż do końca życia będzie właścicielem trwale zakotwiczonej w finansowej stabilizacji firmy malarskiej, która uczyni go człowiekiem wpływowym i poważanym. W tej karierze pomogą wysoko postawieni mecenasi. Będą nimi środkowowłoscy kardynałowie – Giulio Sacchetti, a potem Bernardino Spada, którzy zachwycili się dziełami. Ci książęta Kościoła w naturalny sposób zainteresowani byli, by ich świątynie ozdabiały jak najwspanialsze płótna. A Guercini był doskonały warsztatowo, sumienny, terminowy, choć nie tani. Ale zarówno porywający dramatyzm jego obrazów, jak i sława, którą przynoszą ich właścicielom, wielokrotnie wynagradzały wysokie ceny mistrza.

I wreszcie kluczowy rok 1617. Młody artysta zostaje przedstawiony arcybiskupowi Bolonii kard. Alessandrowi Ludovisiemu. Ten zachwycony poziomem prac 26-letniego wówczas Guerciniego zleca mu wymalowanie 12 ołtarzy, 11 obrazów, a potem zamawia u niego dekorację w arcybiskupim pałacu w Gualtieri. Te zamówienia wynoszą malarza na wysoki poziom materialny. Ma pieniądze, by w 1618 r. odwiedzić Wenecję, zapoznać się z najwybitniejszymi obrazami weneckich kościołów.

„Cud św. Karola Boromeusza" (1613–1614)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Szczęście mu sprzyja. 9 lutego 1621 r. jego protektor Ludovisi zostaje wybrany na papieża jako Grzegorz XV. Nowy pontifex zaprasza malarza do Rzymu, gdzie otrzymuje on wiele lukratywnych zamówień. Pontyfikat Grzegorza XV trwa tylko dwa lata, ale w tym czasie Guercini zdobywa taką sławę, że zamówienia sypią się ze wszystkich stron. Na wystawie obejrzeć można dużą mapę Włoch z zaznaczonymi miejscowościami, z których nadchodziły zamówienia dla mistrza.

Po powrocie z Rzymu Guercini zakłada w Cento akademię aktu, która zdobywa ogromną sławę. W 1629 r. spotyka go zaszczyt. Hiszpański mistrz Velázquez osobiście przybywa do jego pracowni, chcąc oddać mu swój hołd. Kolejne ponad trzy dekady to okres ustabilizowanej kariery kogoś, kto sam może wybierać w zamówieniach, nie będąc skazanym na kaprysy wielmożów. Zapraszają go na swoje dwory królowa Francji Maria Medycejska oraz Karol I – król Anglii. W obu wypadkach Guercino odmawia, w wypadku brytyjskiego Stuarta grzecznie wyjaśniając, że to, „co słyszał o fatalnym klimacie nad Tamizą", nie pozwoliłoby mu zbyt długo gościć w służbie Jego Królewskiej Mości.

MALARZ BURZLIWYCH CZASÓW

Na wystawie zatrzymuję się przed obrazem „Cud św. Karola Boromeusza".

To dobry przykład, jak mistrz łączy patos z pospolitością, sacrum z profanum. Na obrazie święty wyłaniający się z chmury przywraca wzrok oślepłemu dziecku. Ale pojawienie się świętego zauważa tylko mała dziewczynka, która palcem wskazuje na niebiańskiego przybysza. Nikt inny niczego nie widzi. Zajęta rozpalaniem kominka matka nie rozumie, dlaczego córeczka szarpie ją za połę spódnicy. Nawet grzejący się przy kominku kot ze zdziwieniem patrzy na

eprasa.pl f8bc18ad72

wyciągniętą rękę dziecka i nie rozumie, o co chodzi małej.

Jednak Guercino to także obrazy, które mają imponować. Oto obraz Matki Boskiej Wniebowziętej wykonany dla kościoła Najświętszego Różańca w Cento. Guercino sam był członkiem Bractwa Różańcowego przy tym kościele. Można przyjąć, że włożył w nie wyjątkowo dużo wysiłku. „Brawurowe" – tak opisał je pisarz Francesco Scannelli w 1657 r. Płótno zostało namalowane tak, aby zrobiło pełne wrażenie oglądane z dużej odległości z dołu. Jakiej wyobraźni plastycznej trzeba było, aby wyobrazić sobie pożądany efekt wizualny!

I wreszcie najbardziej wzruszający obraz wystawy – „Wyciąganie strzał z ciała św. Sebastiana". Na płótnie starszy mężczyzna (lekarz) niezwykle uważnie, ale z ogromnym szacunkiem wyjmuje groty strzał z rąk i nóg świętego. Jedna z niewiast podtrzymuje plecy męczennika, a druga z uwagą śledzi ruchy medyka gotowa przemyć rany ciepłą wodą. Można tylko domyślić się, ile wizyt w ówczesnych szpitalach poprzedziły studia do tego obrazu.

Autorzy wystawy wskazują: „Wiek XVII doszedł do skrajności w zamiłowaniu do przedstawiania uczuć, żywych gestów, bliskiej i wciągającej wizji wydarzeń. Guercino jest w tym prawdziwym mistrzem, zarówno w oddawaniu postaci, jak i malowaniu aparatu scenicznego bogatego w detale. Teatralne oddanie napięć, psychologii, dramatów i namiętności można dostrzec w najbardziej odnoszących sukcesy tematach sztuki tamtych czasów [...]. Guercino po mistrzowsku inscenizuje ostatni akt tragedii, czyniąc widza uczestnikiem i przenosząc go w wysublimowane emocje barokowego spektaklu".

EPOKA WIELKICH ZMAGAŃ

„Być może jego sztuka wydaje się dziś zbyt wysoka, przesadzona. Ale malowane przez niego przeszywające duszę dramaty były całkowicie zamierzone. Miały być odpowiedzią na Marcina Lutra i aktywność jego zwolenników, którzy oczyścili powietrze z kadzidła, wybielili swoje stare kościoły i zwrócili się przeciwko świętym" – tak o obrazach Guercina pisze amerykański znawca baroku Paul Richard. Istotnie, ówcześni przywódcy

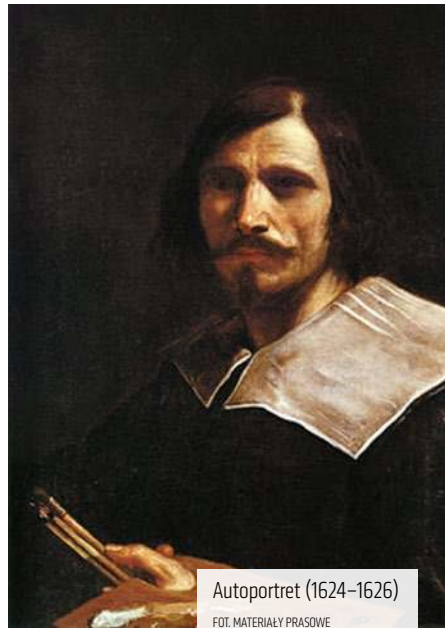

Autoportret (1624–1626)

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kościoła rzymskokatolickiego podjęli natchnioną decyzję, aby nie zatrzymywać się w pół drogi. Aby nie odnosić się do któregokolwiek z zarzutów protestantyzmu, ale raczej by chlubić się tymi właściwie doktrynami, które protestanci odrzucali z największą siłą. Wydawali się mówić: jeśli Luter neguje papiestwo, to tym bardziej nie można szczędzić trudu w podtrzymywaniu twierdzenia, że papieże są następcami św. Piotra mianowanego przez Boga. Jeśli od czasów Erazma z Rotterdamu inteligentni ludzie na północy wypowiadają się z pogardą o relikwiach, to tym bardziej trzeba wyolbrzymiać ich znaczenie. A tak nielubiany przez protestantów kult świętych powinien być ukazywany tak, by uruchamiać wyobraźnię, a także podkreślać ich cierpienia i ekstazy. Te obserwacje Kennetha Clarka, znanego historyka sztuki, na temat prac malarza przydają się do zrozumienia wręcz wyzywającej ekspresyjności dzieł Guercina.

Dorastał w atmosferze potrydenckiej odnowy religijnej i w swoich obrazach kładł nacisk na przeżycie religijne – proste i dojmujące

Malarstwo religijne zawsze zajmowało w jego twórczości najważniejsze miejsce. Dorastał w atmosferze potrydenckiej odnowy religijnej i w swoich obrazach kładł nacisk na przeżycie religijne – proste i dojmujące. Temu służyło obrazowanie ekstatycznych wizji, nawróceń i cudów. Guercino w bardzo świadomy sposób pragnął wypełniać naukę Kościoła. Łączył patos ze zwyczajnością i czynił to w mistrzowski sposób.

Jednocześnie nie przestawał być człowiekiem twardo stąpającym po ziemi, który wiedział, że nie będzie mógł realizować swych górnolotnych wizji bez stabilizacji finansowej. Skarbem dla badaczy jego twórczości jest „Libro dei conti" – księga zamówień, w której rejestrowano wszystkie pobierane należności za obrazy. Malował zawsze na zamówienie. W jego warsztacie pomagali mu siostrzeńcy, a potem w miarę czasu ich dzieci, a nawet wnuki. Ceny wyrażane w bolońskiej walucie – skudach – były jasno określone. Sto skudów za całą figurę, 50 za pół figury i wreszcie 25 za głowę. Jego warsztat był doskonale zorganizowany z wzorowym podziałem ról i metod. W jego firmie brat Guercina, Paolo Antonio Barbieri, specjalizował się w martwych naturach. Bardzo często obrazy zaczynali jego podwładni, a Guercino dodawał postacie na końcu, nadając im ostateczny kształt. Niekiedy też tworzył całe serie identycznych kopii, choć oczywiście dbał, by trafiały one w różne zakątki Italii.

Na koniec zacytujmy raz jeszcze Paula Richarda: „Czasami wydaje się, że był geniuszem. Jego swobodne, rozdzierające serce rysunki są równie piękne i gibkie jak muzyka kameralna Mozarta. A niekiedy wielkie, galopujące obrazy, zwłaszcza te późne, są tak sztywne i formalne jak wielka włoska opera niższej rangi".

We wszystkich tych formatach odbija się coś, co różni obrazy znad błękitnego apenińskiego nieba od oszczędnego stylu mistrzów z północy. I być może po to poczucie nieokiełznania połączonego z klasycznym pięknem podróżujemy na wystawy włoskich mistrzów. Przy okazji zadając sobie natrętne pytanie: Dlaczego dziś tak rzadko artyści potrafią dotykać jakichś czułych strun naszej wrażliwości?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Guercino – zawód malarz" czynna będzie do 28 lipca br., szczegóły na stronie: https://museireali.beniculturali.it/.

eprasa.pl f8bc18ad72

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Hej, tam na morzu

Ci, którzy na statkach ruszyli na morze… Mistrzowie niderlandzkiego malarstwa marynistycznego wieków XVII i XVIII w zbiorach polskich" jest pierwszą w Polsce tak obszerną i wielowątkową wystawą holenderskich i flamandzkich marin epoki baroku. Najcenniejsze obrazy z polskich kolekcji uzupełnione przez trzy dzieła niderlandzkiej marynistyki sprowadzone z Rijksmuseum i Het Scheepvaartmuseum w Amsterdamie.

„Siedemnastowieczne Niderlandy Północne są kolebką malarstwa marynistycznego; to właśnie tamtejsi malarze wypracowali schematy kompozycyjne, paletę barw i repertuar tematów, które po dziś dzień stanowią wzorzec i inspirację dla marynistów. [...] tak doniosły rozwój gatunku właśnie w Republice Zjednoczonych Prowincji wynikał z wszechobecności morza we wszystkich aspektach życia [...]" – przypominają autorzy wystawy. Motywami przewodnimi ekspozycji są: bitwy morskie, bezpieczny i zasobny port, wyprawy w nieznane, groza na morzu. ©℗

FOT. NARODOWE MUZEUM MORSKIE W GDAŃSKU

GDZIE? ***Narodowe Muzeum Morskie w Gdańsku***
KIEDY? ***do 15 września***

FOT. MUZEUM DIECEZJALNE W KIELCACH

ZWYCIĘSTWO W KRZYŻU

Opowieść o Krzyżu Chrystusa i o zwycięstwie w Krzyżu Chrystusa. Najstarsze eksponaty pochodzą z V w., najnowsze są nam współczesne. Są to m.in. „obiekty z czasów Cesarstwa Bizantyjskiego i wypraw krzyżowych, krucyfiksy, z którymi związane są dramatyczne historie, wota, rzeźby czy malarstwo [...]". Upamiętniono też ważne wydarzenie z regionu – strajki młodzieży szkolnej w obronie krzyży we Włoszczowie sprzed 40 lat. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Diecezjalne w Kielcach***
KIEDY? ***do 27 października***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Pomocna samotność

Nowojorka Cassandra Jenkins jest jedną z najciekawszych songwriterek, jakie pojawiły się w ostatnich latach. Jej drugi album, „An Overview on Phenomenal Nature", został uznany przez krytyków za wydarzenie 2021 r. Zawierał intymne piosenki o stracie, uzdrawianiu i związkach między naturą a ludzkością.

Nowa płyta jest bardziej eksperymentalna i zróżnicowana stylistycznie, choć autorka też skupia się na osobistych tematach, takich jak samotność, starzenie się czy poszukiwanie nadziei. Czterdziestolatka jest uduchowiona, opisuje zewnętrzny świat z abstrakcyjną powagą, a czasem nawet żartobliwością. Na płycie z lekkością przeskakuje od spraw mikro do makro. W „Aurora, IL" śpiewa o osobistych frustracjach związanych z pandemią i jednocześnie opowiada o locie Williama Shatnera w 2021 r. na pokładzie rakiety miliardera Jeffa Bezosa.

Muzycznie jest to indie-folk połączony z homeopatycznym jazzem. Piosenki przeplatają muzyczne interludia, dźwięki miasta i przyrody oraz rozmowy. W „Betelgeuse" Jenkins dyskutuje z matką o obserwowanych przez nie gwiazdach. Słuchając tej płyty, można poczuć się zdecydowanie mniej samotnym. „Szukałam czegoś dobrego w tej przykrej sytuacji / Właśnie znalazłam zabłąkany włos w pościeli" – śpiewa. ©℗

★★★★★★
CASSANDRA JENKINS
„MY LIGHT, MY DESTROYER"
DEAD OCEANS

★★★★★★
ANDRZEJ KORZYŃSKI
„BESTIA"
GAD

Muzyka do „Diabła" (1972) wywołała poruszenie w Anglii. Płyta z ścieżką do „Opętania" (1981) stała się tam undergroundowym przebojem. „Bestia" (1978) to brakujące ogniwo trylogii opisującej obłęd. Film Domaradzkiego nie dorównuje obrazom Żuławskiego, ale utwory Korzyńskiego i tu są wybitne.

★★★★☆☆
KRZYSZTOF KOMEDA
„KRAKSA 1956–65"
GAD

Zbiór utworów Komedy napisanych do trzech dokumentów Edwarda Etlera i jednego Stanisława Kokesza. Obraz tego drugiego powstał dwa lata przed „Dwoma ludźmi z szafą" Polańskiego. A zatem Komeda debiutował w filmie wcześniej niż dotąd uważano. ©℗

eprasa.pl f8bc18ad72

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Śmierć szkopom!

★★★☆☆☆
REŻ. GUY RITCHIE
„MINISTERSTWO NIEBEZPIECZNYCH DRANI" („THE MINISTRY OF UNGENTLEMANLY WARFARE")
WIELKA BRYTANIA/USA

Miłośnicy książek o sekretach drugiej wojny światowej już znają tę historię; ukazało się przecież polskie wydanie książki Damiena Lewisa „SAS: Komandosi Jego Królewskiej Mości" (Wydawnictwo Poznańskie 2019). Ale od razu trzeba zastrzec, że Guy Ritchie potrzebował jedynie pretekstu, nie interesują go zaś takie drobiazgi jak wierność faktom czy treść dokumentów odtajnionych przez brytyjskie służby dopiero w ostatnich latach.

Reżyser „Porachunków", „Sherlocka Holmesa" czy „Dżentelmenów" był ostatnio mocno zapracowany – w ciągu półtora roku dał nam trzy filmy: „Gra fortuny", „Przymierze" i teraz „Ministerstwo Niebezpiecznych Drani". Film wojenny z elementami komedii i dużą dawką uwłosienia, gdyż żołnierze świeżo powołanego SAS udają marynarzy, ci zaś, jak wiadomo, zwykle demonstrują odpowiednio bujne brody i odpowiednio mechate torsy. Piszę w tonie lekko kpiącym, bo taki też ton wybrał Ritchie, konwencję raczej komedii akcji niż dramatu wojennego. Nie dziwota – większość filmów brytyjskiego reżysera to historie o zabawnych łajdakach i/lub świszczypałach, tym razem przynajmniej są to świszczypały po właściwej stronie, w dodatku spełniające życzenia samego Winstona Churchilla.

Ritchie koncentruje się na operacji, w ramach której brytyjscy komandosi porywali włoskie i niemieckie statki z neutralnych portów. Główną figurą w filmie jest Gus March-Phillipps, którego gra Henry Cavill. Wśród zabijaków znajdziemy inne znajome twarze, choćby Alana Rickmana („Jack Reacher" – tu z łukiem). Żeby było bardziej „meta", jest tu i Ian Fleming (gra go Freddie Fox), przyszły autor powieści o Bondzie (prawdziwy Fleming inspirował się wyczynami prawdziwego March-Phillippsa). Jeśli mowa o Niemcach, to musi pojawić się Til Schweger jako sadysta. Zresztą cała frajda w nowym filmie Ritchiego sprowadza się do mordowania złych Niemców przez dobrych Brytoli, niczym w grze wideo, a tytułowi dranie wychodzą z najcięższych opresji z łatwością Hansa Klossa albo załogi „Rudego". Zwykle tego typu bezpretensjonalne, rozrywkowe produkcje są ozdobą repertuaru kin w gorących letnich miesiącach, „Ministerstwo Niebezpiecznych Drani" miało natomiast kinową premierę w USA wczesną wiosną, a teraz na innych rynkach, w tym w Polsce, trafia wprost do streamingu. ©℗

NOWE SERIALE: „ŚMIERĆ Z DALA OD PALM"

BBC FIRST

Spin-off popularnego serialu kryminalnego „Śmierć pod palmami" („Death in Paradise") o policjantach z karaibskiej wyspy Saint Marie. Oryginał liczy już 13 sezonów, w sezonach 3–6 jedną z głównych figur był inspektor Humphrey Goodman (Kris Marshall). Teraz Goodman wraz z narzeczoną (gra ją Sally Bretton) mieszka w Wielkiej Brytanii, by rozwiązywać zagadki kryminalne w hrabstwie Devon. ©℗

Piotr Gociek

- ***sezon 1 „Śmierć z dala od palm" („Beyond Paradise"), Wielka Brytania 2023***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1* ***„Kobieta z jeziora" („Lady in the Lake")****, USA 2024* — tv+
- *sezon 3* ***„The Bear"****, USA 2024* — Disney+
- *reż. James Cullen Bressack* ***„Mroczny opiekun" („Darkness of Man")****, USA 2024* — CINEMAN

eprasa.pl f8bc18ad72

Ósma koperta

KINO

Mało kto lubi rozmawiać o problemach z obcymi ludźmi, ale w ojczyźnie tanga wszystko jest możliwe – nawet terapia bez udziału terapeuty. Sześcioro pacjentów musi wziąć przykład z barona Münchausena, który sam siebie wyciągnął za włosy z bagna (razem z koniem). Pani psycholog ograniczyła się do przygotowania kopert z tematami do omówienia. Po zakończeniu każdego etapu trzeba zadąć w trąbkę.

Ot, klaustrofobiczna psychodrama dla zmylenia i oszukania nazwana komedią. Hiszpanie ośmieleni powodzeniem fabuł Paola Genovesego demaskujących hipokryzję millennialsów oprócz scenicznej wersji „Terapii dla par" popełnili także filmową. Rezultat nie jest zaskakujący. Męscy bohaterowie kompromitują się bez przerwy. Kłamią, a w najlepszym przypadku nie mówią całej prawdy. Dziewięćdziesiąt minut spędzonych w towarzystwie przyziemnych i oślizgłych narcyzów to zbyt wiele. Na szczęście ich kobiety są święte. Jedna ma nawet zadatki na męczennicę (gdy w szkole uczono asertywności, prawdopodobnie chorowała na świnkę). Finałowa przewrotka stawia wiele wcześniejszych zachowań i deklaracji pod znakiem zapytania, ale tzw. ogólne wrażenie pozostaje. Jeśli wierzyć statystykom, to mistrzyniami Europy w późnym zamążpójściu są Szwedki. Hiszpanki w tej konkurencji wywalczyły srebrny medal. Stać je na więcej. ©℗

★★★☆☆☆
REŻ. GERARDO HERRERO
„TERAPIA DLA PAR"
HISZPANIA 2023

wyst. Malena Alterio, Alexandra Jiménez, Fele Martinez

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DOM ZŁY

arte

Manuskrypt znaleziony w Gandawie. Kto lubi szkatułkowe tudzież neogotyckie opowieści, temu odrestaurowana, reżyserska wersja „Malpertuis" dostarczy niekłamanej frajdy. Ekranizacja powieści Jeana Raya z 1943 r. potwierdza skłonność Belgów do mrocznego symbolizmu o mocnym zabarwieniu erotycznym. Tytułowy dom to labirynt i potrzask, do którego umierający bogacz Kasawiusz (dziwnie podobny do Orsona Wellesa) zwabił rodzinę z przyległościami. Majątek odziedziczy ten, który przeżyje pozostałych. Faworytem jest piękny jak anioł siostrzeniec, ale 21-letni Carrière ciężaru nie udźwignął. W efekcie „Malpertuis" stał się aktorskim benefisem Hampshire, która zagrała aż pięć postaci. Film zaczyna się od cytatu z „Alicji w Krainie Czarów", jednak w rozszyfrowaniu sekretów nawiedzonej kamienicy jeszcze bardziej pomocna jest znajomość greckiej mitologii, zbudowanej na wierze, że z fatum nikt nie wygra. ©℗

★★★★☆☆
REŻ. HARRY KÜMEL
„MALPERTUIS"
BELGIA/FRANCJA/RFN 1971

wyst. Matthieu Carrière, Susan Hampshire, Michel Bouquet

ŻYCIE BEZ KOMPASU

VOD MDAGPL

Największą rolą Richarda Harrisa był Richard Harris: nieobliczalny awanturnik, pijak, dziwkarz, hulajgęba, piosenkarz i poeta. Dokument nakręcony 20 lat po śmierci irlandzkiego aktora zadziwi tych, którzy znają tylko jego ostatnie wcielenia: poczciwego profesora Dumbledore'a i Marka Aureliusza, cesarza filozofa. Harris od dziecka robił wszystko, by zwrócić na siebie uwagę (w Limerick w grę wchodziło przepłynięcie zdradliwej zatoki i wygranie turnieju squasha). Ludzie bali się Dicka. Po premierze „Sportowego życia" okrzyknięto go brytyjskim Marlonem Brando. Podbił Londyn, Hollywood i Las Vegas, ale nie był wybredny w wyborze repertuaru: grał tam, gdzie najlepiej płacono. Trzej synowie Harrisa próbują dociec, skąd wziął się gniew, który czynił z niego postać wyjątkową, lecz zarazem trudną we współżyciu. Człowieka już nie ma, sława przeminęła, emocje pozostały. ©℗

Wiesław Chełminiak

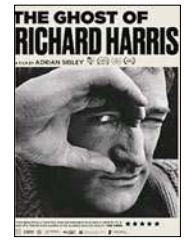

★★★★☆☆
REŻ. ADRIAN SIBLEY
„DUCH RICHARDA HARRISA" („THE GHOST OF RICHARD HARRIS")
IRLANDIA/WIELKA BRYTANIA 2022

GRA TYGODNIA: „AVATAR: FRONTIERS OF PANDORA – ŁAMACZE NIEBIOS"

Cóż, nie każdy rok może być taki jak 2023 r. W te wakacje czuć w branży sezon ogórkowy. Skoro nie ma dużych premier, to może warto rozejrzeć się za dodatkami. Jednym z najnowszych jest DLC do ciekawej propozycji z końcówki ubiegłego roku – „Avatar: Frontiers of Pandora". „Łamacze niebios" dają nam nowy wątek fabularny w niedostępnym wcześniej obszarze Upper Plains. O żadnej rewolucji nie ma oczywiście mowy, ale wśród nowości warto wymienić typy przeciwników, których nie spotkaliśmy w podstawce. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *akcji*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Massive Entertainment; Ubisoft*

eprasa.pl f8bc18ad72

MOJA PÓŁKA

Jan Prokop – kontroler pamięci

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Pół roku temu, dokładnie 18 grudnia 2023 r., zmarł Jan Prokop, autor 30 książek, prozaik i poeta, ale przede wszystkim znakomity krytyk, analizujący literaturę przez dziesięciolecia, zadebiutował bowiem w roku 1951, jako 20-latek. I od razu zwrócił uwagę swoim pisaniem „w poprzek" obowiązujących trendów i kierunków. Już na jego pierwszy zbiór szkiców „Euklides i barbarzyńcy" (1964 r.) rzucił się Artur Sandauer, zarzucając autorowi „programowy irracjonalizm". Ale swój kij w literaturoznawcze mrowisko włożył wiele lat później.

To w latach 90. powstały jego bardzo ważne książki, o mówiących same za siebie tytułach: „Wyobraźnia pod nadzorem. Z dziejów literatury i polityki w PRL", „Pisarze w służbie przemocy" i „Sowietyzacja i jej maski. PRL w latach stalinowskich". Z jednej strony zainteresowały one także czytelników spoza środowiska literackiego i uniwersyteckiego, z drugiej uznane przez akademicki mainstream za skandalizujące i obrazoburcze wypchnęły ich autora na, jak to skonstatował Tomasz Burek, „intelektualny margines". Profesor Maciej Urbanowski we wstępie do wydanego właśnie zbioru szkiców Prokopa „Lekcji wyobraźni" przypomina, że np. w wydanym w 2000 r. przewodniku encyklopedycznym „Literatura polska XX wieku" próżno szukać nazwiska krytyka. Dlaczego? Otóż stwierdzał on, przedstawiając na to stosowne dowody, że „umysłowe i moralne zagubienie nowej, »ludowej« polskiej inteligencji po roku 1989" korzeniami swymi tkwiło „w epoce stalinowskiej".

W szkicu „Z perspektywy ofiary" Jan Prokop polemizował z Andrzejem Wernerem, który utrzymywał, że równie fałszywe są dwa przeciwstawne mity: „Pierwszy z nich głosi chwałę intelektualistów stawiających dzielnie opór sowietyzacji, zwłaszcza od Października 1956. Drugi powiada, że intelektualiści zdradzili, podczas gdy naród pod przewodnictwem Kościoła stawiał zwarty opór. Otóż, gdy idzie o początki PRL, na pewno ten drugi mit jest bliższy prawdy". Cóż, „dla wielu literatów »wolność ze wschodu« wydawała się własną. O niebo lepszą wolnością niż przedwojenna (istotnie bardzo niedoskonała) Polska, którą chętnie i gorliwie obrzucano błotem…". W podobny sposób zachowywała się, niestety, i np. Maria Dąbrowska, do czasu uchodząca za nieomal wzorzec niezłomnej postawy wobec komuny. W eseju jej poświęconym Jan Prokop, wertując „Dzienniki" pisarki, zauważa, że „Maria Dąbrowska oscyluje między momentami niezłomności, np. nazywając Borejszę agentem Moskwy, i momentami granicę dozwolonego kompromisu wyraźnie przekraczającymi, np. gdy pojawia się na Kongresie Zjednoczeniowym PPR i PPS […]". Przy tym, czytając tę eseistykę, trudno nie zgodzić się z tezą, swego czasu postawioną przez Jacka Kopcińskiego, że oryginalność Prokopowych analiz polegała na tym, „iż niechętnie wchodził on w rolę prokuratora czy nawet nauczyciela, częściej stając się swego rodzaju kontrolerem pamięci, którego interesują »zawiłe ścieżki wiodące do kolaboracji«".

Ten wybitny krytyk zajmował się jednak przede wszystkim literaturą „jako taką", choć z biegiem lat – jak pisze we wstępie do wydanego właśnie wyboru jego szkiców prof. Maciej Urbanowski – ciekawić go będzie najbardziej „literatura jako świadectwo historii, ekspresja wyobraźni zbiorowej, podmiot, ale i przedmiot ideologii…". I zaniepokoi go, także, a może przede wszystkim jako profesora, nauczyciela akademickiego nihilizm panoszący się w naukach humanistycznych, na co wskazywał w „Progach tożsamości" (2008 r.). Stawiał tam pytania: Czy humanistyka z nauki o człowieku i jego losach nie zmienia się na naszych oczach w jarmark próżności czy w wojnę z Panem Bogiem? I przywoływał konstatację Jarosława Marka Rymkiewicza: „Nasza cywilizacja zdycha jak parszywy pies" i fragment jego wiersza, o poecie, który „przyszedł znikąd i donikąd idzie".

Jan Prokop dawno temu, niemal u progu swej twórczej działalności, napisał, że jako krytyka pociąga go strategia chuligana, trochę buntownika, na pewno indywidualisty. Ten „chuligan" wywołuje natychmiastowe skojarzenia z Jesieninem i Bobkowskim, co nie bardzo daje się zobrazować szkicami autora „Euklidesa i barbarzyńców". O wiele bardziej przekonujące zdaje się zdefiniowanie Jana Prokopa jako klerka, co czyni Maciej Urbanowski, wyjaśniając: „Klerk to intelektualista niezależny, zdystansowany zwłaszcza wobec ideologii politycznych, ale też zbiorowych mód umysłowych. To ktoś myślący na przekór opinii większości. Kimś takim był w krytyce polskiej Karol Irzykowski".

Legenda tego ostatniego najwyraźniej przygasa, legenda drugiego tak naprawdę nigdy się nie narodziła. Możemy tylko tego żałować. ©℗

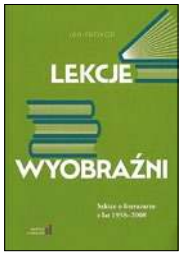

★★★★☆☆

JAN PROKOP „LEKCJE WYOBRAŹNI. SZKICE O LITERATURZE Z LAT 1958–2008"
INSTYTUT LITERATURY, KRAKÓW 2024

eprasa.pl f8bc18ad72

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zwycięstwo wyobraźni

Imponujący koniec wieńczy dzieło. A może wcale nie? Może zwiedzeni zostaniemy jeszcze raz? Nie miałbym nic przeciwko temu, na razie sycę oczy niezwykłym albumem „Powrót kapitana Nemo", który teoretycznie zamyka jedną z najpiękniejszych i najdziwniejszych serii opowieści graficznych, które powstały: „Mroczne miasta".

Seria zadebiutowała w roku 1983 („Mury Samaris"), do 2009 r. ukazało się łącznie 12 tomów oraz kilkanaście publikacji dodatkowych (łącznie z przewodnikiem turystycznym po fikcyjnym świecie). W tej oszałamiającej sadze belgijski rysownik François Schuiten i francuski scenarzysta Benoît Peetersa osadzili akcję surrealistycznych i retrofuturystycznych przypowieści filozoficznych, z których dumni byliby Italo Calvino czy Robert Walser. Oglądamy na kartach tych historii równoległe uniwersum, które niby przypomina nasze, ale jest solidnie przemieszane. Znane miasta wyglądają jak miasta nieznane, nieznane lądy wyglądają znajomo, a wszystko jest poukładane zupełnie inaczej – wyobraźnia twórców biegnie w strony, których zupełnie się nie spodziewamy. Świat „Mrocznych miast" jest cudownym kolażem, który rządzi się nieraz logiką snu i zasadami zaskakujących transformacji.

„Powrót kapitana Nemo" jest idealnym przykładem tej metody. To w istocie album rysunków stylizowanych na XIX-wieczne grawiury z powieści Juliusza Verne'a. Rysunki opatrzono podpisami, ale tekst i obraz nie zawsze układają się w jedną opowieść. Z głębin Morza Ciszy, z ciemności, powraca kapitan Nemo próbujący odtworzyć własne losy. Jego „Nautilus" także powraca w formie dziwacznej hybrydy. Im bliżej Amiens, tym więcej w bohaterze Verne'a, a mniej Nemo; tymczasem obrazki przestają ilustrować opowieść Nemo/Verne'a i zamieniają się w obrazy przyszłości wymyślonej przez francuskiego psiarza w powieści „Paryż w XX wieku". Jednocześnie owa futurystyczna Francja zaczyna coraz bardziej przypominać uniwersum znane z innych albumów serii „Mroczne miasta".

W świecie nieskrępowanej wyobraźni wszystko jest możliwe, a zarazem wszystko łączy się ze sobą. Nigdy nie jest to zabawa dla tanich efektów, fantazje są czasem szalone jak z obrazów nadrealistów, ale często zmuszające do refleksji jak opowiadania Borgesa. Mamy do czynienia z arcydziełem. Jeśli chodzi o serię czy ten album? Cóż, w obu przypadkach. ©℗

★★★★★☆
SCHUITEN & PEETERS „POWRÓT KAPITANA NEMO" SCREAM COMICS 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Dzieje polskich zesłańców od XVIII do XX w., niezwykła kolekcja nazwisk, życiorysów i powikłanych losów tych, którzy ośmielili się rzucić wyzwanie caratowi. Plus 190 ilustracji.

MAREK KLECEL „SYBIR" BIAŁY KRUK

Opatrzona podtytułem „W stronę jutrzejszego świata" książka to gorzki esej o zmęczonej demokracji, gnuśnej podupadającej Europie Zachodniej, klęsce multi-kulti. Autor to wybitny historyk rumuński.

LUCIAN BOIA „KONIEC ZACHODU?" PIW

Jedna z najbardziej znanych i cenionych nowel mistrza grozy w nowym przekładzie Krzysztofa Grudnika. W tej samej serii ukazały się równocześnie tomiki Artura Machena i H.P. Lovecrafta.

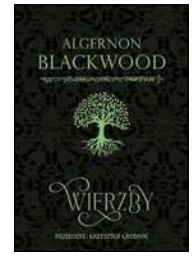

ALGERNON BLACKWOOD „WIERZBY" WYDAWNICTWO IX

W reportażu o PGR-ach i ich upadku nie ma już inkwizytorskiego tonu dawnej „Wyborczej" i Balcerowicza (że darmozjady i patologia); są nostalgia i empatia dla ofiar. Cóż, tego egzaminu z transformacji III RP nie zdała.

recenzuje Piotr Gociek

BARTOSZ PANEK „ZBOŻE ROSŁO JAK LAS" CZARNE

KOMIKS TYGODNIA: „PLANETA ROBOTÓW"

Nieco zapomniany, zabawny i uroczy album komiksowy, którego scenariusz napisał Maciej Parowski (1946–2019), redaktor i krytyk, bez którego historia polskiej fantastyki i polskiego komiksu wyglądałyby dużo ubożej. Czegóż nie ma w tym pastiszu? Tajemnicza epidemia, wyprawa do odległego systemu gwiezdnego, złowrogie roboty... A całość dopełniają wysiłki profesora Le Djaza (anagram nazwiska Janusza Zajdla). ***Piotr Gociek***

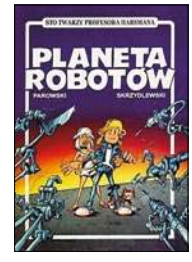

MACIEJ PAROWSKI, JACEK SKRZYDLEWSKI „PLANETA ROBOTÓW" ONGRYS 2024

eprasa.pl f8bc18ad72

Bezprawie nie może pozostać bezkarne

Z prokuratorem Michałem Ostrowskim, zastępcą prokuratora generalnego
rozmawia Cezary Gmyz

CEZARY GMYZ: W jakim stanie jest obecnie prokuratura?

MICHAŁ OSTROWSKI: W mojej ocenie prokurator generalny Adam Bodnar jest otoczony w tej chwili ludźmi, w większości, niekompetentnymi. To prokuratorzy wywodzący się prawie wyłącznie z jednego środowiska – to ci, którzy w 2016 r. założyli stowarzyszenie Lex Super Omnia. Nawiasem mówiąc, nazwa tego stowarzyszenia, oznaczająca „prawo ponad wszystko", w kontekście ich wielu bezprawnych działań brzmi jak ponury żart. Wszystko można o tym środowisku powiedzieć, tylko nie to, że jego członkowie są apolityczni, czego wymagają przepisy. Wręcz przeciwnie, od samego początku ludzie ci nie wahali się utrzymywać kontaktów z politykami. I nie były to jakieś poufne kontakty, ale zupełnie jawne. Oni się z tym wręcz afiszowali. Można z takich spotkań znaleźć zdjęcia czy filmy, kiedy wzajemnie oklaskiwali się z politykami Platformy Obywatelskiej. Dzisiejsze tzw. kierownictwo prokuratury to środowisko skrajnie upolitycznione, a co za tym idzie – ulegające osobom, które niekoniecznie mają dobre intencje, jeśli chodzi o strzeżenie praworządności, walkę z przestępczością i interesy procesowe wszystkich pokrzywdzonych. Politycy realizują swoje cele związane z walką o władzę i jej utrzymanie. Silna, niezależna i apolityczna prokuratura niekoniecznie musi być ich celem.

Przypomnijmy, że osoby, które zakładały LSO, to w dużej mierze osoby mające kłopoty ze zrozumieniem z interpretacją prawa. Dość przypomnieć, że kilkakrotnie musiały poprawić swój statut, bo sądy go odrzucały, gdyż nie spełniał warunków prawa o stowarzyszeniach. Kim są ci ludzie?

Władze tego stowarzyszenia się zmieniają. Kilka tygodni temu powołano nowe. Są to nazwiska bliżej nieznane. Wśród tych bardziej znanych aktywistów, którzy nie są w formalnych władzach, jest prokurator Dariusz Korneluk, podający się za prokuratora krajowego, czy Jacek Bilewicz, który przyjął na siebie misję bycia tzw. pełniącym obowiązki prokuratora krajowego za co, jestem o tym przekonany, kiedyś odpowie karnie. Ale też prokurator Ewa Wrzosek, która sama powinna być ścigana za ujawnianie tajemnic postępowania przygotowawczego osobom nieuprawnio-

eprasa.pl f8bc18ad72

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Dzisiejsze tzw. kierownictwo prokuratury to środowisko skrajnie upolitycznione, a co za tym idzie – ulegające osobom, które niekoniecznie mają dobre intencje

nym, czy prokurator Marzena Kowalska, gorliwie ścigająca Zbigniewa Ziobrę. Co oni robili w prokuraturze przez ostatnie osiem lat? Niech pokażą bodaj jedną sprawę, w której skutecznie oskarżyli sprawców naprawdę poważnych przestępstw przed sądem, czy dokonali wielomilionowych zabezpieczeń majątkowych, jakikolwiek sukces czy wkład w postępowanie przygotowawcze, dotyczące przestępczości VAT-owskiej lub cyberprzestępczości. Nie znam takich spraw. Są to osoby, w znacznej mierze, liczące wyłącznie na funkcje i apanaże, których główną motywacją jest zemsta za rzekomo doznane krzywdy. To coś niebywałego. Jedyne, czego te osoby dokonały w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, to wprowadzenie w prokuraturze niebywałego chaosu. Przy czym mam wrażenie, że one same nie panują już nad swoimi doraźnymi koncepcjami kadrowymi. Wystarczy wskazać, że w ostatnich dniach wymieniają kolejnych „swoich na swoich". Zmieniają się neoprokuratorzy okręgowi, np. w Warszawie, dochodzi do roszad na stanowiskach dyrektorskich w Prokuraturze Krajowej.

Gdyby dziś miał pan formułować akt oskarżenia wobec osób obecnie kierujących prokuraturą, co by się w nim znalazło?

Ja, 13 stycznia, a więc dzień po fizycznym odsunięciu legalnego szefa Prokuratury Krajowej Dariusza Barskiego, wraz ze wszystkimi zastępcami prokuratora generalnego złożyliśmy zawiadomienie o przestępstwie. Zarzuciliśmy w nim przekroczenie uprawnień polegające na tym, że wbrew przepisom prawa doszło do zmian, z których pierwszą była faktyczna, a nie prawna, zmiana na stanowisku prokuratora krajowego, gdzie prokurator Bilewicz podjął się tej niechlubnej roli. Przypomnę, że Dariusz Barski do tej pory nie otrzymał żadnego dekretu odwołującego go ze stanowiska. Dostał tylko jakieś kuriozalne pismo z trzema opiniami prawnymi bardzo wątpliwej jakości. Oczywiście ja konsekwentnie to kwestionuję. Zostały wydane opinie przez wybitnych konstytucjonalistów, którzy twierdzą zupełnie co innego niż prawnicy ad hoc Adama Bodnara, jest też postanowienie Trybunału Konstytucyjnego, niezmienne stanowisko prezydenta RP, ale mamy przede wszystkim przepisy prawa o prokuraturze i przepisy wprowadzające tę ustawę. Wynika z nich jednoznacznie, że prokuratorem krajowym jest Dariusz Barski. Ta pierwsza zmiana, czyli zastąpienie legalnego prokuratora krajowego, zrodziła owoce zatrutego drzewa w postaci zmian na stanowiskach prokuratorów regionalnych okręgowych i częściowo rejonowych. Także na stanowiskach dyrektorów i naczelników w Prokuraturze Krajowej. Uzurpatorzy, którzy przejęli władzę w prokuraturze, mają się dobrze w swoim towarzystwie. Ale ich działania ograniczają się do punktowej aktywności ukierunkowanej na cele polityczne. Przypomnę tylko, że tuż przed eurowyborami zawnioskowano o uchylenie immunitetu dwóm posłom, panom Michałowi Wosiowi i Michałowi Dworczykowi. Wywołano dodatkowo zamieszenie w tak newralgicznym miejscu, którym jest prokuratura wojskowa. Próbowano bezzasadnie obciążyć prokuratura Tomasza Janeczka, zastępcę prokuratora generalnego do spraw wojskowych, za sprawę skucia i zatrzymania żołnierzy na granicy. A wszystko to działo się tuż przed ciszą wyborczą.

W jaki sposób to, co się dzieje w prokuraturze, wpływa na bezpieczeństwo zwykłych obywateli?

Pierwszy raz to, co się dzieje w prokuraturze, a także w sądownictwie, odbija się na działalności jednostek niższego szczebla. To wszystko wpływa na działanie prokuratur regionalnych, okręgowych czy rejonowych, a także sądów wszystkich szczebli. Jeżeli twierdzi się, że Dariusz Barski nigdy nie był prokuratorem krajowym, bo rzekomo jego powrót ze stanu spoczynku był nieskuteczny, to pojawiają się argumenty ze strony

eprasa.pl f8bc18ad72

obrońców czy sędziów, że ci prokuratorzy czy asesorzy, którzy zostali powołani na jego wniosek lub przez niego delegowani, są niewłaściwie obsadzeni. To jest najprostsza sytuacja dla adwokata. Nie musi on czytać wielotomowych akt, przygotowywać linii obrony. Wystarczy podnieść argument o braku uprawnionego oskarżyciela i sprawa jest odwlekana lub wręcz umarzana.

To jest fatalna wiadomość dla pokrzywdzonego, który na sprawiedliwość będzie czekał latami. Przypomnijmy takie sprawy jak wypuszczenie na wolność zabójcy drogowego na skutek postanowienia Sądu Najwyższego czy przypadek z Wrocławia, kiedy to do aresztu nie trafił członek zorganizowanej grupy przestępczej, która oszukała wiele osób na milionowe kwoty. Tylko dlatego, że w pierwszej instancji orzekał sędzia powołany przez prezydenta Andrzeja Dudę. Dodajmy, że sędzia Baćkowski, którzy wydał to ostatnie orzeczenie, został powołany w 1992 r. przez Krajową Radę Sądownictwa, która wówczas składała się wyłącznie z sędziów, którzy byli członkami partii komunistycznej.

Kompetencje zastępców prokuratora generalnego Adama Bodnara zostały ograniczone do absolutnego minimum, co sprawia, że przychodzimy do pracy, w której czekają nas zadania niezgodne z naszym doświadczeniem i dorobkiem zawodowym

Czy nie jest jakimś ponurym chichotem historii, że komunistycznym sędziom, którzy za PRL skazywali opozycjonistów na długoletnie więzienie, włos nie spadł z głowy, niektórzy orzekają do dziś, a ściga się sędziów powołanych przez prezydenta RP wolnej Polski?

I nie są to niestety jacyś szeregowi sędziowie. Sam znam przypadek sędziego powołanego przez Radę Państwa PRL, który stoi na czele jednego z sądów okręgowych. Im włos z głowy nie spadł. Ba, nawet nie zobowiązano ich do złożenia przysięgi sędziowskiej w formule uwzględniającej powstanie Rzeczypospolitej Polskiej. Wciąż ich wiąże przysięga wierności PRL. Śmiem twierdzić, że to taki stan umysłu. Takie osoby nadal mają w sądownictwie dużo do powiedzenia, wielu z nich dyskredytuje sędziów powołanych przez prezydenta RP. Najczęściej ludzi młodych, doskonale wykształconych, niezawisłych, którzy sprawiedliwość mają w sercach, którzy chcą orzekać, a nie wdawać się w absurdalne, z ich punktu widzenia, polityczne spory.

Wszystko to jednak spotyka się z aprobatą instytucji europejskich. Nie zmieniono ani jednej ustawy, a mimo tego cofnięto procedurę naruszania przez Polskę praworządności, a osoby takie jak Adam Bodnar fetowane są jako te, które praworządność przywracają.

Tak. To bardzo smutne. Minister Zbigniew Ziobro w porównaniu z Adamem Bodnarem był powściągliwy i unikał wikłania prokuratury w politykę. Owszem, były podejmowane działania wobec polityków, warto by przypomnieć sprawy Sławomira Nowaka czy Stanisława Gawłowskiego. Ale toczyły się też postępowania wobec polityków PiS, wspomnieć przykładowo można sprawę senatora Stanisława Koguta. Wracając do sedna pańskiego pytania, to mimo braku jakichkolwiek zmian ustawowych uznano, że praworządność obecnie obowiązuje w pełnej krasie, a przed 13 grudnia 2023 r. jej nie było lub była w totalnym zagrożeniu. Obecnie mamy do czynienia z biernością instytucji unijnych wobec drastycznego łamania praworządności w Polsce. Gdyby Zbigniew Ziobro podjął choć 10 proc. takich działań, które podjął Adam Bodnar, instytucje unijne trzęsłyby się z oburzenia. Nie ma w tym żadnego sensu i logiki poza tym, że obecnie rządzą w Polsce ludzie, którzy są posłuszni unijnym elitom.

Niemcy mają o wiele bardziej upolityczniony wymiar sprawiedliwości. Na czele Trybunału Konstytucyjnego stoi polityk CDU, który na fotel sędziego przesiadł się z fotela w Bundestagu, a nie miał doświadczenia w orzekaniu choć przez jeden dzień w najmniejszym nawet sądzie.

Niemcy rzeczywiście wiodą prym w krytykowaniu Polski. A nie mają do tego żadnego moralnego prawa. Należy nieustannie podkreślać, że przez bierność niemieckiego wymiaru sprawiedliwości znakomita część zbrodniarzy, którzy dopuszczali się mordów na Polakach i Żydach, uniknęła jakiejkolwiek odpowiedzialności. Ani niemieckie sądy, ani prokuratury nigdy nie uderzyły się z tego powodu w piersi. Wielu z nich, którzy orzekali pod swastyką i wołało „Heil Hitler!", zrobiło niebywałe kariery po wojnie. Niemcy są ostatnimi, którzy mają nas prawo pouczać, nauczać i wymieniać z nami doświadczenia. Nadal chronią swoje interesy. Niestety, obecne władze się na to godzą. Warto przypomnieć, że 26 czerwca br. Ministerstwo Sprawiedliwości pochwaliło się komunikatem o zawarciu porozumienia między dyrektorem polskiej szkoły kształcącej przyszłych sędziów i prokuratorów z saksońskim ministerstwem sprawiedliwości, a inicjatywa ta ma na celu wymianę doświadczeń i „przywrócenie zaufania do instytucji wymiaru sprawiedliwości i umocnienia demokracji".

Dodajmy, że nowy szef tej szkoły to do niedawna czynny adwokat.

To rzeczywiście niebywałe, że za szkolenie sędziów i prokuratorów będzie odpowiadał człowiek, który całe życie zawodowe spędził nie jako prokurator czy sędzia. Nie mam mu tego za złe, ale z całym szacunkiem dla dorobku pana mecenasa prof. Piotra Girdwoynia, w mojej ocenie jego dorobek adwokacki i naukowy nie są wystarczające dla szefa takiej szkoły. Jeśli dodamy, że został powołany na dyrektora szkoły, choć nie wygrał konkursu ogłoszonego przez ministra Adama Bodnara, to będziemy mieli smutny obraz całości.

Prokuratorzy, którzy jeszcze niedawno byli myśliwymi, teraz stali się zwierzyną łowną. Mówię o zarzutach dyscyplinarnych sformułowanych wobec pana i innych.

Chciałbym, żeby prokurator Janecki, który prowadzi moją sprawę jako rzecznik dyscyplinarny ad hoc, wreszcie jak najszybciej doprowadził do rozpoczęcia jawnego procesu w mojej sprawie. Na razie wysyła mi pisma procesowe na adres mojego zameldowania 500 km od Warszawy, wiedząc, że nie mam jak ich

eprasa.pl f8bc18ad72

Bezprawie rozciągnięte w czasie nie legalizuje się automatycznie, jak myślą naiwnie uzurpatorzy w prokuraturze. Warto o tym pomyśleć, zanim podejmie się decyzje o przyjmowaniu funkcji

odebrać, zamiast przekazać je do mojego gabinetu w Prokuraturze Krajowej, oddalonego od jego gabinetu o jakieś 20 m. Głównym zarzutem wobec mnie jest to, o czym mówię również w tym wywiadzie. Chodzi o moją krytykę wobec bezprawnych zmian w prokuraturze zapoczątkowanych odsunięciem od kierowania nią przez prokuratora krajowego Dariusza Barskiego. Tak naprawdę całe to postępowanie to walka z wolnością słowa. Trywializując, w gruncie rzeczy chodzi o to, aby – jak w carskim ukazie – przed obliczem władzy mieć wygląd lichy i durnowaty, żeby nie peszyć przełożonych. Ze mną to nie przejdzie.

Pana i innych zastępców spotykają inne szykany.

Kompetencje zastępców prokuratora generalnego Adama Bodnara zostały ograniczone do absolutnego minimum, co sprawia, że przychodzimy do pracy, w której czekają nas zadania niezgodne z naszym doświadczeniem i dorobkiem zawodowym. Zostaliśmy pozbawieni zwrotów kosztów dojazdu, ryczałtów mieszkaniowych, o samochodach służbowych nie wspomnę, bo zapewne są one niezbędne nowemu „skromnemu" kierownictwu. W mojej ocenie nosi to znamiona mobbingu.

Ale ściganiem rzekomych przestępstw zajmują się nie tylko prokuratura, lecz także rozmaite komisje śledcze oraz zespół Romana Giertycha niemający uprawnień śledczych.

Jestem daleki od polityki, a komisje śledcze w obecnym wydaniu to polityka w czystej postaci. Zostały one ocenione przez opinię publiczną. Sondaże w tej sprawie są druzgocące. Aktywność medialna Romana Giertycha w dużej mierze jest nie tylko absurdalna, lecz także sama w sobie może nosić znamiona przestępstwa. Z tego właśnie powodu półtora miesiąca temu, wraz z zastępcą prokuratora generalnego Robertem Hernandem, złożyliśmy zawiadomienie o przestępstwie. Chodzi o ujawnienie informacji z postępowania przygotowawczego dotyczącego Funduszu Sprawiedliwości, które są prezentowane publicznie, najczęściej w obecności lub przy pełnej aprobacie Romana Giertycha. Pan Mraz ma zarzuty karne, w tym związane z udziałem w zorganizowanej grupie przestępczej, i nie może „łazić" po mediach i szczegółowo opowiadać o tym, co stanowi materiał dowodowy, a właśnie to robi. Oczywiście nikt do nas jako zawiadamiających dotąd się nie odezwał. Na czele parlamentarnego zespołu do spraw tzw. rozliczeń PiS stoi Roman Giertych, który sam ma zarzuty karne. Jest podejrzany, co potwierdza prokuratura pod rządami Adama Bodnara, o współudział w wyprowadzeniu wielu milionów złotych ze spółki giełdowej Polnord. To, że Giertych nie stawia się na wezwanie do prokuratury w Lublinie, pokazuje, że stawia się on ponad prawem.

Jednak w stosunku do poprzednich władz prokuratury też pojawiają się zarzuty przede wszystkim o opieszałość. Osiem lat nie wystarczyło, by osądzić Krzysztofa Kwiatkowskiego, Cezarego Grabarczyka, Włodzimierza Karpińskiego, Sławomira Nowaka czy Stanisława Gawłowskiego.

Prokuratura działała sprawnie. Dość powiedzieć, że w tzw. sprawach reprywatyzacyjnych działaliśmy skutecznie i wielu przestępców trafiło za kratki. Dzięki temu oszukani znaleźli sprawiedliwość. Mieliśmy wielkie sukcesy w walce z mafiami VAT-owskimi. Jeśli chodzi o wymienionych polityków, to w większości tych spraw akty oskarżenia zostały skierowane, jednak sądy w tych sprawach działają z wyjątkową opieszałością. Przypomina mi się niestety tzw. zasada Neumana, czyli bezkarności ze względu na przynależność do obozu obecnie rządzących. Nawiasem mówiąc, ten właśnie polityk niedawno został uniewinniony od zarzutu przekroczenia uprawnień w sprawie, w której były tysiące pokrzywdzonych, a według prokuratury łączna kwota, na którą zostali oszukani, to ponad 13 mln zł. Nie słyszałem, by prokuratura odwołała się od tego wyroku.

Kto ściga teraz przestępczość gospodarczą, w tym tzw. zbrodnie VAT-owskie? To było pańskie główne zadanie.

Odnoszę wrażenie, że nikt. Siłą inercji toczą się jeszcze postępowania zainicjowane za poprzednich rządów. I to nie wszystkie. Nie mam żadnych sygnałów, by w wielu sprawach, które kiedyś nadzorowałem, się coś działo. Badając akta dotyczące przestępczości VAT-owskiej, zauważyłem, że te działania, które były zaplanowane na ten rok, w dużej mierze nie są realizowane. Wcale mnie nie dziwią oficjalne dane o spodziewanej luce VAT-owskiej, która ma wynieść nawet 30 mld zł.

W czasie poprzednich rządów udało się nie tylko zatrzymać tworzenie się luki VAT-owskiej, lecz także odzyskać ukradzione pieniądze. Jakie były skutki waszych ówczesnych działań?

Co do złotówki tego nie da się wyliczyć. Jednak od kiedy w marcu 2017 r. została wprowadzona do Kodeksu karnego zbrodnia VAT-owska, wpływy do budżetu z tytułu VAT wzrosły o dziesiątki miliardów złotych. Dość powiedzieć, że w 2016 r., kiedy nie było jeszcze kategorii zbrodni VAT-owskiej, wpływy z tego podatku wyniosły 127 mld, a już rok później 157 mld. Wprowadzenie do Kodeksu karnego zbrodni VAT-owskiej miało znaczenie nie tylko represyjne, lecz także prewencyjne. Oszuści zdali sobie sprawę, że nie opłaca się spędzić długich lat w więzieniu. Ale nie bez znaczenia jest to, że wiele z tych ukradzionych pieniędzy udało się odzyskać.

Kiedyś trzeba będzie ten bałagan posprzątać. Jak?

Bezprawie rozciągnięte w czasie nie legalizuje się automatycznie, jak myślą naiwnie uzurpatorzy w prokuraturze. Bezprawie nie może pozostać bezkarne. Warto o tym pomyśleć, zanim podejmie się decyzje o przyjmowaniu funkcji. Oczywiście mam na myśli tylko te najważniejsze, samodzielne, decyzyjne funkcje. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że nielegalne przejęcie prokuratury będzie przedmiotem rzetelnego, niezależnego i apolitycznego śledztwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f8bc18ad72

Zmarnowana szansa

Premier Donald Tusk podczas wizyty prezydenta Zełenskiego nie wspomniał nawet o rocznicy krwawej niedzieli

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

Łukasz Warzecha

Dokument, który podpisali 8 lipca prezydent Wołodymyr Zełenski i premier Donald Tusk, ma jedną zasadniczą zaletę: posługuje się tak ogólnikowym językiem i zarazem ma taką formę prawną, że można uznać, iż ostatecznie do niczego nas nie zobowiązuje. Nie zmienia to tego, że pan premier, podpisując go, złamał konstytucję

Zawarcie porozumienia zdarzyło się w szczególnym kontekście: trzy dni później przypadła 81. rocznica kulminacji wołyńskiej rzezi, a 14 lipca w Domostawie, w podkarpackiej gminie Jarocin, odsłonięto po wielu latach starań pomnik ofiar ukraińskiego ludobójstwa autorstwa nieżyjącego już Andrzeja Pityńskiego. Jeśli można było napisać rok czy półtora roku temu, że działania ówczesnych władz w sprawie Ukrainy są nie tylko nieroztropne, lecz także idą wprost wbrew odczuciom dużej części Polaków, to dzisiaj jest tak nadal – tyle że nawet bardziej. Pozostaje pytanie, na ile pan premier jest w swoich działaniach w tej sprawie samodzielny, a na ile spełnia oczekiwania ważniejszych liderów swojego kręgu politycznego.

ABDYKACJA POLSKICH WŁADZ

Skoro pan prezydent Zełenski przyjechał do Polski tuż przed rocznicą krwawej niedzieli 1943 r., to można było oczekiwać, że przynajmniej na marginesie o tej okazji wspomni. Dlaczego jednak miałby poruszać bardzo dla Kijowa niewygodny temat, skoro nie zrobił tego żaden z przyjmujących go polskich polityków? Gdy trzy dni później nadeszła rocznica, pan prezydent na odczepnego opublikował grafikę mającą upamiętniać wydarzenia sprzed 81 lat, natomiast pan premier Donald Tusk uznał, że rocznica po prostu nie istnieje, i nie wspomniał o niej nawet w najbardziej zdawkowy sposób.

eprasa.pl f8bc18ad72

Wobec abdykacji rządzących obu głównych obozów ze zdecydowanego pilnowania sprawy poszukiwań i ekshumacji obywatele wzięli sprawy w swoje ręce. Pomnik w Domostawie został odsłonięty po latach starań i natychmiast ściągnął na siebie gromy za „brutalność" i „dosłowność". Szczególną bezczelnością wykazał się prezes Związku Ukraińców w Polsce, pan Mirosław Skórka, który stwierdził, że pomnik „ma na celu rozbudzić i budzić czy utrzymywać nienawiść w relacjach polsko-ukraińskich". Takie wypowiedzi, wobec upartego braku zgody Kijowa na poszukiwania i ekshumacje, same prowadzą do wzrostu napięć. Zwłaszcza jeśli zestawić je z poczynaniami w sferze czysto politycznej.

BEZ REKOMPENSATY ZA POMOC

Donald Tusk chwali się oto zawartym z Ukrainą porozumieniem, które jest dokumentem kuriozalnym na kilku poziomach. Po pierwsze – zakresu. Chociaż tytuł dokumentu to „Polsko-ukraińskie porozumienie w dziedzinie bezpieczeństwa", to faktycznie mówimy o wielu dziedzinach, w tym niezwiązanych z obronnością. To m.in. „walka z propagandą", współpraca między samorządami czy uczelniami wyższymi, opieka społeczna dla Ukraińców w Polsce, wejście Ukrainy do UE, współpraca gospodarcza albo łączność.

Po drugie – w samej dziedzinie bezpieczeństwa Polska podejmuje wobec Ukrainy zobowiązania bardzo wątpliwe z punktu widzenia polskiego interesu, przede wszystkim dlatego, że są to zobowiązania jednostronne. W obecnej sytuacji jasne jest, że to Polska będzie stroną wspierającą Kijów, a nie odwrotnie. Ta dysproporcja mogłaby być wyrównana w innych dziedzinach, którymi zajmuje się porozumienie, ale tak nie jest.

Porozumienie zakłada, że Polska będzie Ukrainie pomagać w dziedzinie obronności – jest mowa o „kolejnych pakietach pomocy znacznej wartości", które mają trafić na Ukrainę w 2024 r. – podczas gdy Kijów ma się w zamian dzielić swoim doświadczeniem. Zwróćmy uwagę, że choć użyte tu sformułowanie nie mówi o konkretnych kwotach, to jednak zakłada, że będą one „znaczne", i nie wspomina o sprzedaży czy rekompensacie za przekazywaną pomoc. W sprawie myśliwców MiG-29 mowa jest o „rozważaniu" przekazania ich Ukrainie, z zastrzeżeniem potrzeb Sił Powietrznych RP. Jest również mowa o „zachęcaniu" Ukraińców do powrotu do kraju w celu podjęcia służby – co jest jawnym absurdem. Chyba że Polska zamierza bawić się w ukraińskiego żandarma.

W sprawie NATO w porozumieniu użyto sformułowania: „Uczestnicy potwierdzają, że Ukraina należy do rodziny euroatlantyckiej oraz że **przystąpi [podkr. – Ł.W.]** do grona sojuszników NATO. Członkostwo Ukrainy w NATO skutecznie przyczyni się do pokoju i bezpieczeństwa w Europie". Pomijając to, że ostatnie zdanie wyraża pogląd co najmniej wątpliwy, zadziwiające jest ujęcie sprawy członkostwa w NATO tak, jakby decyzja w tej kwestii już zapadła, bez żadnych zastrzeżeń. Co oczywiście jest nieprawdą. Ukraina nie przystąpi do sojuszu przynajmniej do momentu, kiedy jej granice z Rosją nie zostaną ustabilizowane, a to może nie nastąpić przez dziesięciolecia. To żelazna zasada sojuszu: nie mogą do niego przystępować kraje niemające jasnej sytuacji na swoich granicach, a cóż dopiero będące w stanie wojny.

> **Nie bardzo właściwie wiadomo, co nasze państwo miałoby z tego układu mieć i czego nie mielibyśmy bez jego zawierania**

Mało tego: stanowczego tonu porozumienia nie potwierdza deklaracja waszyngtońskiego szczytu sojuszu. Jej punkt 16. znamionuje celowa ambiwalencja: „W pełni wspieramy prawo Ukrainy do wybierania mechanizmów bezpieczeństwa i decydowania o swojej przyszłości bez zewnętrznych nacisków. Przyszłość Ukrainy jest w NATO […]. Potwierdzamy, że do Ukrainy zostanie skierowane zaproszenie do dołączenia do Sojuszu, **gdy zgodzą się Sojusznicy, a warunki zostaną spełnione [podkr. – Ł.W.]".**

Po trzecie – nieproporcjonalność zobowiązań. Owszem, są w porozumieniu pojedyncze punkty, gdzie mowa jest o jakiejś wzajemności lub obopólności korzyści. Jeśli jednak wziąć pod uwagę całość dokumentu, to stroną dającą jest Polska. Nie bardzo właściwie wiadomo, co nasze państwo miałoby z tego układu mieć, czego nie mielibyśmy bez jego zawierania. Owa nieproporcjonalność zobowiązań pogwałca zaś jedną z naczelnych zasad zawierania międzynarodowych umów: obie strony muszą z nich wynosić korzyść, chyba że jedna z nich jest wyraźnie słabsza albo została pokonana w ramach konfliktu zbrojnego. Tu tak przynajmniej w teorii nie jest, ale w praktyce Warszawa pozycjonuje się jako partner wyraźnie słabszy.

Po czwarte – w porozumieniu znajdziemy wiele punktów zawierających co najmniej wątpliwe i niczym niepoparte diagnozy. Czytamy np.: „Wszelkie formy pomocy obywatelom ukraińskim, oferowane w ramach różnych systemów, w tym systemu wspierania rodzin, pomocy społecznej, oświaty, łącznie ze wsparciem finansowym, dostępem do usług socjalnych oraz placówek opiekuńczo-oświatowych, przyczyniają się do zwiększenia szans na ich szybką integrację społeczną i wejście na rynek pracy". Nic takiej diagnozy nie potwierdza. Nie ma danych pokazujących, że następuje jakaś integracja ukraińskich uchodźców, a korzyści podatkowe z ich obecności w naszym kraju oscylują wokół 1 mld zł, wbrew propagandowym opowieściom o sumach sięgających ponad 30 mld.

Po piąte – jeśli w porozumieniu w jakiś sposób wspominane są sprawy, gdzie istnieje sprzeczność interesów, to jest to zrobione w sposób tak zdawkowy i ogólnikowy, że w zasadzie nie znaczy nic. Weźmy choćby następujący zapis: „Polska będzie ściśle współpracować z Ukrainą w celu określenia oraz rozwinięcia odpowiednich i skutecznych kanałów dystrybucji, aby zmniejszyć negatywny wpływ na rynki rolne oraz zapewnić uczciwą konkurencję na jednolitym rynku". Lub taki dotyczący kwestii najdrażliwszej historycznie: „Uczestnicy postanawiają wzmocnić współpracę w prowadzeniu poszukiwań, ekshumacji oraz innych działań, służących godnemu pochówkowi ofiar konfliktów, represji i zbrodni popełnionych na terytoriach Polski i Ukrainy, a także w odniesieniu do wniosków kierowanych do właściwych organów obu Stron o przeprowadzenie takich prac".

eprasa.pl f8bc18ad72

Trudno chyba o bardziej ogólnikowe i niekonkretne potraktowanie zagadnienia, które budzi gigantyczne emocje i jest przedmiotem dramatycznego sporu.

CO NA TO KONSTYTUCJA?

Wszystko to oznacza, że nie powinniśmy mieć do czynienia z porozumieniem, ale z umową międzynarodową w ścisłym znaczeniu. Znamienne, że w preambule porozumienia na taki akt się właśnie powołano – na umowę ogólną pomiędzy Polską a Ukrainą z 2016 r. Czym w takim razie różni się porozumienie od umowy?

Porozumienie jest aktem czysto politycznym, który nie rodzi konkretnych formalnych zobowiązań. Dlatego właśnie porozumienie może być podpisane po prostu przez szefa rządu albo któregoś z ministrów i nie wymaga ratyfikacji. Inaczej jest z umowami międzynarodowymi. Polska konstytucja przewiduje dwa rodzaje takich umów: wymagające sejmowej zgody na ratyfikację i takiej zgody niewymagające. W obu przypadkach jednak ratyfikacja przez głowę państwa jest niezbędna.

W artykule 89. konstytucja wskazuje, że zgody na ratyfikację wyrażonej w ustawie wymagają umowy, które dotyczą m.in. pokoju, sojuszy, układów politycznych lub układów wojskowych oraz znacznego obciążenia państwa pod względem finansowym. Nie ma wątpliwości, że w przypadku polsko-ukraińskiego porozumienia oba te warunki są spełnione. Nawet jeśli uznamy, że zobowiązania w dziedzinie obronności są stosunkowo ogólnikowe, to jednak idą daleko. Nie ma też wątpliwości, że generować będą znaczne obciążenia finansowe – jest to właściwie powiedziane wprost w przytoczonym wcześniej zapisie o przekazywaniu pakietów pomocy wojskowej „znacznej wartości". Wynika to również z zapisów o pomocy socjalnej dla Ukraińców.

Dlaczego w takim razie porozumienie nie zostało przedstawione jako umowa międzynarodowa do rozpatrzenia przez Sejm? To oczywiste: pan premier chciał uniknąć związanej z tym dyskusji. O treści porozumienia nikt nic przed jego ogłoszeniem nie wiedział, opinia publiczna została nim kompletnie zaskoczona. A przecież mówimy o dokumencie dotyczącym tak szerokiego zakresu spraw, że powinna się wokół niego odbyć publiczna dyskusja. Gdyby jednak doszło do debaty w Sejmie, mogłyby się zacząć pojawiać wątpliwości, a przede wszystkim część uczestników dyskusji zakwestionować by mogła skrajnie proukraińską linię, którą przejął obecny rząd po poprzednim i – rzec by można – twórczo ją rozwija.

Skoro język porozumienia jest bełkotliwy i ogólnikowy, to umożliwia elastyczne podejście – ale w obie strony

Czy faktycznie jest się czego bać? I tak, i nie. Rację mają ci, którzy wskazują – jak choćby Witold Jurasz, publicysta Onet.pl, albo dr Wojciech Szewko – że porozumienie jest napisane bełkotliwym, skrajnie niekonkretnym w wielu punktach językiem. W dodatku, jako że jest to właśnie porozumienie, a nie umowa międzynarodowa, akt ten nie ma odpowiedniej konstrukcji językowej, rodzącej twarde i jasne obowiązki stron. To można uznać za plus.

Jednak sprawa nie jest jednoznaczna. Skoro język porozumienia jest bełkotliwy i ogólnikowy, to umożliwia elastyczne podejście – ale w obie strony. Z zobowiązań można się wyplątywać, a także można je podejmować i nawet traktować rozszerzająco. Z jednej strony można powiedzieć, że niezachowanie formy ratyfikowanej umowy międzynarodowej ma osłabiać polskie zobowiązania i sprowadza sprawę do teatru. Z drugiej – że ma na celu uniknięcie potencjalnie kłopotliwego konstytucyjnego procesu, a zobowiązania i tak istnieją.

Trzeba jednak zobaczyć sytuację w szerszym kontekście. Wszystko bowiem wskazuje na to, że za kulisami zaczęła się już poważna gra o zakończenie gorącej fazy konfliktu. Dowodzą tego liczne sygnały: ambiwalentny i unikający konfrontacyjności wobec Rosji ton komunikatu końcowego po konferencji pokojowej w Szwajcarii, przecieki mówiące o wstępnych rosyjskich propozycjach oraz przede wszystkim zaskakujące sugestie Wołodymyra Zełenskiego sprzed tygodnia, gdy ukraiński przywódca stwierdził, że na kolejnej konferencji pokojowej powinni się znaleźć przedstawiciele Federacji Rosyjskiej.

Ba, paradoksalnie dowodem jest również złość, którą wśród dużych krajów UE wywołała moskiewska podróż Viktora Orbána. Nie chodzi przecież o to, że węgierski premier rozmawiał z Rosją, ale o to, że w obecnych okolicznościach może się okazać jednym z głównych rozgrywających sprawę rozejmu – a na to najwięksi, zwłaszcza Niemcy i Francja, absolutnie nie chcą pozwolić i dlatego próbują Węgrowi wskazać jego miejsce w szeregu.

KOMPLEKSY CZY EMOCJE

W ten sposób zamyka się i tak już ledwo otwarte okno możliwości, aby załatwić z Kijowem jakiekolwiek ważne dla nas sprawy. Najszerzej było otwarte w czasie pierwszych kilkunastu miesięcy wojny, za rządów poprzedniej ekipy, która wówczas w ogóle z tej okazji nie skorzystała. Nie postawiono żadnych warunków, zarówno gdy idzie o sprawy ekonomiczne – kwestię eksportu zboża i innych towarów rolnych czy dopuszczenia do pracy w UE ukraińskich kierowców – jak i historyczne, czyli sprawę godnego pochówku ofiar ukraińskiego ludobójstwa. Odpowiedzialnością za ten stan rzeczy trzeba obarczyć głównie rządy PiS. Wtedy Polska była ważna i jako kanał dostarczania Ukrainie pomocy, i – przez pierwszych kilka miesięcy trwania wojny – jako państwo realnie wspomagające walczącego sąsiada. Jednak ekipa PiS – zarówno rząd, jak i obóz pana prezydenta – jako podstawową wytyczną przyjęły rezygnację z normalnej w polityce zagranicznej zasady „coś za coś". Dlaczego tak było i jakie stało za tym rozumowanie, a może bardziej kompleksy czy emocje – kiedyś warto byłoby wyjaśnić.

Rząd Donalda Tuska ma w tej dziedzinie znacznie skromniejsze możliwości, bo też Polska ma już od kilkunastu miesięcy o wiele mniejsze znaczenie. Polityka stale rozgrywa się ponad naszymi głowami. Ciągle jednak jakieś niewielkie możliwości nacisku mamy. Stracimy je ostatecznie, gdy dojdzie do zakończenia gorącej fazy konfliktu. I będzie to być może jak dotychczas największa zmarnowana szansa w polityce zagranicznej III RP w XXI w.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ TAKŻE „LEGION SCHRÖDINGERA" NA STRONIE 66

eprasa.pl f8bc18ad72

Zielone światło dla bezprawia

Zbigniew Komosa pod pomnikiem ofiar tragedii smoleńskiej podczas obchodów 14. rocznicy katastrofy FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Leszek Galarowicz

Od 2018 r. Zbigniew Komosa niszczy pamięć o Lechu Kaczyńskim. Wszystko jest obliczone na wywołanie zadymy, sprowokowanie Jarosława Kaczyńskiego i uzyskanie pretekstu do kreowania jego wizerunku polityka antypatycznego i agresywnego

Wolność słowa to jedna z cenniejszych zdobyczy demokracji, jeden z jej fundamentów. Trudno nie zgodzić się z opinią, że debata publiczna bez krytyki, nawet dosadnej, często ostrej, ale jednak takiej, która nie przekracza pewnych granic, stałaby się swoim zaprzeczeniem. Wolność słowa na sztandarach mają różne strony sceny politycznej, ale chyba nikt chętniej nią nie szafuje, jak strona lewicowo-liberalna. Każdy atak na osobę wyrażającą poglądy katolickie bądź konserwatywne jest usprawiedliwiany nadrzędną wartością wolności słowa. Oczywiście wolnością słowa nie jest już krytyka ideologii LGBT, poglądów proaborcyjnych etc. Wtedy mamy do czynienia z homofobią. Jestem zwolennikiem wolności słowa, uważam, że instrumentalnie traktowany art. 212 kk (dotyczący zniesławienia) w obecnym kształcie nie ma racji bytu, jednak publiczne zabieranie głosu w przestrzeni publicznej to przecież nie wolnoamerykanka i nie może być wyłączona z odpowiedzialności.

Kiedy najpierw w 2018 r., a potem w 2019 r. sąd uznał, że facebookowe wpisy Lecha Wałęsy, w których czynił on z Jarosława Kaczyńskiego sprawcę smoleńskiej tragedii, są przekroczeniem dopuszczalnej granicy debaty i w oczywisty sposób naruszają dobre imię Jarosława Kaczyńskiego, był promyk nadziei, że wymiar sprawiedliwości wydał werdykt zgodny z prawem, a także elementarnym poczuciem przyzwoitości. W 2021 r. w podobnej sprawie, choć nie dotyczącej naruszenia dobrego imienia, ale znieważenia pomnika, decyzja sądu była zupełnie inna. Zbigniew Komosa, który na wieńcu pod pomnikiem smoleńskim napisał „Pamięci 95 ofiar Lecha Kaczyńskiego, który ignorując wszelkie procedury, nakazał pilotom lądować w Smoleńsku w skrajnie trudnych warunkach. Spoczywajcie w pokoju. Naród Polski. STOP KREOWANIU FAŁSZYWYCH BOHATERÓW!", został uniewinniony, choć nie tylko zszargał pamięć śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, lecz także znieważył pomnik.

Równie osobliwe co sam wyrok było uzasadnienie, w którym sędzia przyjęła wyjaśnienie Komosy, który tłumaczył, że „jego celem nie było ośmieszenie kogokolwiek, a zwrócenie uwagi opinii publicznej na możliwy udział władz w katastrofie".

Wyrok sądu nie tylko dał zatem Komosie zielone światło do dalszego przekraczania granicy wolności słowa, działań podłych moralnie, lecz także pozwolił uczynić z siebie ofiarę represyjnego systemu, który ściga go za postawę prodemokratycznego aktywisty walczącego ze złą władzą. Tak do dziś przedstawia się w mediach. Nie trzeba być wielce lotnym, by dostrzec, że wraz z tworem o nazwie Lotna Brygada Opozycji jego celem jest prowokowanie Jarosława Kaczyńskiego, żeby później część mediów mogła napisać o prezesie PiS jako o napastniku, osobie agresywnej, która chce zniszczyć czyjąś własność. Komosa idzie zresztą krok dalej, bo domaga się ścigania każdego, kto ośmieli się jego haniebny wieniec tknąć. Co zresztą wkrótce się wydarzyło. W marcu jeden z serwisów internetowych donosił, że „policja ściga posłów PiS za działania chuligańskie", którymi było „niszczenie" wieńców „prodemokratycznego" aktywisty. W gruncie rzeczy chodziło o usunięcie z przestrzeni publicznej tabliczki z oszczerczym napisem, który godzi w dobre imię śp. Lecha Kaczyńskiego.

Najpierw kogoś opluć, a potem żalić się w mediach, że opluwany nie czeka z założonymi rękami, aby dalej pozwolić opluwać jego lub bliskie mu osoby, tylko się broni. To tak prymitywna metoda politycznej aktywności, że wydaje się niemożliwe, by mogła być skuteczna. A jednak. Przykład Zbigniewa Komosy dowodzi, że można bezkarnie kłamać, obrażać, znieważać, a potem chować się za parasolem wolności słowa, a na dodatek robić z siebie męczennika. Przy okazji cała sytuacja z żałosnymi spektaklami Komosy obnaża mizerną kondycję dużej części dzisiejszych mediów. Wolność słowa nie jest wartością absolutną i staje się tylko pustym sloganem, kiedy nie konfrontuje się jej z odpowiedzialnością i prawdą. Wtedy mamy do czynienia wyłącznie z żałosną karykaturą wolności. ©℗

Autor jest publicystą „Gazety Polskiej" i „Gazety Polskiej Codziennie".

eprasa.pl f8bc18ad72

Ministrant Bidena?

Paweł Chmielewski

Po wybuchu wojny na Ukrainie Franciszek nazwał patriarchę Moskwy Cyryla „ministrantem Putina". To barwne określenie zawiera wiele prawdy, bo nie ulega wątpliwości, że Cyryl silnie zaangażował się w poparcie wojennej polityki Kremla. Problem w tym, że sam papież mógłby równie dobrze zostać nazwany... ministrantem Bidena

FOT. LOUISA GOULIAMAKI/REUTERS/FORUM

W połowie czerwca cały świat obiegło krótkie nagranie, które pokazywało papieża Franciszka z prezydentem USA Joe Bidenem na szczycie G7 w Borgo Egnazia w Apulii. Biden zbliżył się do Ojca Świętego z ciepłym uśmiechem i oparł swoje czoło o jego. Papież odwzajemnił uśmiech, nie próbował się odsunąć. Obaj przywódcy wymienili kilka zdań dotyczących modlitwy za siebie nawzajem.

Te wymowne chwile uwiecznione na filmie mogą być dużą pomocą dla Bidena w trwającej kampanii wyborczej. Badania opinii publicznej wskazują, że wśród chrześcijan na większe poparcie może obecnie liczyć Donald Trump. Dotyczy to zarówno katolików, jak i protestantów. Wśród osób niezaangażowanych religijnie, ateistów i agnostyków o wiele bardziej popularny jest z kolei Biden. Większość sondaży pokazuje, że obu kandydatów dzieli niewielka różnica głosów, przy czym na prowadzeniu od dawna pozostaje Trump. Przejęcie jakiejś części głosów wyborców katolickich może być zatem dla demokratów jedną z szans na pokonanie kandydata republikanów. Polityka administracji Joe Bidena oraz jego osobista postawa zdecydowanie utrudniają realizację tego zadania. Biden nie może zresztą pozwolić sobie na jakiekolwiek decyzje czy ustawy, które spodobałyby się katolikom, bo to mogłoby zniechęcić twardy elektorat lewicowy. Stąd zrozumiała potrzeba jego sztabu sięgania po wszelkie możliwe czysto wizerunkowe zagrania, które dają nadzieję na przekonanie niektórych wyborców, że Biden, mimo wszystko, jest z perspektywy Kościoła akceptowalnym kandydatem. Skoro nieledwie przytula się z nim sam papież...

FRANCISZKOWA KAMPANIA

Konserwatywne media amerykańskie próbowały kontrować tę narrację, przedstawiając spotkanie Franciszka i Bidena jako zaaranżowane przez PR-owców prezydenta USA oraz sugerując, że papież był „wyraźnie niezadowolony" z gestu Amerykanina. Jednak obiektywna analiza działalności Jorge Maria Bergoglia pokazuje jednoznacznie, że wyraźnie wspiera on Bidena i od lat robi bardzo wiele, by uderzyć w jego przeciwnika, Donalda Trumpa, zapewniając reelekcję kandydatowi demokratów.

Franciszkowa kampania na rzecz liberalnej lewicy rozpoczęła się już w 2016 r., kiedy w wyścigu o fotel prezydencki mierzyli się Donald Trump i Hillary Clinton. Papież ogłosił wtedy kategorycznie, że „człowiek, który myśli o budowaniu murów, a nie mostów, nie jest chrześcijaninem", bo budowanie murów „to nie jest Ewangelia". Cytowane słowa odbiły się w USA bardzo szerokim echem i były komentowane nawet przez samego Trumpa, który promował wtedy ideę ustawienia muru na granicy z Meksykiem. W tym samym czasie Hillary Clinton ogłaszała pełne poparcie dla polityki proaborcyjnej; Franciszek nie odmówił jej jednak bycia chrześcijanką.

W podobny sposób papież zachował się cztery lata później, kiedy Trump konkurował z Bidenem. Miesiąc przed głosowaniem opublikował encyklikę „Fratelli tutti", gdzie poparł wiele postulatów lewicy, z polityką nieskrępowanej migracji na czele. Ponowił tam zdecydowaną krytykę

eprasa.pl f8bc18ad72

„budowania murów", wyraźnie nawiązując do polityki Trumpa. Dodatkowo ostro sprzeciwił się karze śmierci, za której legalnością opowiada się kandydat republikanów, w przeciwieństwie do swojego przeciwnika. Ponownie papież ani słowem nie potępił legalności uśmiercania dzieci nienarodzonych, za czym lobbował w kampanii Biden. Kiedy zresztą w październiku 2021 r. Biden już jako prezydent odwiedził Watykan, według swoich własnych słów usłyszał od papieża, że jest dobrym katolikiem i powinien cały czas przystępować do Komunii Świętej. Słowa potwierdziły czyny; Biden otrzymał Ciało Pańskie na Mszy Świętej w Rzymie. „Ekskomunika" za migrantów, Komunia mimo aborcji? A przecież w tamtym momencie Biden miał na sumieniu nie tylko proaborcyjne wypowiedzi, lecz także podpisanie dokumentów wspierających finansowanie z budżetu USA zabijanie dzieci w krajach rozwijających się.

W kolejnych latach relacje Stolicy Apostolskiej z Waszyngtonem uległy pewnemu ochłodzeniu, prawdopodobnie ze względu na odmienne podejście do wojny na Ukrainie. Ameryka zaangażowała się w duże wsparcie wojskowe dla Ukrainy, podczas gdy Watykan wielokrotnie sygnalizował, że należy zbudować w Europie nowy porządek bezpieczeństwa, który uwzględni rosyjskie interesy. Papież potępiał rosyjskie zbrodnie na ukraińskiej ludności, ale odpowiedzialnością za wybuch wojny obarczał politykę NATO i potępiał wysyłanie broni na Ukrainę. Nie posunął się jednak do otwartej krytyki samego Joe Bidena.

ZWIĄZKI JEDNOPŁCIOWE I KLUCZ KARDYNAŁÓW

Ogromnie ważnym gestem papieża na rzecz polityki demokratów było opublikowanie w grudniu 2023 r. deklaracji doktrynalnej „Fiducia supplicans", która pozwoliła na błogosławienie par jednopłciowych. Decyzja Franciszka i kard. Victora Fernándeza spotkała się z niezwykle ciepłym przyjęciem wspierającej Bidena liberalnej prasy amerykańskiej. Sukces lobbingu grup LGBT i wielki przełom odtrąbiły m.in. „New York Times" czy „Washington Post". Przychylnie o „Fiducia supplicans" wypowiedział się też Biały Dom, deklarując poparcie prezydenta Bidena i nazywając decyzję Franciszka krokiem naprzód „w stronę ludzi LGBTQ+". Pozwoliło to wskazywać na „wspólnotę wartości" Bidena i Franciszka.

Obok osobistych wypowiedzi i działań papieża nie do przecenienia jest jego polityka personalna. Od 2013 r. powołał w Stanach Zjednoczonych wielu nowych biskupów i kardynałów, wybierając ich według ściśle określonego klucza. Nominaci Franciszka nie angażują się w krytykę lewicowego liberalizmu, sprzeciwiają się odmawianiu udzielania Komunii Świętej politykom proaborcyjnym, popierają masową migrację, walczą z karą śmierci.

Hierarchowie, którzy jasno i zdecydowanie krytykują prezydenta Bidena, muszą liczyć się z reprymendą. Biskup Joseph Strickland z Teksasu został usunięty z urzędu, kard. Raymond Leo Burke stracił lokal mieszkaniowy w Rzymie, konserwatywny abp José Horacio Gómez został demonstracyjnie pominięty przy nominacjach kardynalskich na rzecz liberalnego bp. Roberta McElroya z San Diego. Oczywiście we wszystkich tych i wielu podobnych przypadkach nie chodzi wyłącznie o papieską niechęć do krytyki Bidena; hierarchowie sprzeciwiający się demokratom zazwyczaj prezentują cały zestaw poglądów, które idą w kontrze do progresywnego układu rządzącego dziś w Watykanie.

Kolejnym elementem pośredniego watykańskiego wsparcia demokratów jest zaangażowanie Stolicy Apostolskiej w rozmaite inicjatywy i projekty realizowane przez amerykańskie liberalne elity zbliżone do tego obozu politycznego. Szczególnie widoczne było to w okresie pandemii COVID-19. Papież spotykający się z Albertem Bourlą, szefem amerykańskiej firmy Pfizer produkującej szczepionki; Watykan jako miejsce organizacji konferencji proszczepionkowych, na które zaproszono dyrektora Narodowego Instytutu Alergii i Chorób Zakaźnych, Anthony'ego Fauciego. Do kwestii sanitarnych oczywiście się to nie ogranicza. Warte odnotowania jest też silne zaangażowanie Rzymu w promocję Agendy 2030, widoczne przy okazji Światowych Dni Młodzieży w Lizbonie oraz w ogóle w działalności Watykanu na forum ONZ; a także spotkania z Alexandrem Sorosem, Billem Clintonem czy ostatnio z dużą grupą amerykańskich komików, wśród których wiodącą rolę odgrywali zadeklarowani lewicowcy wspierający agendę demokratów.

DEALE WATYKANU

Dlaczego papież Franciszek i jego najbliższe zaplecze zachowują się w ten sposób? Można szukać najrozmaitszych wyjaśnień, wśród których nie bez znaczenia są kwestie finansowe: w jednym z ubiegłorocznych numerów „Do Rzeczy" opisywałem intratne deale Watykanu z liberalnymi elitami światowymi, np. z Billem Gatesem, czy też inicjatywę na rzecz „inkluzywnego kapitalizmu" prowadzoną pod egidą Lynn Forester de Rothschild.

Ograniczanie się do tego wątku byłoby jednak nadmiernym uproszczeniem. Wydaje się, że kluczową rolę odgrywa z jednej strony społeczno-polityczna, latynoamerykańska formacja Franciszka, z drugiej jego silne inklinacje w kierunku progresywnej niemieckiej teologii. Ta pierwsza każe papieżowi skupiać się na doświadczeniu biedy i wykluczenia ekonomicznego do tego stopnia, że w gonitwie za akceptacją migrantów i walką z ubóstwem zapomina się o jeszcze bardziej fundamentalnych kwestiach, jak prawo każdego człowieka do życia. Z kolei teologiczne inklinacje niemieckie powodują głęboką niechęć do tradycyjnych wzorców funkcjonowania Kościoła i niezmiennych ujęć doktrynalnych. Jako że politycznie ta sama postawa przełamywania przeszłości i rzucania się w wir nowoczesności jest właściwa właśnie lewicy, papież w naturalny sposób silnie się ku niej skłania. Można powiedzieć, że Jorge Mario Bergoglio jest kulturowo i teologicznie zaimpregnowany na jakiekolwiek formy polityki prawicowej. Wyjątek czyni chyba tylko dla Giorgii Meloni, ale to raczej wyraz typowej dla Watykanu polityki utrzymywania dobrych relacji z każdym włoskim rządem.

Niestety, osobiste skłonności Franciszka sprawiają, że działalność obecnej Kurii Rzymskiej przybiera nierzadko karykaturalne formy i w pełni zasadne jest mówienie o głębokiej lewicowej polityzacji Stolicy Apostolskiej. W tym świetle formułowane przez papieża oskarżenia pod adresem Cyryla o bycie ministrantem Putina można byłoby skwitować popularnym polskim powiedzeniem o kotle i garnku albo też ewangelicznym napomnieniem o drzazdze i belce w oku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl f8bc18ad72

FOT. ADOBE STOCK

Nabici w butelkę

Łukasz Zboralski

Niski dopuszczalny limit alkoholu za kierownicą pozornie jest dobry, ale w Polsce może przynosić szkody. Jest wygodny dla policji, która dzięki temu może tylko markować pracę, oraz dla ubezpieczycieli, bo mogą liczyć zyski z regresu. Przez to jednak nie skupiamy się na tych, którzy są naprawdę pijani i groźni na drogach

Borzęcin Duży pod Warszawą. Wieś, jakich w Polsce wiele. Domy przy drodze. A droga jest długa, prosta i nowiutka – piękny czarny asfalt. 5 lipca chodnikiem przy tej drodze szło dwóch 12-letnich chłopców. Prowadzili rowery. Jeden z nich, Tymoteusz, tego dnia miał urodziny. Poszedł z kolegą, by zakupić więcej przekąsek na urodzinową uroczystość. Na ulicy pojawiły się dwa auta. Kierowca srebrnego bmw postanowił jechać szybko, wyprzedzał i nagle wypadł z jezdni prosto na chłopców. Gdy świadkowie przybiegli na ratunek, jeden z malców miał uszkodzoną nogę. Drugiego nie mogli znaleźć. Dopiero po jakimś czasie zorientowano się, że siła uderzenia wyrzuciła go aż za płot sąsiedniej posesji. Zginął na miejscu. Kierowca, który go zabił, mieszkał od niego tylko kilka domów dalej. Dwudziestosześciolatek był kompletnie pijany. Miał prawie trzy promile alkoholu w organizmie. Na przesłuchaniach nie wyrażał skruchy, sąd zgodził się na jego tymczasowy areszt.

Nie minął tydzień, gdy na tej samej drodze, zaledwie 4 km od miejsca tragedii, przy którym na chodniku wciąż palą się znicze, kobieta prowadząca osobowego forda wpadła do rowu. Tuż przy boisku sportowym i placu zabaw. Była pijana. Miała ponad 0,5 promila.

Prawie w tym samym czasie w Puławach policjanci po zgłoszeniu od świadków zatrzymali na stacji benzynowej 34-letniego kierowcę. Był agresywny, miał blisko promil alkoholu w organizmie. Okazało się też, że ma dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów. Nie bez powodu. W 2017 r. jeździł pijany samochodem po Puławach, miał blisko dwa promile. Wpadł na chodnik prosto w matkę z dwojgiem dzieci. Sześciolatka ranił, a dwuletniej dziewczynce zmiażdżył nogę tak, że trzeba było ją amputować.

To tylko obrazki z ostatnich tygodni. Tragedie powodowane przez pijanych kierowców są dużo rzadsze niż te powodowane przez trzeźwych pędzących na złamanie karku. Jednak na trzeźwych wpływa m.in. system kar. Na pijanych to nie działa.

Te drastyczne przykłady, które podałem, muszą zaskakiwać w zestawieniu z tym, że twierdzę, iż limit alkoholu dla kierowców w Polsce – uznający za wykroczenie już zawartość 0,2 promila w organizmie – ustawiony mamy zbyt nisko. No bo jak jednocześnie pokazywać, że pijani kierowcy zabijają dzieci, i mówić, że być może powinien w Polsce pozostać tylko limit, od którego zaczyna się przestępstwo prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwości, czyli od 0,5 promila? I jak może to robić dziennikarz, który specjalizuje się w bezpieczeństwie ruchu drogowego?

Już tłumaczę. Celowo nie będę w tym tekście zajmował się narzędziami, które już w Polsce przeciw pijanym kierowcom wdrożyliśmy i które wdrożyć jeszcze możemy. Wiemy, że konfiskata pojazdów pozwala część osób powstrzymać przed ponownym wsiadaniem za kółko, bo po prostu nie będą mieli gdzie wsiąść. Wiemy, że odsłoniła ona jednak dużą skalę pijaństwa na drogach. Średnio policja zatrzymuje do dalszej konfiskaty blisko 500 pojazdów miesięcznie, a przecież są to sytuacje wyjątkowe – kierowca musi wydmuchać co najmniej 0,5 promila, czyli być naprawdę upojony alkoholem, a w dodatku pojazd musi być jego wyłączną własnością.

Wiemy też, czego jeszcze w Polsce nam brak. A brakuje nam obowiązkowego systemu diagnozy złapanych pijanych kierowców i wysyłania ich nie do więzienia (co zresztą dzieje się rzadko za pierwszym razem, a i przy kolejnych są to raczej miesiące izolacji niż lata – i tylko wspomnę, że sędziowie z KRS dekadę temu głośno protestowali zarówno

eprasa.pl f8bc18ad72

przeciw konfiskacie aut, jak i przeciw zamykaniu na dwa lata tego, kto złamie sądowy zakaz prowadzenia pojazdów), a na przymusowe, zamknięte leczenie alkoholików.

SYSTEM POSTAWIONY NA GŁOWIE

To, czego nie wiemy albo o czym nie mówimy głośno, to dotychczasowe skrzywienie naszego systemu nadzoru nad pijanymi kierowcami. Służby od lat działają źle i paradoksalnie uzdrowić może je ustanowienie jednego limitu w Polsce wynoszącego 0,5 promila.

Muszę tu wskazać na policję. Ta PR-owsko od lat chwali się, że prowadzi kilkanaście milionów kontroli alkomatami na drogach rocznie. Po pierwsze, śmiem wątpić, czy te liczby są prawdziwe. I są przemawiające za tymi wątpliwościami dowody. Prokuratura w Radomiu od końca czerwca prowadzi postępowanie w sprawie dwóch policjantów z radomskiej drogówki. To nie żółtodzioby. W mundurze pracują od lat. Pod koniec ubiegłego roku kierownik drogówki z miejskiej komendy pojechał sprawdzić, jak realizują akcje trzeźwości. Okazało się, że wcale nie badali kierowców. Jednak w służbowym notesie odnotowali kontrole alkomatami. Takiej fikcji w Polsce zapewne jest dużo więcej.

Nawet gdy policjanci prowadzą kontrole, robią to tak, żeby było im najprzyjemniej i najłatwiej – a nie tak, żeby złapać jak najwięcej kierowców, którzy stanowią zagrożenie, bo są pijani. To dlatego policja od lat 90. uparcie prowadzi akcje badania alkomatami w… poniedziałki rano, mimo że w statystyce podawanej przez Komendę Główną Policji od lat widać, że pijani powodują najwięcej wypadków w weekendy i wieczorami. To dla policjantów wygodniejsze niż uganianie się za pijanymi po wsiach czy młodymi kierowcami wracającymi po nocach z dyskotek (to oni często rozbijają się na drzewach).

Policja ma nawet od dawna określenie na tych, których łapie podczas swoich akcji. To „wczoraje" lub „koneserzy". Bo to zwykle ludzie, którzy nie są pijani. Zwykle po prostu nie wytrzeźwieli do końca, mają jeszcze 0,2 promila lub niewiele ponad to. Na to też są dowody. Odnotowano je w raporcie Instytutu Transportu Drogowego już dekadę temu („Polityka prewencyjna wobec nietrzeźwych kierowców w Polsce w latach 2006–2013", Instytut Transportu Samochodowego, Warszawa 2014). W dokumencie tym streszczono wyniki badania DRUID prowadzonego także w Polsce. Pokazało ono, że ponad 80 proc. przypadków kierowców jadących po alkoholu, których ujawniono podczas badania policyjnego, miało we krwi stężenie alkoholu w granicach 0,2–0,5 promila.

Wiemy więc, że policjanci skupiają się na tej grupie. Nie na bardzo pijanych. Czy ludzie jadący na kacu są groźniejsi od tych, którzy mają 0,5 promila albo promil i więcej? Nie! Można tu sięgnąć do wielu opracowań naukowych, które mówią, że oczywiście zawsze ryzyko uczestniczenia w wypadku jest najmniejsze, gdy kierowca jest zupełnie pozbawiony alkoholu w organizmie, ale to ryzyko istotnie rośnie dopiero od stężenia 0,4–0,5 promila.

Polska policja jednak skrzętnie to ukrywa. Kiedyś jako dziennikarz poprosiłem o posegregowanie pijanych kierowców, którzy spowodowali wypadek. Pytałem KGP, ilu z nich miało 0,2–0,5 promila, ilu 0,5–1 promila, a ilu powyżej promila. Policja tych danych nie chciała mi pokazać. Wiem dlaczego. Widzę to, śledząc kilkanaście lat policyjne doniesienia po wypadkach. Pijani powodujący tragedie zawsze mają dużo więcej niż promil alkoholu w organizmie.

KOMU TO NA RĘKĘ

Czy to dlatego Polska jest na mapie Europy wśród krajów mających najbardziej restrykcyjne limity alkoholu dla kierowców? Być może. Zdecydowana większość krajów dopuszcza jazdę do 0,5 promila. Problemy prawne kierowców od 0,2 promila poza Polską ustalono jeszcze tylko w Norwegii, Szwecji i Estonii. Są i bardziej radykalne kraje, w których limit wynosi zero. To Czechy, Węgry, Rumunia i Słowacja.

Dlaczego Niemiec i Francuz mogą wypić jeden kieliszek wina do obiadu albo piwo po pracy i spokojnie pojechać do domu, a Polak nie? Dlaczego nikt nie próbował urealnić tego systemu?

Poza tym, że policja musiałaby radykalnie zmienić swoje rytuały i wziąć się do porządnej pracy, ktoś straciłby też dużo pieniędzy. I wiemy kto.

Nie tylko wypadek, lecz także każda kolizja to ogromne pieniądze wypłacane z ubezpieczenia OC sprawców. Kwoty idą w miliardy. Jak podsumowywała Polska Izba Ubezpieczeń, tylko przez trzy kwartały 2023 r. ubezpieczyciele w Polsce wypłacili poszkodowanym na drogach prawie 8 mld zł odszkodowań i świadczeń z obowiązkowego OC.

Tak się składa, że część tych pieniędzy ubezpieczyciele mogą sobie odebrać z kieszeni sprawców kolizji i wypadków. W Ustawie o ubezpieczeniach obowiązkowych, Ubezpieczeniowym Funduszu Gwarancyjnym i Polskim Biurze Ubezpieczycieli Komunikacyjnych w art. 43 zapisano bowiem, że każdemu ubezpieczycielowi oraz UFG „przysługuje prawo dochodzenia od kierującego pojazdem mechanicznym zwrotu wypłaconego z tytułu ubezpieczenia OC posiadaczy pojazdów mechanicznych odszkodowania, jeżeli kierujący: 1) wyrządził szkodę umyślnie, w stanie po użyciu alkoholu lub w stanie nietrzeźwości albo po użyciu środków odurzających, substancji psychotropowych lub środków zastępczych w rozumieniu przepisów o przeciwdziałaniu narkomanii".

Zwracam uwagę na zapis „w stanie po użyciu alkoholu". To właśnie popełnienie zaledwie wykroczenia i odnotowanie w organizmie 0,2–0,5 promila. Tyle wystarczy, żeby ubezpieczyciel uznał, że to sprawca zdarzenia ma mu oddać pieniądze, za które m.in. naprawiono samochód poszkodowanego. Trudno nie zauważyć, że podniesienie poprzeczki limitu alkoholu dla kierowców w Polsce do 0,5 promila mogłoby urwać ogromnie dużo pieniędzy z systemu, z którego korzystają firmy ubezpieczeniowe.

Czy powinniśmy więc ustalić wyższy limit dopuszczalnego stężenia alkoholu dla kierowców? Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie, ale wskazałem wystarczająco dużo wad obecnej sytuacji. Z pewnością argumentem przeciwników podnoszenia limitu będzie założenie, że może to zachęcić więcej ludzi do spożywania alkoholu i prowadzenia pojazdów. Mam jednak głębokie przekonanie, że ani ja, ani większość Polaków w takiej sytuacji nie zacznie upijać się do nieprzytomności i jeździć zygzakiem. Nadal będą robić to ci, którzy robią to i dziś.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f8bc18ad72

Grzegorz Majchrzak

Przygotowania sportowców poszły na marne, a ich marzenia zostały przekreślone, gdy władze Związku Sowieckiego, a w ślad za nimi władze wielu państw zależnych od Moskwy, zdecydowały o bojkocie igrzysk olimpijskich w Los Angeles

Alternatywą dla igrzysk olimpijskich w Los Angeles był cykl zawodów Przyjaźń-84 zorganizowanych w 1984 r. przez państwa socjalistyczne FOT. TEODOR WALCZAK/PAP

Na olimpiadę dojechała tylko SB

Czterdzieści lat temu, w dniach 28 lipca–12 sierpnia 1984 r. w Los Angeles odbyły się XXIII letnie igrzyska olimpijskie. W ich trakcie do zdobycia było ponad 660 medali w 221 konkurencjach. Przed szansą na to stanęło blisko 7 tys. sportowców ze 140 krajów. Wśród nich nie było niestety Polaków. Decyzję w sprawie rozgrywanych w Stanach Zjednoczonych igrzysk podjęły – w ramach retorsji za nieobecność USA i innych państw zachodnich cztery lata wcześniej w Moskwie – władze Związku Sowieckiego, a w ślad za nimi wiele państw tzw. demokracji ludowej, wśród nich PRL. Oznaczało to przekreślenie marzeń i lat przygotowań wielu sportowców. Ich przygotowania poszły na marne.

Na marne – przynajmniej niecałkowicie – nie poszły natomiast przygotowania aparatu bezpieczeństwa. W tym miejscu warto przypomnieć, że w przypadku największych imprez sportowych, w tym oczywiście również igrzysk olimpijskich, były one standardem. W Polsce w latach 70. i 80. były one prowadzone w ramach tzw. spraw obiektowych. W tym przypadku zresztą pod mało wyszukanym kryptonimem Los Angeles. Sygnał do działań – podobnie jak w przypadku bojkotu – przyszedł z Moskwy. W połowie stycznia 1982 r. zostało tam zorganizowane robocze spotkanie przedstawicieli służb bezpieczeństwa państw socjalistycznych „w sprawie zapewnienia bezpieczeństwa ekipom narodowym z k[rajów] s[ocjalistycznych] podczas olimpiady zimowej w Sarajewie", która miała się odbyć od 8 do 19 lutego 1984 r. Niejako przy okazji dokonano również „wymiany informacji n[a] t[emat] aktualnej sytuacji polityczno-operacyjnej związanej z przygotowaniami do Igrzysk Olimpijskich w Los Angeles". Sowieci poinformowali, że ze względu „na złożoną międzynarodową sytuację polityczną i militarną" władze państwowe Związku Sowieckiego ostateczną decyzję o udziale ekipy w letniej olimpiadzie na terenie USA podejmą dwa tygodnie przed ich rozpoczęciem. Ich zdaniem administracja prezydenta Ronalda Reagana zamierzała wykorzystać igrzyska w kampanii przedwyborczej, a ewentualne zwycięstwo w klasyfikacji medalowej sportowców amerykańskich miało „umożliwić stworzenie odpowiedniego szowinistycznego tła dla kontynuacji propagandy antykomunistycznej".

W związku z tym podejrzewano Amerykanów o „próby stworzenia dla sportowców z ZSRS i krajów socjalistycznych maksymalnie trudnych warunków". To nie wszystko. Stany Zjednoczone oskarżano również o nieprzestrzeganie Karty Olimpijskiej – w tym przypadku chodziło głównie o żądanie zdecydowanie wcześniejszego niż w niej przewidziano przedłożenia dokumentów akredytacyjnych członków ekip krajów socjalistycznych. Nie bez powodu zresztą. Miało to bowiem pozwolić Amerykanom na „dokonanie odpowiednich sprawdzeń, ustaleń i przygotowań o charakterze wywiadowczym i kontrwywiadowczym". Podczas moskiewskiego spotkania ustalono również, że za ochronę obywateli państw socjalistycznych w czasie olimpiady odpowiedzialne będą władze Stanów Zjednoczonych jako organizator olimpiady. Służby bezpieczeństwa krajów „demokracji ludowej" miały ograniczyć się wyłącznie do operacyjnej ochrony swoich ekip oraz nie ujawniać przed władzami USA „żadnego ze swoich pracowników". Miano dążyć do włączenia w skład ekip pracowników ambasad lub konsulatów w Stanach Zjednoczonych jako attaché olimpijskich upoważnionych do kontaktowania się z wła-

eprasa.pl f8bc18ad72

dzami amerykańskimi oraz komitetem organizacyjnym igrzysk. Był z tym jednak problem, gdyż nie chciały się na to zgodzić władze Stanów Zjednoczonych.

Innym ważnym ustaleniem wspomnianej narady było współdziałanie aparatu bezpieczeństwa państw socjalistycznych „pod kątem ofensywnego i wszechstronnego rozpoznawania przygotowań organizatorów i organów władz amerykańskich do olimpiady", a także ich współpracy w czasie samych igrzysk „dla pełnego zabezpieczenia interesów" krajów „demokracji ludowej" i bezpieczeństwa ich ekip.

„LICZNE ZAGROŻENIA"

W związku z letnimi igrzyskami olimpijskimi w Los Angeles – o czym była już mowa – działania prowadziła Służba Bezpieczeństwa w ramach sprawy pod kryptonimem Los Angeles. Ich potrzebę na początku maja 1984 r. uzasadniano „sytuacją międzynarodową i polityką władz USA w stosunku do krajów socjalistycznych" oraz „specyficznymi stosunkami polsko-amerykańskimi", co z kolei miało powodować „liczne zagrożenia". Zaliczono do nich: działania prowokacyjne mające na celu kompromitowanie przedstawicieli krajów socjalistycznych, próby werbunku przez służby specjalne USA, nakłanianie do odmowy powrotu do kraju, udzielanie wywiadów prasowych i radiowych o negatywnej treści przez członków naszej ekipy, a także kolportaż wrogiej propagandy oraz „destrukcyjne oddziaływanie reakcyjnej i prosolidarnościowej emigracji".

W kraju za działania odpowiadał Wydział IX Departamentu III MSW oraz – w myśl jego wytycznych – wydziały III wojewódzkich urzędów spraw wewnętrznych. W ich ramach zbierano informacje – dokonując sprawdzenia w kartotekach – sportowców i „osób towarzyszących" (trenerów, działaczy, członków personelu medycznego) oraz sędziów zaproszonych przez komitet organizacyjny igrzysk. Miało to służyć m.in. „odpowiedniemu doborowi kandydatów do wyjazdu", który – jak stwierdzano – miał uwzględniać „nasze interesy polityczne i operacyjne". Planowano „wszechstronne rozpoznanie" tych osób, a także niedopuszczenie do wyjazdu tych, które mogą odmówić powrotu do kraju oraz które „ze względu na przeszłość, cechy charakterologiczne i poglądy nie dają rękojmi należytego postępowania w czasie igrzysk pod względem etyczno-moralnym, a zwłaszcza politycznym". Oznaczało to również „przygotowanie odpowiedniej jakościowo i ilościowo sieci osobowych źródeł informacji", z uwzględnieniem „sportowców funkcjonariuszy pionu gwardyjskiego".

W przypadku sportowców i działaczy z klubów wojskowych Służba Bezpieczeństwa miała współpracować z Wojskową Służbą Wewnętrzną. Funkcjonariuszom SB nakazano także „operacyjne zainteresowanie" działalnością ośrodków przygotowań olimpijskich w kraju (m.in. w Spale, Cetniewie czy Zakopanem), a w szczególności „pracą ich kierownictw i przebiegiem toku przygotowań poszczególnych grup sportowców". Co ciekawe, mieli niespecjalnie się z tym kryć po to, aby wywrzeć „określoną presję psychiczną na osoby kontrolowane".

Najciekawszym chyba zadaniem było jednak „zainteresowanie się stanem zdrowotnym kandydatów do wyjazdu, w szczególności czy wszyscy sportowcy mają odbyte aktualne badania w Centralnej Przychodni Sportowo-Lekarskiej w Warszawie". Wynikało to z tego, że Służba Bezpieczeństwa dysponowała informacjami, iż „będą próby omijania zarządzenia G[łównego] K[omitetu] K[ultury] F[izycznej] i S[portu] i przeprowadzania fikcyjnych badań w klubach". I nie chodziło w tym przypadku o troskę o zdrowie naszych czempionów, ale o obawy przed zapowiedzianymi przez organizatorów olimpiady „ostrymi badaniami antydopingowymi". Celem było w tym przypadku „uniknięcie kompromitacji reprezentacji, jak i ponoszenia przez Państwo zbędnych wydatków na wyjazd danego sportowca".

To nie wszystko. Funkcjonariusze wydziałów III WUSW mieli również odnotowywać ewentualne przypadki utrzymywania przez członków ekipy olimpijskiej „kontaktów pozasportowych z osobami z zagranicy", a także informować o ewentualnych inicjatywach „środowisk polonijnych i prosolidarnościowych z terenu USA". Niestety, najprawdopodobniej nie dowiemy się o wynikach tych działań, gdyż akta sprawy „Los Angeles" – w przeciwieństwie np. do „zabezpieczenia" w 1988 r. zimowych i letnich igrzysk w Calgary i Seulu – się nie zachowały. Przynajmniej w archiwum. Możemy dzisiaj jedynie zastanawiać się, co w nich było tak cennego, że zniszczono lub też sprywatyzowano je na przełomie lat 80. i 90.

WYWIAD I AGITACJA

Paradoksalnie w przypadku olimpiady w Los Angeles więcej wiemy na temat działań Departamentu I MSW, czyli wywiadu. Wynika to z tego, że w związku ze zbliżającymi się igrzyskami w Stanach Zjednoczonych nie ograniczano się do działań na terenie kraju, lecz aktywnie prowadzono również działania poza granicami PRL. Funkcjonariusze wywiadu zbierali informacje i pogłoski zarówno o przygotowaniach do olimpiady, jak i o ewentualnych zagrożeniach, które w ich trakcie mogą wystąpić. I tak np. w lutym 1984 r. „Finley" (Krzysztof Nowakowski, oficer operacyjny rezydentury w Waszyngtonie, a oficjalnie I sekretarz Ambasady PRL w Waszyngtonie) alarmował, że „Departament Stanu, a także służby specjalne USA (FBI) przygotowują się do propagandowego zdyskontowania spodziewanej odmowy powrotu do kraju ze strony dwóch–trzech osób z polskiej ekipy". Według niego Amerykanie mieli szczególnie liczyć „na pozostanie w USA przynajmniej jednego zawodnika mającego stopień wojskowy (członka klubu wojskowego), co znacznie wzmocniłoby ostateczny efekt propagandowy".

To nie wszystko. „Finley" twierdził również, że „odpowiednie działania agitacyjne" w tym celu będą prowadzić „aktywiści byłej »Solidarności«, »Pomostu« i innych ugrupowań emigracyjnych". Polscy olimpijczycy mieli być informowani – przez przedstawicieli amerykańskiej Polonii – że jest ona „przygotowana na przyjęcie każdego, kto zechce »wybrać wolność«". Nieco wcześniej (pod koniec stycznia) „Rymer" (Wiesław Mickiewicz, rezydent w Waszyngtonie, działający w Stanach Zjednoczonych „pod przykryciem" radcy Ambasady PRL w Waszyngtonie) opisywał – na podstawie amerykańskiej prasy – przygotowania FBI. Informował on, że jej głównymi celami jest z jednej strony zabezpieczenie uczestników igrzysk olimpijskich przed ewentualnymi zamachami terrorystycznymi, a z drugiej Stanów Zjednoczonych przed oczekiwaną „wzmożoną

eprasa.pl f8bc18ad72

działalnością wywiadowczą ze strony k[rajów] s[ocjalistycznych]".

Co ciekawe, informacje na temat zamierzeń władz amerykańskich zdobywano nie tylko na terenie Stanów Zjednoczonych, lecz także w innych państwach, m.in. w Danii. To właśnie ze stolicy tego kraju „Eksa" (Edward Białkowski, oficer operacyjny rezydentury w tym mieście, a oficjalnie III sekretarz Ambasady PRL w Kopenhadze) przekazywał informację, że „główny atak ma być skierowany przeciwko ekipie ZSRS i Polski", a także inną kuriozalną, o ile prawdziwą, świadczącą wręcz o psychozie, iż w ocenie Amerykanów, „co trzeci reprezentant z k[rajów] s[ocjalistycznych] jest tajnym współpracownikiem służby bezpieczeństwa kraju swego pochodzenia".

Pilnie śledzono również przygotowania do igrzysk emigrantów z krajów Europy Wschodniej. I tak np. w lutym 1984 r. „Rymer" informował, że obejmują one m.in. szeroką kampanię propagandową pod hasłami obrony praw człowieka czy też skierowaną przeciwko „»agresji radzieckiej« w świecie". A także, iż w jej ramach planowane są pikiety miejsc zakwaterowania ekip z państw socjalistycznych. Z kolei sami uczestnicy i obserwatorzy igrzysk mieli być zachęcani do ucieczki na Zachód, m.in. za pomocą wystawianych w głównych miejscach Los Angeles wielkich tablic informacyjnych w różnych językach. Ponadto dla potencjalnych uciekinierów miały być organizowane całodobowe „gorące linie", a także tzw. bezpieczne domy.

Podobne dane przekazywał dwa miesiące później z Chicago „Spaski" (Romuald Deryło, rezydent wywiadu w tym mieście, a oficjalnie konsul w Konsulacie Generalnym PRL w Chicago). Informował on ponadto o możliwości wykorzystania podczas zawodów sportowych rozgrywanych na otwartym powietrzu tzw. transparentów powietrznych z wrogimi hasłami politycznymi i wezwaniami do ucieczki.

W tym samym czasie „Mack" (Ryszard Krystosik, oficer operacyjny, „pod przykryciem" zastępcy stałego przedstawiciela PRL przy Organizacji Narodów Zjednoczonych w Stałym Przedstawicielstwie PRL przy ONZ w Waszyngtonie) informował – na podstawie artykułu w „Washington Post" – o spotkaniu przedstawicieli 14 „antyradzieckich ugrupowań" (m.in. Kongresu Polonii Amerykańskiej i Społeczno-Politycznej Organizacji POMOST) należących do organizacji Ban the Soviet Coalition opowiadającej się przeciwko udziałowi Związku Sowieckiego w igrzyskach olimpijskich i planujących działania antysowieckie w ich trakcie.

Funkcjonariusze wydziałów III WUSW mieli również odnotowywać ewentualne przypadki utrzymywania przez członków ekipy olimpijskiej „kontaktów pozasportowych z osobami z zagranicy"

Z kolei „Ziemowit" (Wiesław Bednarz, oficer operacyjny rezydentury w Waszyngtonie, a oficjalnie III sekretarz Ambasady PRL w Waszyngtonie) informował o staraniach POMOST-u o zatwierdzenie członków tej organizacji, a także Kongresu Polonii Amerykańskiej „do pełnienia funkcji pomocniczych możliwie blisko kwatery polskiej drużyny" w celu dotarcia do każdego polskiego sportowca, a także o rozmowach z Wojciechem Fibakiem w celu namówienia go do współpracy „przy nakłanianiu do pozostania w USA zawodnika (lub zawodniczki), który uzyska złoty medal lub stanie się znany z innych powodów".

POLITYKA NA PODIUM

Obserwowano również reakcje na wycofanie się z udziału w igrzyskach olimpijskich najpierw Związku Sowieckiego, a potem kolejnych państw socjalistycznych. Przytaczano m.in. opinię, że jedyną reakcją prezydenta Reagana będzie „zaostrzenie kursu antyradzieckiego i antykomunistycznego oraz szukanie na tym odcinku spektakularnego sukcesu". I stwierdzano, że „nie wyklucza się awantury USA" w centralnej Ameryce lub w innych krajach. Jeszcze przed decyzjami innych państw „demokracji ludowej" o bojkocie olimpiady w Los Angeles przytaczano – całkiem słuszne – opinie, że jeśli Moskwa nie zmieni swojej decyzji, to kraje te „nie będą miały innego wyjścia".

Z Nowego Jorku „Miwa" (Waldemar Lipka-Chudzik, oficer operacyjny rezydentury w Nowym Jorku, działający „pod przykryciem" konsula w Konsulacie Generalnym PRL w Nowym Jorku) informował o planach POMOST-u w związku z przewidywaną rezygnacją Polski z udziału w igrzyskach. Według niego działacze tej organizacji zamierzali wystąpić od organizatorów o zgodę na udział w defiladzie ekip narodowych w dniu otwarcia olimpiady „z flagami narodowymi oraz antykrajowymi hasłami". Z kolei „Patex" (Leszek Lampart – oficer operacyjny rezydentury w Nowym Jorku, a oficjalnie wicekonsul w Konsulacie Generalnym PRL w Nowym Jorku) prognozował stanowisko Polonii amerykańskiej wobec spodziewanego ze strony władz PRL (formalnie Polskiego Komitetu Olimpijskiego, de facto Biura Politycznego KC PZPR) bojkotu. Według niego taka decyzja miała pogłębić „niechęć Polonii do ustroju i oficjalnych kontaktów z władzami polskimi", które będą traktowane jako „zło konieczne", oraz spowodować „duże zwiększenie pomocy Polonii dla podziemia w kraju".

Decyzja ta miała również wzmocnić „tendencję do selektywnego i ostrożnego podchodzenia do wszelkich inicjatyw wychodzących z kraju i uważnego badania, na ile mają one »narodowy«, a na ile »blokowy« charakter". Nie omieszkano również przytoczyć („Rems", czyli Zygmunt Orłowski – oficjalnie radca i kierownik Wydziału Prasowego Ambasady PRL w Belgradzie) informacji o dużym zadowoleniu w Stanach Zjednoczonych z powodu potwierdzenia udziału w zmaganiach olimpijskich sportowców z Rumunii. Postawę władz tego kraju uznano za „poważną porażkę ZSRS i k[rajów] s[ocjalistycznych]". Sportowcom z innych państw „demokracji ludowej" – w tym niestety polskim – przyszło czekać na kolejne zmagania olimpijskie w Seulu w 1988 r. Dla wielu z nich było to przekreślenie lat przygotowań i szans na udany występ. Ale po raz kolejny – nie ostatni zresztą – sport przegrał z polityką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

O POLSKICH SPORTOWCACH NA IGRZYSKACH OLIMPIJSKICH W 2024 R. CZYTAJ NA STRONIE 72

eprasa.pl f8bc18ad72

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Język obcy? Polski

Dziś już bardzo niewielu jest świadków historii, który pamiętają pierwszą epokę Polski Ludowej (1944–1956), gdy kształtowały się podwaliny nowego ustroju i nowego państwa, którego spuściznę mamy do dziś.

„Bijącym sercem partii" komunistycznej stał się wówczas aparat bezpieczeństwa (który, o czym należy pamiętać, był szeroko rozgałęziony, w jego skład wchodziła bowiem nie tylko bezpieka, czyli Urzędy Bezpieczeństwa). Najważniejszymi zagadnieniami dla „władzy ludowej" były dobór odpowiednich kadr, zapewniających jego sprawne działanie, oraz odpowiedni poziom lojalności. Dlatego składały się one z kilku podstawowych nurtów. Pierwszym z nich byli przedwojenni funkcjonariusze Komunistycznej Partii Polski (KPP) i jej organizacyjnych odnóg. Przeszli oni odpowiednie szkolenia w Związku Sowieckim już przed wojną lub podczas jej trwania i nimi obsadzono najważniejsze stanowiska. Drugim byli wyróżnieni działacze PPR i GL-AL, sprawdzeni w walce „z reakcją", czyli z AK i NSZ. Trzeci nurt to dopływ elementu nowego, bo aparat szybko się rozrastał i trzeba go było dopełniać natychmiast.

Już Lenin (a następnie Stalin) uczył nowych władców Polski Ludowej, że „kadry decydują o wszystkim". Najpierw były dość masowe przyjęcia, a następnie coraz dokładniejsze sprawdzanie. Podstawą był lumpenproletariat, który sprawdził się u zarania rewolucji bolszewickiej. Okazał się najbardziej lojalną i oddaną siłą. Lump zawdzięczał bowiem partii (i aparatowi) wszystko, jak też wszystko miał do stracenia. To skłaniało go do całkowitej lojalności.

Sprawa kadr, analiza polityczna i socjologiczna tego towarzystwa nigdy nie zostały poddane pogłębionym badaniom, opartym m.in. na ich teczkach osobowych, życiorysach, nagrodach i karach regulaminowych. Dlatego cały czas tak mało o nich wiemy. A wątki są bardzo ciekawe, niekiedy wprost wstrząsające. Oto np. przyjęty do resortu osobnik ma adnotację, że jest niepełnosprawny umysłowo, i ten dokument zawiera wskazanie – nadaje się do brygad realizacyjnych. Co to były za komórki? Czym się zajmowały? To wynikało z samej enigmatycznej nazwy, ale w formalnej strukturze przecież nie istniały. Inny otrzymał opinię, że wprawdzie czytać i pisać nie bardzo umie, ale „na reakcji zna się jak mało kto". Co robił? Czym się zajmował? Tego się już zapewne nie dowiemy.

Są też i takie kwiatki, jak zawartość poszczególnych rubryk w ankietach personalnych. Jednym z punktów była „znajomość języków obcych". To też trzeba było wypełnić. Towarzysz zatem podał szczerze: „język polski"... ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kardynał Oleśnicki

Gdyby królowa Jadwiga żyła dłużej i miała z Jagiełłą syna, zapewne Polska byłaby monarchią dziedziczną, gdzie władcy następują po sobie na mocy powiązań rodzinnych. Niestety, od czasów Kazimierza Wielkiego za każdym razem pojawiały się problemy, które kończyły się targami z rycerstwem i możnymi. W efekcie polska korona stała się obieralna.

Śmierć Jagiełły spowodowała powrót do sytuacji z czasów początków rządów Jadwigi. Tym razem na tronie zasiadł 10-letni Władysław zwany później Warneńczykiem (koronacja 25 lipca 1434 r.), który osobiście nie mógł sprawować władzy. Jeżeli jednak pół wieku wcześniej udało się niemal bez zgrzytów sprawować regencję, to teraz poszło znacznie gorzej.

Wdowę po Jagielle, królową Sonkę, po śmierci męża interesowała tylko władza i miała nadzieję, że jako matka młodocianego króla zdobędzie decydujący wpływ na jego decyzje. Popierali ją członkowie jej rodu, potężni magnaci litewscy.

Sonka trafiła jednak na groźnego przeciwnika, ambitnego biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego. Można jednak podejrzewać, że ten dostojnik urodził się w niewłaściwej epoce. Dwieście lat wcześniej zapewne czułby się znacznie lepiej, gdyż w czasach rozbicia dzielnicowego zostałby najważniejszą osobą w Polsce; osadzałby i obalałby poszczególnych książąt piastowskich. Ale nawet w epoce Jagiellonów zdobył wpływy, których nie miał nigdy wcześniej ani później żaden polski dostojnik kościelny.

Celem Oleśnickiego było zdobycie realnej władzy, początkowo jako regent, a potem doradca króla. Wiedział również, że potrzebne mu jest zaplecze finansowe, dbał zatem o dochody swojej diecezji. Pożyczył skarbowi Królestwa Polskiego znaczną kwotę pod zastaw miast na Spiszu, a potem nabył dla biskupów krakowskich księstwo siewierskie na Górnym Śląsku.

Biskupowi można było wiele zarzucić, ale ten człowiek był jednak szczerym Polakiem i patriotą. Interpretował jednak dobro kraju inaczej niż Jagiełło i jego następcy, chciał stworzyć z Polski przedmurze chrześcijaństwa, uważając, że dzięki temu nasz kraj stanie się jednym z najważniejszych państw w Europie.

Chociaż kardynał (uzyskał ten tytuł jako pierwszy Polak w 1441 r.) nie ma specjalnie dobrej opinii u historyków, to ma jednak jedną zasługę, której nie można pominąć. Był bowiem protektorem Jana Długosza, pierwszego polskiego historyka. Bez jego dzieła nasza wiedza o pierwszych wiekach istnienia państwa polskiego byłaby o wiele uboższa. A już o czasach Jagiełły i jego następców wiedzielibyśmy niewiele, co w zupełności wystarcza, aby rozgrzeszyć kard. Oleśnickiego. ©℗

eprasa.pl f8bc18ad72

Kto się boi Trumpa?

Obraz Trumpa z krwią na twarzy i pięścią w górze nie tylko zapisze się w historii, lecz także może ułatwić mu zwycięstwo w listopadowych wyborach

FOT. X.COM/DONALDTNEWS

Jacek Przybylski

Promocja konserwatywnych wartości, walka z wokeizmem, wielopoziomowe NATO, zatrzymanie inwazji nielegalnych migrantów, podwyższenie ceł na towary z Chin, walka z bezsensami polityki klimatycznej, gospodarcza trumponomika i doktryna Monroego w polityce zagranicznej – to tylko niektóre elementy, które przysparzają wielu wrogów kandydatowi republikanów na nowego gospodarza Białego Domu

Walcz! Walcz! Walcz!" – zakrzyknął 78-letni Donald Trump po tym, jak dzięki boskiej opatrzności zdołał uniknąć śmierci z rąk zamachowca podczas wiecu wyborczego w Pensylwanii. Europejscy liberałowie byłego prezydenta USA i od ubiegłego tygodnia formalnego kandydata Partii Republikańskiej w tegorocznym wyścigu do Białego Domu boją się tak bardzo, że media zamiast o zamachu próbowały pisać o „incydencie". Nie brakowało nawet sugestii, że to była tylko „ustawka" (lewicowi aktywiści kolejny raz udowodnili w ten sposób, że Einstein miał rację, mówiąc, że „jedynie dwie rzeczy są ewentualnie nieskończone – Wszechświat i ludzka głupota"). I chociaż politycy grzecznie potępili przemoc, to większość w Parlamencie Europejskim odrzuciła pomysł wydania rezolucji potępiającej próby zamachu na Donalda Trumpa.

STRACH GWARANCJĄ POKOJU

Podczas debaty, która obnażyła słabość prezydenta Joe Bidena, widzowie zobaczyli na żywo, czego naprawdę powinni się bać mieszkańcy USA i sojusznicy. Czy zagubiony niedołężny staruszek będzie w stanie przez kolejne cztery lata stać na czele zachodnich sił? Oczywiście, że nie.

Niezależnie od tego, kto zastąpi Bidena jako kandydata Partii Demokratycznej – taka decyzja musiała już zapaść, ale do czasu zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" nie została jeszcze ogłoszona – nie będzie to raczej polityk, który potrafi szybko zbudować markę „nieobliczalnego twardziela". Tymczasem Donald Trump nie tylko kreuje się na odważnego przywódcę, lecz także świetnie potrafi wykorzystać to, że wielu się go boi. – Viktor Orbán powiedział, że Rosja się mnie bała, Chiny się mnie bały, wszyscy się mnie bali i dlatego cały świat żył w pokoju – mówił Trump podczas republikańskiej konwencji wyborczej w Milwaukee. Wcześniej wielokrotnie podkreślał, że gdyby to on był prezydentem, to Władimir Putin nigdy nie odważyłby się dokonać pełnoskalowej inwazji na Ukrainę. Przekonywał także, że gdyby to on zasiadał w Białym Domu, to przywódcy Hamasu również baliby się dokonać ataku na Izrael. To oczywiście tezy, których nie sposób zweryfikować. Biorąc pod uwagę strach światowych liderów przed „nieprzewidywalnością" Trumpa podczas jego pierwszej kadencji, argumenty te brzmią jednak bardzo prawdopodobnie.

eprasa.pl f8bc18ad72

Były prezydent i oficjalny już kandydat Partii Republikańskiej w tegorocznych wyborach wielokrotnie przekonywał, że wojnę rosyjsko-ukraińską zakończy w ciągu pierwszych 24 godzin swojego urzędowania. Nie zdradził, jak zamierza tego dokonać. Plany Donalda Trumpa zdradził jednak jego główny sojusznik na Starym Kontynencie. Węgierski premier Viktor Orbán, który wielokrotnie rozmawiał z kandydatem republikanów, przekonuje, że jeśli Trump wygra listopadowe wybory prezydenckie, to błyskawicznie zażąda od ukraińskich władz, aby rozpoczęły rozmowy pokojowe z Rosją, sam wyrażając gotowość do działania w charakterze mediatora. Według Orbána Trump ma już gotowe szczegółowe plany w tym zakresie.

Plany te nie są publicznie dostępne. Z wypowiedzi kandydata na nowego przywódcę Ameryki wynika jednak jednoznacznie, że zamierza on znacząco obniżyć wydatki na pomoc wojskową dla walczącej Ukrainy i zażądać od Europy, aby wzięła na siebie dużo większy ciężar niż dotychczas. Wprawdzie już teraz w przeliczeniu na PKB państwa europejskie niosą Ukrainie pomoc na poziomie wyższym niż USA, ale prawdą jest, że od początku pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę Unia Europejska przekazała w ramach pomocy gospodarczej, humanitarnej i wojskowej 88 mld euro, a Stany Zjednoczone 175 mld dol. (równowartość 160,7 mld euro).

Z planu opublikowanego pod koniec czerwca obecnego roku przez czołowych doradców do spraw bezpieczeństwa byłego prezydenta – Keitha Kellogga i Freda Fleitza – wynika, że Donald Trump miałby zmusić władze w Kijowie do rozmów pokojowych, uzależniając od ich rozpoczęcia dalszą pomoc wojskową dla walczącego kraju. Jak zamierza skłonić do negocjacji Rosjan? Bardzo prosto: ma dać znać Putinowi, że jeśli ten nie zgodzi się na rozmowy z Ukrainą, to Ameryka nie tylko utrzyma, lecz także wręcz zwiększy pomoc dla władz w Kijowie, dając im „wszystko, czego potrzebują, by zabijać Rosjan na polu walki". Zdaniem Fleitza zgodnie z założeniami tego planu Ukraina wcale nie musiałaby formalnie zrzekać się terytorium na rzecz Rosji. Doradca Trumpa zauważył jednak, że widzi małe szanse na to, aby w krótkiej perspektywie Ukraińcy byli w stanie odzyskać kontrolę nad całym swym terytorium.

Prawdopodobnie Trump zaproponuje więc Ukrainie, że w zamian za zgodę na zawieszenie broni, uwzględniające obecną linię frontu, doprowadzi do trwałego pokoju, znacząco zwiększając militarne zdolności Kijowa. Dalszemu wsparciu dla władz w Kijowie miałyby towarzyszyć rozmowy dyplomatyczne z Moskwą. Donald Trump jest otwarty na pomysł, aby wykluczyć rozszerzenie NATO o Ukrainę i Gruzję oraz wydać zgodę na to, by nie upierać się przy powrocie do granic Ukrainy z 1991 r. – napisał na początku lipca portal Politico, cytując anonimowych urzędników „zaznajomionych z myśleniem w kręgach najbliższych współpracowników Trumpa". Wcześniej anonimowi informatorzy dziennika „Washington Post" mówili podobnie, sugerując, że jeśli obecny kandydat Partii Republikańskiej wygra listopadowe wybory, to będzie naciskał na Kijów, aby zgodził się na oddanie Rosji Krymu i Donbasu.

Jednocześnie podczas pierwszej debaty telewizyjnej Donald Trump odrzucił zaproponowane przez Władimira Putina warunki potencjalnego zawieszenia broni, które poza rezygnacją Ukrainy z dążenia do przystąpienia do NATO miały zakładać również całkowite wycofanie się z czterech regionów Ukrainy oraz Krymu, które Rosja formalnie nielegalnie zaanektowała, ale których nie zdołała jeszcze w całości podbić. Z jednoznacznych zapowiedzi dotyczących konieczności zmniejszenia lub wręcz wstrzymania amerykańskiej pomocy wojskowej dla Ukrainy znany jest również James David Vance, który w ubiegłym tygodniu otrzymał oficjalną nominację na kandydata na wiceprezydenta USA. Wprawdzie w kwestii doświadczenia w sprawach zagranicznych wymienić on może tylko służbę wojskową w Korpusie Piechoty Morskiej podczas inwazji na Irak, ale bardzo jasno stwierdza, że Ameryka nie da rady już dłużej pełnić roli światowego żandarma.

RADYKALNE ZMIANY W NATO?

Wielu liberalnych polityków na Starym Kontynencie mocno się obawia, że po listopadowym zwycięstwie Donalda Trumpa oraz J.D. Vance'a Waszyngton będzie chciał znacząco ograniczyć amerykański parasol ochronny nad sprzymierzonymi z USA krajami w Europie. Rzeczywiście oficjalny już kandydat Partii Republikańskiej na prezydenta w roku 2024 wielokrotnie groził, że ciężar wynikający z gwarancji bezpieczeństwa NATO nie może spoczywać jedynie na amerykańskich podatnikach. Wydaje się jednak bardzo mało prawdopodobne, aby podczas jego drugiej kadencji doszło do rozpadu 75-letniego sojuszu.

Realna wydaje się już jednak zmiana podejścia Waszyngtonu do kwestii ochrony sojuszników, czyli coś, co cytowany przez „Politico" Dan Caldwell opisał jako „radykalną reorientację" NATO. „Tak naprawdę nie mamy już wyboru" – powiedział magazynowi „The Politico" Caldwell, wskazując na rosnące zadłużenie USA, słabnącą rekrutację do wojska oraz słabe możliwości amerykańskiego przemysłu obronnego, który już teraz nie jest w stanie sprostać wyzwaniom ze strony Rosji i Chin. Właśnie Chiny kandydat na wiceprezydenta uważa za największe zagrożenie dla amerykańskiego bezpieczeństwa, a także dla amerykańskich interesów gospodarczych.

J.D. Vance podobnie jak Trump krytykował europejskich sojuszników, w tym zwłaszcza Niemcy, za niewypełnienie sojuszniczych zobowiązań i wydawanie na zbrojenia mniej niż 2 proc. PKB rocznie. Amerykańska administracja pod kierunkiem Trumpa i Vance'a będzie więc prawdopodobnie bardziej skłonna do prowadzenia transakcyjnej polityki względem sojuszników USA (zarówno europejskiej, jak i np. Tajwanu). Strach wśród sojuszników od lat „jadących na gapę" w NATO-wskim pociągu opancerzonym wzbudziła zwłaszcza propozycja, którą ogłosił w lutym obecnego roku były wysokiej rangi urzędnik emerytowany, a obecnie jeden z doradców Trumpa, generał broni Keith Kellogg. Zaproponował on „wielopoziomowy system NATO", co niektórzy tłumaczą jako „NATO różnych prędkości", choć w tym przypadku chodzi bardziej o różne rodzaje ochronnych parasoli. Otóż zgodnie z założeniami przedstawionymi przez Kellogga, jeśli członek sojuszu składającego się z 31 krajów nie wyda co najmniej 2 proc. PKB na obronność, to utraci ochronę wynikającą z art. 5 traktatu północnoatlantyckiego. „Tam, skąd pochodzę, sojusze mają znaczenie. Jednak jeśli masz zamiar być częścią sojuszu, to wnieś do niego swój wkład, bądź częścią sojuszu" – tłumaczył Kellogg, który był także doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego byłego wiceprezydenta Mike'a Pence'a. Gdyby ta propozycja została zrealizowana, to w 2023 r. aż 19 krajów mogłoby w razie militarnej napaści spotkać się z odmową

eprasa.pl f8bc18ad72

pomocy ze strony Waszyngtonu. A bez zaangażowania Ameryki z pomocą dla ofiary agresji mogłyby nie chcieć spieszyć inne europejskie kraje.

Po swojemu, czyli radykalnie brzmiącym językiem, założenia tej zmiany przedstawił podczas kampanii sam Donald Trump, relacjonując podczas wiecu w Karolinie Południowej rzekomą rozmowę z jednym z szefów należącego do NATO kraju. – Jeden z prezydentów dużego kraju zapytał mnie: „Proszę pana, czy jeśli nie zapłacimy i zostaniemy zaatakowani przez Rosję, to czy będzie pan nas chronił?". Odpowiedziałem: „Nie, nie będę was chronił. Właściwie zachęcałbym ich [Rosję], żeby zrobili z wami, co chcą. Musisz zapłacić" – oznajmił Trump, ściągając na siebie gromy ze strony Joe Bidena, liderów Partii Demokratycznej i wielu polityków europejskich. W tym przypadku strach przed Trumpem jest wyjątkowo mało racjonalny. W najtrudniejszej od kilku dekad sytuacji geopolitycznej nie ma żadnego powodu kwestionowania respektowania fundamentalnego wymogu, na który wszystkie państwa członkowskie zgodziły się już w roku 2014 i który ma służyć zwiększaniu zdolności obronnych całego sojuszu. A skoro kraje takie jak Polska mogą na obronność wydawać ok. 4 proc. PKB, to większe państwa też powinny.

Zresztą chociaż groźnie brzmiące zapowiedzi Trumpa to raczej tylko element kampanii wyborczej (w Polsce wiemy, że poglądy polityków po wyborach często mocno ewoluują), to już spełniają swoją rolę: w tym roku na liście sojuszników, którzy realizują podstawowe zobowiązania, mają się znaleźć już 23 kraje na 31 państw członkowskich. Pierwszy raz od trzech dekad również Niemcy przedstawiły plany zwiększenia wydatków na obronność do poziomu 2 proc. PKB. Paradoksalnie, ogłaszając, że USA nie mogą wciąż wnosić do NATO dziesięciokrotnie więcej niż Niemcy, Trump i jego doradcy jak mało kto w ostatniej dekadzie przyczynili się więc do wzmocnienia obronności Europy. Zapewne w kategorii przedwyborczej retoryki należy też odczytywać postulat, aby Tajwan płacił USA za obronę, bo amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa „nie różnią się od polisy ubezpieczeniowej".

ZATRZYMANIE „INWAZJI"

Wygranej republikanów w wyścigu do Białego Domu mogą obawiać się nielegalni imigranci, władze Meksyku, a także wszyscy ci, którzy czerpią korzyści z taniej siły roboczej świadczonej przez miliony nielegalnych przybyszy. Zarówno Trump, jak i Vance są bowiem zdecydowanymi zwolennikami uszczelnienia granicy meksykańsko-amerykańskiej oraz rozbudowy muru granicznego. Masowe deportacje mogłyby zatrząść rynkiem pracy w USA (pod warunkiem że zgodę na nie podtrzymywałyby sądy).

Zwycięstwa kandydata republikanów mocno bać się mogą również władze w Teheranie. Jak bowiem poinformował CNN, amerykańskie służby zdobyły informacje o planowanym przez Iran zamachu na Trumpa – miałby to być odwet za zlikwidowanie przez USA dowódcy sił specjalnych Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, gen. Sulejmaniego. I choć Iran zaprzeczył krwawym planom, jeśli Trump znajdzie się w Białym Domu, to grono Irańczyków, którzy będą bać się patrzeć w niebo, może się nagle znacząco powiększyć.

MONROE I TRUMPONOMIKA

Po próbie zamachu na Donalda Trumpa światowi inwestorzy uznali, że rośnie szansa na jego wygraną w wyborach. W efekcie o kilkadziesiąt procent wzrosła wycena jego spółki Media & Technology Group, a także bitcoina (który przebił barierę 60 tys. dol.) oraz memecoinów dedykowanych temu politykowi (jak MAGA, SUPER TRUMP, TREMP czy STRUMP).

Wiemy, kto zarobił. A kto może się bać zwycięstwa republikanów w wyścigu do Białego Domu? Trump zapowiada, że zrobi porządek ze szkodliwą polityką klimatyczną Bidena, to zaś może oznaczać, że skończą się zachęty podatkowe dla firm działających w sektorze OZE. Obawiać się mogą również żacy studiujący na kredyt (Trump chce zrezygnować z programu umorzeń studenckich długów) oraz ci, którzy obecnie odnoszą korzyści z nadmiernych regulacji w różnych sektorach. Deregulacja to bowiem kolejny raz hasło klucz dla obozu republikanów (choć podczas pierwszej kadencji Trumpa więcej było o tym słów niż konkretów).

A to dopiero początek strachów. Część inwestorów wieszczy również, że „Trump trade" doprowadzi do wyższej inflacji i konieczności podniesienia stóp procentowych. Dlaczego? Para Trump-Vance to zapowiedź protekcjonizmu i izolacjonistycznej polityki gospodarczej Stanów Zjednoczonych, która – zgodnie z założeniami programu „America First" – polegać będzie zapewne na nakładaniu ceł na import zarówno z Chin, jak i m.in. z krajów Unii Europejskiej. Celem takiej polityki ma być promowanie produkcji „Made in USA" i tworzenia miejsc pracy na terenie USA. Wprowadzenie wysokich ceł istotnie zwiększyłyby koszty importu, obniżki podatków napędziłyby krajową gospodarkę, a masowe deportacje nielegalnych imigrantów doprowadziłyby do podwyżek płac. Taka kumulacja mogłaby rzeczywiście wywindować inflację, z którą Fed walczyłby, podnosząc stopy procentowe. Większość strachów tego typu rozwiewa jednak analiza „The Economist", której autor stwierdza wprost: „Trumponomika nie byłaby wcale tak zła, jak większość się spodziewa".

PANIKA WŚRÓD WOKEISTÓW

W Stanach Zjednoczonych powrotu Donalda Trumpa do władzy jak ognia boją się wyborcy oraz reprezentanci Partii Demokratycznej. Już w kwietniu 70 proc. demokratów twierdziło, że słowa „zły" lub „przerażony" najtrafniej opisywałyby ich emocje po zwycięstwie Trumpa. Teraz strach może być jeszcze większy, bo wiele wskazuje na to, że zarządzone przez tych polityków „polowanie na czarownicę" nie przyniesie oczekiwanego rezultatu. W ubiegłym tygodniu sąd w niemal stustronicowym orzeczeniu oddalił zarzuty wobec Donalda Trumpa w sprawie o przetrzymywanie przez byłego prezydenta USA tajnych dokumentów po zakończeniu urzędowania w swojej posiadłości Mar-a-Lago w Palm Beach. „Zjednoczmy się, aby zakończyć wszelkie wykorzystywanie naszego systemu sprawiedliwości" – napisał na swojej platformie społecznościowej były prezydent, mając nadzieję, że również pozwy w pozostałych sprawach karnych toczących się przeciwko niemu zostaną oddalone.

Zwycięstwa Trumpa i Vance'a mogą się też bać lewicowi aktywiści. Vance jest zagorzałym przeciwnikiem liberalizacji prawa aborcyjnego. Chce też promocji dzietności, przywołując przykład Węgier, gdzie młodzi małżonkowie mogą liczyć m.in. na umorzenia kredytów, jeśli wytrwają w małżeństwie i będą mieli dzieci. Należy się więc spodziewać, że demokraci coraz częściej stosować będą argumenty, że Trump to „zagrożenie dla demokracji", a gdy wygra, to wprowadzi dyktaturę. Czym innym straszyć?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f8bc18ad72

FOT. NYC MAYOR'S OFFICE FACEBOOK

NOWY JORK ODKRYŁ KOSZE NA ŚMIECI

Jest lipiec roku 2024. Administracja Nowego Jorku oficjalnie przedstawiła mieszkańcom pojemniki na śmieci zmieszane i takie do recyklingu, które „będą współpracować z miejską flotą pojazdów sanitarnych". Kosz na konferencję z mediami przyciągnął sam burmistrz miasta Eric Adam. Wiadomość podały wszystkie największe serwisy w kraju. Mówiąc zupełnie prościej, burmistrz Nowego Jorku pokazał mieszkańcom zwykły kosz na śmieci, który w Europie jest oczywistością. Jednak za oceanem w tym mieście do tej pory mieszkańcy głównie wyrzucają śmieci w workach, które potem rozrywają koty i szczury, szukając łatwego pożywienia.

PUTIN CZY ZEŁENSKI? DYLEMAT BIDENA

Nie ma dobrej passy prezydent USA. Po tym, jak na debacie miał trudność ze zrozumieniem, o czym jest mowa, i czasem odpowiadał w sposób zaskakujący, popełnił jeszcze większą gafę. Na szczycie NATO przedstawił prezydenta Ukrainy jako „prezydenta Putina". Potem się tłumaczył, że jest tak skupiony na pokonaniu prezydenta Rosji, iż z tego wynikło jego przejęzyczenie.

PORT LOTNICZY BUNGA BUNGA?

We Włoszech afera. Lotnisko Malpensa koło Mediolanu będzie miało nową nazwę. Urząd Lotnictwa Cywilnego zdecydował, że port lotniczy będzie nosił imię byłego premiera – Silvia Berlusconiego. To się sporej części Włochów nie spodobało. Bo Berlusconi oprócz paru wyroków na koncie miał m.in. aferę dotyczącą zabaw z kobietami, a na spotkaniach tych odbywał się rytuał określany jako „bunga bunga", podczas którego rozbierające się tancerki rywalizowały o względy polityka. Petycję przeciw nadaniu imienia Berlusconiego lotnisku podpisało już ponad 35 tys. osób.

TRZY KUBKI W WENECJI

Legendarny chwyt oszustów z polskich giełd samochodowych po 30 latach dotarł do Włoch. Mundurowi w Wenecji rozdają ulotki, w których przestrzegają turystów przed „grą w trzy kubki". W ubiegłym roku pieniądze w ten sposób straciło 17 turystów (a to tylko ci, którzy zgłosili sprawę policji), a w tym sezonie wakacyjnym dało się na to nabrać już 115 osób.

STO WĘŻY W KIESZENI

Chińscy celnicy kontrolujący mężczyznę wjeżdżającego z Hongkongu do Shenzen znaleźli przy nim żywe zwierzęta. Przemytnik miał w kieszeniach spodni sześć toreb, a w każdej znajdowały się węże różnych gatunków i rozmiarów. Z oświadczenia służb celnych wynika, że skonfiskowano w sumie 104 gady. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Mieszkania w Polsce za 1 zł?

Domy za jedno euro we Włoszech, mieszkania w USA za jednego dolara czy działki budowlane w Szwecji sprzedawane za symboliczną koronę. Tak niskie ceny rozpalają zarówno klawiatury dziennikarzy, jak i wyobraźnię inwestorów. Czy w przyszłości podobne akcje będą organizowane również w Polsce?

Mimo ogromnej dynamiki wzrostu cen nieruchomości nad Wisłą, którą obserwujemy w ostatnich latach, nie jest to wcale takie nieprawdopodobne. W niewielkich wyludnionych miasteczkach takie akcje promocyjne na opuszczone i zaniedbane nieruchomości można sobie wyobrazić już za 10–20 lat.

Od lat borykamy się bowiem w Polsce z poważnym problemem demograficznym. I według najnowszych danych tenże problem z poważnego stał się wręcz dramatycznie poważny.

Opublikowana w lipcu projekcja ONZ pokazuje, że Polacy jako społeczeństwo będą szybko stawali się coraz starsi, co bardzo mocno obciąży służbę zdrowia. Ma nas być też mniej. O wiele mniej. Niewielka dzietność już sprawia, że na koniec 2023 r. w Polsce żyło tylko 37, 367 mln osób, czyli o 130 tys. mniej niż na koniec roku 2022. Według najnowszej prognozy ONZ „World Population Prospects 2024" populacja Polski w roku 2075 wyniesie 25,69 mln osób, a do końca obecnego stulecia liczba mieszkańców naszego kraju spadnie do zaledwie ok. 19,33–19,43 mln, z czego zaledwie 8 mln będzie w wieku produkcyjnym (18–24 lata).

Eksperci od lat alarmują, że imigracja absolutnie nie jest receptą na rozwiązanie tego problemu. Kiedy zrozumieją to politycy? Pierwsze poważne oznaki depopulacji mają być widoczne już w roku 2030...

eprasa.pl f8bc18ad72

Jeśli Donald Trump zostanie prezydentem USA, to stanowisko wiceprezydenta obejmie senator J.D. Vance z Ohio FOT. HIROSHI TAJIMA/AFP/EAST NEWS

Gwiazda bidoków

Piotr Gociek

J.D. Vance to uosobienie American Dream – od nędzy do pieniędzy, z pogardzanego Pasa Rdzy na szczyty amerykańskiej polityki

Dlaczego trzymasz kciuki za tego Vance'a?" – zapytała znajoma tuż przed rozpoczęciem republikańskiej konwencji w Milwaukee. „Bo jeśli J.D. Vance dostanie nominację, to będzie oznaczało, że amerykański system wciąż działa – mimo narastających w ostatnich dekadach patologii. Co rozumiem przez to, że system działa? Ano to, że ktoś znikąd może zostać kimś.

System działa. American Dream jest możliwy. James David Vance, syn narkomanki i alkoholiczki z Ohio, urodzony w pogardzanym Pasie Rdzy, gdzie od dekad zamiast hut i kopalń rozkwitają przemoc i ubóstwo, za kilka miesięcy może być drugą osobą w najpotężniejszym państwie świata. Żeby było ciekawiej, system działa m.in. dzięki politykowi, który został obwołany największym wrogiem systemu, czyli Trumpowi. To on wsparł Vance'a, gdy ten kandydował w 2022 r. na senatora stanu Ohio i zdobył miejsce w Senacie. To on odpowiadał dziennikarzom, którzy wypominali, że kiedyś Vance był jego ostrym krytykiem, słowami: „Ale teraz już tak nie myśli". To on wreszcie wskazał go jako potencjalnego przyszłego wiceprezydenta. W miniony poniedziałek po południu media społecznościowe obiegła pierwsza protrumpowa reklamówka wyborcza z udziałem młodego senatora oraz zdjęcie, jak odrzutowiec Trump Force One oklejany jest wielkimi literami „VANCE" pod napisem „TRUMP".

Przyszedł na świat w małym mieście Middletown (Ohio), wakacje spędzał u babci w Jackson (Kentucky). „Wszędzie dokoła widziałem najpaskudniejsze oznaki appalaskiej nędzy. Niektóre były tyleż rozdzierające, co sztampowe: walące się, zapuszczone chaty, bezpańskie psy żebrzące o kęs, walające się na podwórzach stare meble" – pisał Vance w autobiograficznym reportażu „Elegia dla bidoków" (2016, polskie wydanie 2018). „Niemal trzecia część ludności miasteczka żyje w ubóstwie, przy czym dotyczy to ok. połowy tamtejszych dzieci. Rozpanoszyła się tu epidemia uzależnień od leków przeciwbólowych na receptę". I tak dalej.

Jak to się stało, że zamiast zmarnieć na ponurej prowincji Vance, stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych

eprasa.pl f8bc18ad72

ludzi w Ameryce? W recenzji jego książki („Do Rzeczy" nr 21/2018) pisałem: „Kluczowy moment to decyzja, by zaciągnąć się do piechoty morskiej. Zrobił to, by zdobyć pieniądze na studia, zyskał dużo więcej. Armia nauczyła go dbać o siebie, pokazała właściwą dietę, jak oszczędzać, jak się edukować, zadbała o pomoc przy wyborze dróg kariery. Dała poczucie przynależności do wspólnoty i wiarę w to, że lepsze życie jest w zasięgu ręki".

Znaczenia edukacji w życiu nauczyła go babcia. Ona też przestrzegała, by zanim zacznie obwiniać innych za swoje nieszczęścia, zawsze zaczynał od zastanowienia się, jak sam może sobie pomóc. Podczas służby w marines trafił na pół roku do Iraku, po zakończeniu służby skończył studia na uniwersytecie stanowym Ohio, a potem prawo w Yale. Przepustką do prestiżowej uczelni okazała się armia. Kolejne lata to kariera prawnicza. Od sądu w Cincinnati, przez prawniczego giganta firmę Sidley Austin (pracowali tam m.in. Barack Obama i jego żona Michelle), do koncernu multimiliardera Petera Thiela (inwestował m.in. w PayPala i był jednym z pierwszych inwestorów w Facebooka).

Jednak to, co najważniejsze, jeśli chodzi o rozpoznawalność i popularność Vance'a, wydarzyło się w roku 2016, kiedy w USA ukazała się wspomniana „Elegia dla bidoków" („The Hillbilly Elegy"). Książka okazała się sensacją, bestsellerem i tytułem wskazywanym jako jedna z publikacji kluczowych dla zrozumienia popularności Donalda Trumpa. A zarazem J.D. Vance został idolem liberalnych mediów (w latach 2016–2017 współpracował nawet z CNN). Powody były proste. Postrzegano go jako głos ludu, ale nie populistę. Vance w swojej książce wskazywał na to, jak system zasiłków zagania jego beneficjentów w pułapkę ubóstwa i bezrobocia, lecz zarazem wystrzegał się politycznych deklaracji. Pisał: „Rozwiązania polityczne mogą tu pomóc, ale żaden rząd nie rozwiąże za nas naszych problemów. Tych problemów nie stworzyły rząd, korporacje ani żadna inna siła. To nasze dzieło i tylko my możemy je rozwiązać". No i wreszcie Vance w owym czasie był zagorzałym krytykiem Trumpa. Żaden ze spin doktorów Partii Demokratycznej lepiej nie mógłby tego wymyślić: oto dziecko Pasa Rdzy, personifikacja biedoty z Appalachów, najtwardszych wyborców Trumpa, nie zostawia na Trumpie suchej nitki.

Z biegiem lat Vance zmienił poglądy. Nie wstydzi się tego, co kiedyś mówił. W wywiadach wprost odpowiada: „Tak wtedy myślałem, ale dziś mam inne zdanie". Jesienią 2016 r. twierdził, że nigdy w życiu nie zagłosuje na Trumpa. Publicznie nazywał go idiotą. Zastanawiał się w liście do przyjaciela, czy kandydat republikanów jest tylko drugim Nixonem czy raczej drugim Hitlerem. Vance zagłosował ostatecznie na kandydata niezależnego, Evana McMulina. Cztery lata później, w roku 2020, oddał głos na Trumpa i tłumaczył, że zmienił zdanie podczas jego kadencji. Trump okazał się, wedle Vance'a, bardzo dobrym prezydentem.

LĘK LIBERALNYCH MEDIÓW

Łączą ich wspólne poglądy na zakaz aborcji i na zaostrzenie polityki imigracyjnej oraz sprzeciw wobec biurokratycznej machiny federalnej. Liberalne media już nie kochają senatora z Ohio, tylko wyzywają go od „skrajnych prawicowców" i populistów. Po ogłoszeniu decyzji Trumpa z obozu Bidena płyną dwa rodzaje sygnałów. Oficjalnie Vance jest krytykowany za radykalizm, nieoficjalnie słyszy się, że wzbudza wielkie obawy, bo jest wyśmienitym mówcą, który doskonale sprawdza się w debatach. Jest więc lęk, że w bezpośrednim pojedynku zmiażdży Kamalę Harris. Inną metodą deprecjonowania Vance'a jest publiczne zastanawianie się, czy nie jest on przypadkiem cynikiem, który wcale Trumpa nie lubi, ale udaje, że zmienił poglądy, że zrobić karierę. Albo dopatrywanie się cynizmu w decyzji Trumpa, który wskazując na Vance'a, nie patrzy na jego poglądy, a chce jedynie wzmocnić swoją pozycję w swing states, gdzie na autora „Elegii dla bidoków" może zagłosować część robotniczego elektoratu Partii Demokratycznej.

Machina przemysłu pogardy ruszyła, więc każdego dnia będziemy teraz czytać o tym, jak straszliwym zagrożeniem dla Ameryki i świata jest J.D. Vance. Oczywiście musi pojawiać się oskarżenie o prorosyjskość, bo senator z Ohio głosował przeciw Bidenowskiej ustawie o wielomiliardowej pomocy militarnej dla Ukrainy. Ale wystarczy wczytać się uważniej w jego wypowiedzi, by odkryć, że Vance nie ma pretensji o to, że Ameryka wysyła broń do Kijowa, lecz o to, że prezydent Biden i jego administracja nie mają planu ani wygrania wojny, ani wygrania pokoju. Te słowa nie powinny dziwić w ustach przedstawiciela politycznej elity kraju, który w minionych dekadach zaangażował się w trzy konflikty, które miały być krótkimi zwycięskimi wojenkami, a okazały się studnią wydatków bez dna (Wietnam, Irak, Afganistan).

Wojny, nawet te prowadzone cudzymi rękami, jak wojna na Ukrainie, muszą prowadzić do jakiegoś celu. Można je finansować, gdy wiadomo, co chce się ostatecznie osiągnąć. Obecnemu prezydentowi tej wizji brak. To nie Vance jest izolacjonistą, lecz Biden politykiem nieskutecznym, który nadrabia swoje niezdecydowanie pohukiwaniem na przeciwników. Jeśli świat naprawdę obawia się, że Putin za chwilę podbije Ukrainę i ruszy na podbój Warszawy oraz Berlina – mówił w jednym z programów telewizyjnych Vance – to czy najbardziej zatroskani o swoje bezpieczeństwo (czytaj: wydawać najwięcej pieniędzy) nie powinni być Niemcy? Dlaczego tylko Ameryka ma wydawać pieniądze bez ograniczenia?

Nie wiem, jak bardzo zorientowany w sprawach polityki europejskiej jest Vance, ale na sytuację w Polsce ma spojrzenie trzeźwe. Gdy w lutym tego roku na portalu X (dawniej Twitter) Donald Tusk krytykował republikańskich polityków za blokowanie pomocy dla Ukrainy, Vance w odpowiedzi wzywał go do powstrzymywania autorytarnych skłonności. Publicznie krytykował rząd Tuska za zamach na niezależność mediów i sądownictwo, a do sekretarza stanu Antony'ego Blinkena napisał list, w którym wzywał administrację Bidena do reakcji na bezprawie w Polsce. Nie ma wątpliwości – jeśli Trump i Vance wygrają, to dla Tuska i Sikorskiego nadejdą trudne czasy.

Kiedy tuż po ogłoszeniu decyzji Trumpa na popularnym koncie „X" The Spectator Index (należącym do Abdul-Latif Halimiego, oskarżanego o bycie tubą fundamentalistów muzułmańskich) pojawiło się oficjalne zdjęcie Vance'a wraz z pytaniem: „Co o nim sądzicie?", odezwał się m.in. równie popularny czarnoskóry pastor z Baltimore. „Wygląda jak rasistowski Troskliwy Miś" – napisał wielebny Melech E.M. Thomas. Rasistowski? Na pewno nie. Troskliwy? Zapewne. Miś? Raczej baribal, bo to najniebezpieczniejszy zwierz z Appalachów. Wygląda ospale, ale jak się rozpędzi…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f8bc18ad72

Legion Schrödingera

Maciej Pieczyński

W Polsce mają się szkolić ukraińscy ochotnicy do walki z Rosją. Chętnych są rzekomo tysiące, choć nie wiadomo nawet, jak do „legionu" wstąpić. Chociaż to Warszawa ponosi ryzyko tworzenia oddziału na swoim terenie, to za rekrutację odpowiada wyłącznie Kijów

FOT. LECH MUSZYŃSKI/PAP

W naszej umowie na temat bezpieczeństwa zawarliśmy zapis dotyczący formowania i przygotowania na terenie Polski legionu ukraińskiego, nowego pododdziału ochotniczego" – obwieścił prezydent Ukrainy podczas wspólnej konferencji prasowej z premierem Polski Donaldem Tuskiem. Powołał się przy tym na „bardzo pozytywne doświadczenia" z brygadą polsko-litewsko-ukraińską. „Na podstawie tych doświadczeń damy możliwość obywatelom Ukrainy, którzy przebywają aktualnie w Polsce, na Litwie, w innych państwach UE, dobrowolnego dołączenia do obrony Ukrainy. Legion ukraiński będzie ćwiczyć w Polsce i zostanie wyposażony przez partnerów" – mówił Wołodymyr Zełenski.

UKRAIŃSKIE WOJSKO NAD WISŁĄ

W tekście podpisanego przez Tuska i Zełenskiego „Polsko-ukraińskiego porozumienia w dziedzinie bezpieczeństwa" (nawiasem pisząc: stawianie przymiotnika przed rzeczownikiem to składnia ukraińska, nie polska; to symboliczne, że taki tekst znalazł się na stronie gov.pl, choć już w samym dokumencie składnia jest polska) nie ma ani słowa o „legionie". Zapisy, które mógł mieć na myśli Zełenski, brzmią następująco: „Polska – na prośbę Ukrainy – będzie zachęcała obywateli ukraińskich do powrotu na Ukrainę w celu podjęcia służby w Siłach Zbrojnych Ukrainy oraz ukraińskich służbach bezpieczeństwa i obrony"; „Uznając potencjał Litewsko-Polsko-Ukraińskiej Brygady we wspieraniu zdolności Sił Zbrojnych Ukrainy, Uczestnicy będą dalej angażować się w proces szkolenia żołnierzy ukraińskich, w szczególności na terytorium Polski, oraz w inne formy współpracy wojskowej w tym formacie". Umowa nie zakłada więc powstania żadnego konkretnego pododdziału. A jednak użyte przez Zełenskiego obrazowe, publicystyczne pojęcie „legionu ukraińskiego" zostało podchwycone przez media po obu stronach granicy. A i urzędnicy zaczęli zdradzać więcej szczegółów, nieuściślonych w umowie.

Szef BBN Jacek Siewiera w wywiadzie dla Associated Press mówił o wspólnym, ukraińsko-natowskim centrum szkoleniowym, które powstanie w Polsce. Jego zadaniem będzie przygotowanie do walki na froncie ukraińskich ochotników mieszkających na Zachodzie. Siewiera zapewniał przy tym, że na tej współpracy zyska nie tylko Kijów. Ukraińcy będą się bowiem dzielić z NATO wiedzą zdobytą na froncie. Na przykład tą dotyczącą wykorzystania dronów cywilnych na polu bitwy. „Legion" ma stacjonować w Bydgoszczy.

Jeszcze więcej konkretów ujawnił szef MSZ Radosław Sikorski. „W Polsce zaczynamy przygotowywać pierwszą ukraińską brygadę złożoną z ochotników. Mamy (w kraju) do miliona Ukraińców obu płci, a kilka tysięcy z nich już się zarejestrowało, żeby wziąć udział w tym przedsięwzięciu" – poinformował szef MSZ podczas Forum Publicznego NATO odbywającego się w ramach szczytu sojuszu w Waszyngtonie.

Według Sikorskiego wielu spośród mieszkających w Polsce i na Zachodzie chce służyć i zmieniać rodaków na froncie, ale z następującym zastrzeżeniem: „Nie chcemy być wysyłani do walki bez odpowiedniego przeszkolenia i wyposażenia". Warszawa zapewni ochotnikom szkolenie i sprzęt, a następnie wyśle ich na Ukrainę z prawem powrotu do Polski w ramach rotacji. Jak zauważył Sikorski, gdyby każdy kraj Zachodu tak zrobił, z ukraińskich uchodźców zebrałoby się kilka brygad. Warto podkreślić, że ochotniczych – na razie nic nie wskazuje na to, by Polska miała zmuszać obywateli ukraińskich do pójścia na front, wyręczając Kijów w procesie mobilizacji.

Zgodnie z zapewnieniami Zełenskiego każdy ochotnik będzie mógł podpisać kontrakt z Siłami Zbrojnymi Ukrainy. Rustem Umierow nazwał utworzenie „Legionu Ukraińskiego" „jednym z najważniejszych postanowień" umowy zawartej między Tuskiem a Zełenskim. Jak widać, nawet minister obrony Ukrainy najwyraźniej nie zapoznał się z dokumentem. Bardziej

eprasa.pl f8bc18ad72

prawdopodobna – rzecz jasna – jest inna opcja. Umowa w wielu punktach brzmi dość „asertywnie" ze strony Warszawy. Jest w niej szczegółowo opisana pomoc, którą dotychczas Ukraina otrzymała od Polski (również za czasów PiS). Natomiast bardzo ostrożnie, dyplomatycznie i niekonkretnie formułowane są obietnice wsparcia w przyszłości. W ten sposób Warszawa może się asekurować: przeciwnicy pomocy Ukrainie nie zyskują dowodu w postaci dokumentu o wymowie nazbyt proukraińskiej, a polskie władze mogą, pod wpływem opinii publicznej, wycofać się z tych deklaracji, które nie padły na piśmie. Stąd też być może ukraińska narracja o „legionie" – Kijów chce, by do powszechnej świadomości przebiło się polskie „zobowiązanie" do utworzenia ukraińskich wojsk nad Wisłą.

Tak czy inaczej, w oficjalnym komunikacie Rustem Umierow wymienił powody, dla których powstanie „legionu" będzie tak ważne dla Kijowa. Po pierwsze, „podwyższenie gotowości bojowej: nasi ochotnicy otrzymają najnowocześniejsze przygotowanie od sojuszników z Polski, Litwy oraz innych państw UE". Po drugie, „międzynarodowe wsparcie oraz wyposażenie: legion będzie wyposażony w najlepszy sprzęt przez naszych partnerów międzynarodowych, co podwyższy jego skuteczność na polu walki". Po trzecie, „Ukraińcy, przebywający w Polsce oraz innych państwach UE, będą mogli dobrowolnie dołączyć do obrony Ukrainy, podpisując kontrakt z SZU". Jak zaznaczył Umierow, ta inicjatywa „demonstruje niezachwiane wsparcie i solidarność ze strony naszych europejskich partnerów, a także ich gotowość do stawania ramię w ramię z Ukrainą". Minister obrony wystosował też apel do swoich rodaków: „Wzywamy wszystkich Ukraińców, którzy przebywają w Europie, aby dołączyli do Legionu Ukraińskiego. Wasz wkład będzie nieoceniony w naszej walce o wolność i niepodległość".

KTO TRAFI DO BYDGOSZCZY?

Informację o tysiącach Ukraińców z Europy, chętnych, by wstąpić w szeregi „legionu", ochoczo cytują media nad Dnieprem. Powołują się jednak w zasadzie wyłącznie na słowa Sikorskiego. Konkretów brak. Maksym Szylin i Iwan Łysiuk z rosyjskojęzycznego portalu VOT TAK!, należącego do telewizji Biełsat, zasadnie zauważyli, że w otwartym dostępie ze świecą szukać informacji o tym, jak trafić do formowanej jakoby brygady. Dziennikarze zwrócili się w tej sprawie do polskiego MON. W odpowiedzi usłyszeli, że rekrutacją ochotników zajmuje się Kijów. „Ukraińscy dyplomaci w Polsce też nic nie wiedzą o tym, na jakich warunkach można wstąpić do legionu" – czytamy.

Według informacji portalu VOT TAK!, uzyskanych w polskich MON i MSZ, Polska będzie zajmować się jedynie wyszkoleniem żołnierzy. „Przygotowanie ukraińskich ochotników będzie realizowane w oparciu o nasze bogate doświadczenie w organizacji tego rodzaju szkoleń żołnierzy SZU w ramach misji wojskowej wsparcia Ukrainy ze strony Unii Europejskiej. Odpowiedzialność za organizację i przebieg rekrutacji leży po stronie naszych ukraińskich partnerów" – taki komunikat dziennikarze portalu otrzymali od MON. Z jednej strony, to zmniejsza odpowiedzialność strony polskiej za proces, który leży w interesie Ukrainy. Z drugiej strony, skoro „legion" ma być formowany na terenie Polski, to Warszawa powinna mieć pod kontrolą cały proces – nie tylko szkolenie, lecz także rekrutację. Powinna mieć wpływ na to, kto zostanie przyjęty do obcych wojsk szkolonych nad Wisłą. W przeciwnym wypadku można będzie mówić o częściowym zrzeczeniu się suwerenności na rzecz Kijowa w sprawie tak newralgicznej, jaką jest bezpieczeństwo państwa.

RYZYKO ROSYJSKIEGO ODWETU

Truizmem jest stwierdzenie, że sam fakt tworzenia ukraińskich sił zbrojnych w Polsce potencjalnie naraża nas na rosyjski odwet. Oczywiście ryzyko nie wydaje się wielkie. Zarówno Ukraina, jak i Zachód po 24 lutego 2022 r. wielokrotnie przekraczały to, co Putin nazywał „czerwonymi liniami", grożąc zdecydowaną odpowiedzią, a w rzeczywistości nie udzielając żadnej odpowiedzi.

Ponadto Moskwa jeszcze ani razu nie zaatakowała w sposób konwencjonalny żadnego państwa NATO. Groźby pod adresem Zachodu pozostają groźbami. Niemniej jednak zawsze jest ryzyko, że w końcu zostaną zrealizowane. Szczególnie że chodzi o ośrodek szkolenia ukraińskiego oddziału, o żołnierzy, których Polacy będą szkolili do walki z Rosją. Po drugie, nawet jeśli atak konwencjonalny jest w tej chwili mało prawdopodobny, to pozostaje dywersja. Tworzenie „legionu" leży w interesie Kijowa, a nie Warszawy. Dlatego Warszawa musi wiedzieć wszystko o tym, co się będzie działo w bazie w Bydgoszczy i kto do niej trafi. Wreszcie jeśli rekrutacją będzie się zajmować w ogromnym stopniu przeżarte korupcją państwo ukraińskie, nietrudno sobie wyobrazić, że w szeregach brygady mogą pojawić się np. rosyjscy agenci.

VOT TAK! z pytaniami o „legion" zwróciło się również do ambasady ukraińskiej w Polsce, która – jak się okazuje – nie ma pojęcia o tym, jak wygląda procedura rekrutacji. Nie mogąc otrzymać informacji drogą oficjalną, dziennikarz portalu spróbował innego sposobu. Zadzwonił na gorącą linię oddziału konsularnego ambasady i przedstawił się jako Ukrainiec, który chce się zapisać do nowego pododdziału formowanego w Polsce. W odpowiedzi na pytanie, jak złożyć odpowiedni wniosek, pracownica gorącej linii zaproponowała pozostawić informację o sobie i obiecała: „Jeśli tylko pojawią się jakieś konkrety, to skontaktujemy się z panem".

Trudno znaleźć jakiekolwiek dane na temat „legionu" poza wyżej przytoczonymi, bardzo ogólnikowymi wypowiedziami polityków. Temat nie funkcjonuje również w Internecie. Nie jest poruszany na facebookowych grupach czy telegramowych czatach Ukraińców w Polsce. Nie widać też ożywionego zainteresowania sprawą. Całkiem prawdopodobne, że mieszkający za granicą obywatele Ukrainy niekoniecznie garną się na front. Wiadomo przecież, że nawet na Ukrainie nastroje są coraz bardziej pesymistyczne, mobilizacja napotyka opór, a skala poparcia dla rozmów z Rosją rośnie, o czym świadczą opublikowane tydzień temu wyniki sondażu Centrum Razumowa (aż 44 proc. za). A cóż dopiero powiedzieć o nastawieniu tych, którzy przecież – często nielegalnie – uciekli na Zachód? Dlaczego mieliby nagle poczuć przypływ uczuć patriotycznych? Możliwe zatem, że narracja o tysiącach chętnych, zapewne podpowiedziana Sikorskiemu przez ukraińskich partnerów, to propaganda mająca pokazać, że zainteresowanie inicjatywą istnieje, i zachęcić tych, którzy pójście na front rozważają.

Na razie wygląda więc na to, że z ukraińskim legionem w Polsce jest podobnie jak z kotem w eksperymencie Schrödingera: nikt nie wie, czy jest, czy jednak go nie ma.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f8bc18ad72

Czysty transport w impasie

Jakub Wozinski

Włodarze polskich miast bezmyślnie naśladują modę na wprowadzanie tzw. stref czystego transportu, choć w wielu miejscach na Zachodzie coraz więcej ośrodków wyraźnie buntuje się przeciwko temu pomysłowi

Europa Środkowo-Wschodnia, w tym oczywiście Polska, od lat żyje w nieuzasadnionym kompleksie niższości względem zachodniej części kontynentu, ślepo wprowadzając większość zarządzeń oraz pomysłów z niej się wywodzących. Nie inaczej jest w kwestii tzw. stref czystego transportu, których ustanawianie stanowi rodzaj sygnalizowania cnoty, mającego zapewnić danemu miastu zarówno prestiż, uznanie globalnych elit, jak i wysokie noty u inwestorów lokujących środki zgodnie z zielonymi wytycznymi.

EUROPEJSKA ILUZJA

Zapatrzeni w Zachód postępowi prezydenci Warszawy, Wrocławia czy Krakowa, które jak dotąd przodują w Polsce w zakresie narzucania stref tzw. czystego transportu, na razie nie chcą widzieć tego, że w znacznej liczbie przypadków eksperyment z ograniczaniem wjazdu do miast dla pojazdów spalinowych wiąże się nie tylko z dużym oporem społecznym, lecz także problemami dla samych rządzących. Tak znaczna ingerencja w prawo do poruszania się coraz częściej okazuje się zwykłą utopią. Istnieje niestety spore prawdopodobieństwo, że w momencie, gdy w zamożnych krajach zachodnich wszyscy już dawno zrozumieją, że strefy czystego transportu to w większości mrzonka, w Polsce prezydenci uśmiechniętej koalicji będą nadal próbowali powtórzyć cudze błędy.

Szacuje się, że w całej Europie działa już 300 stref czystego transportu, nazywanych gdzie indziej także strefami niskoemisyjnymi. Do końca przyszłego roku ma ich przybyć aż 500. Ogromna większość z nich zlokalizowana jest w Niemczech, we Włoszech, Francji czy w Hiszpanii. Jak na najbardziej zaangażowany w ekologizm kontynent przystało, Europa ma na swoim terytorium najwięcej tego rodzaju obszarów. W Stanach Zjednoczonych dopiero dwa lata temu Santa Monica w Kalifornii wprowadziła podobne zasady, które powoli są przyjmowane w innych ośrodkach.

Iluzja stref czystego transportu oddziałuje na Starym Kontynencie znacznie bardziej, dlatego że posiada on zdecydowanie bardziej rozbudowaną sieć publicznego transportu niż USA. Przeciętna duża europejska metropolia posiada kilka linii metra i raczej zwartą zabudowę, podczas gdy za Atlantykiem czymś zdecydowanie bardziej powszechnym jest samodzielne dojeżdżanie do pracy własnym samochodem (korzysta z niego wciąż ok. 73 proc. pracujących Amerykanów) w niezwykle rozległych aglomeracjach.

Projekt stref czystego transportu daje pewne ograniczone szanse powodzenia jedynie w największych ośrodkach, których rozmiary i tak czynią korzystanie

eprasa.pl f8bc18ad72

FOT. ŁUKASZ GĄGULSKI/PAP

z własnego samochodu pewną niedogodnością. W ten właśnie sposób Londyn już w 2015 r. jako pierwsze miasto na świecie ogłosił zamiar zaprowadzenia nowych przepisów rugujących transport spalinowy. Najbardziej doinwestowane i posiadające imponujący transport publiczny metropolie znacząco różnią się jednak od większości miast, które obarczono tymi samymi wymogami.

WIELKA KLAPA

Dobrze to widać na przykładzie Francji, gdzie pomimo wprowadzenia przed trzema laty wymogu ustanowienia strefy czystego transportu we wszystkich ośrodkach liczących powyżej 150 tys. mieszkańców do końca obecnego roku jedynymi miastami podtrzymującymi obecnie wolę wprowadzenia nowych zasad są Paryż i Lyon. Od dłuższego czasu kolejne miasta wyłamują się z narzuconego im harmonogramu, twierdząc, że nie są w stanie udźwignąć tak daleko idących ograniczeń. W sukurs musiało przyjść im Ministerstwo Transformacji Ekologicznej, które w marcu przyznało części z większych ośrodków (m.in. Strasburgowi) bezterminowe odroczenie terminu wprowadzenia nowych norm. Wcześniej uczyniło podobnie w odniesieniu do mniejszych ośrodków.

Aby zachować twarz i ukazać porażkę programu, francuski rząd zaczął argumentować, iż podjęte do tej pory działania okazały się dość skuteczne i pozwoliły znacząco zredukować jakość powietrza w największych francuskich miastach. W rzeczywistości wymyślone przez polityków zasady przyniosłyby ze sobą nieopisane straty. Według wyliczeń dziennika „Le Figaro" wprowadzenie strefy czystego transportu w Marsylii oznaczałoby, że w tamtejszej najbiedniejszej trzeciej dzielnicy nawet połowa mieszkańców utraciłaby prawo do przemieszczania się własnym autem. Przepisy zakazujące autom spalinowym wjazdu do centrów miast miałyby także fatalny wpływ na handel. Pozbawieni możliwości skorzystania z własnych środków komunikacji mniej zamożni obywatele musieliby jeszcze bardziej masowo korzystać z podmiejskich wielkopowierzchniowych centrów handlowych. W Polsce władze nie mają na ogół większych skrupułów, jeśli chodzi o przyzwalanie na wyniszczanie rodzimego handlu, lecz we Francji kwestia obrony rodzimych kupców ma znacznie wyższy priorytet. Dlatego właśnie projekt stref czystego transportu utkwił tam w impasie, a nawet doprowadził do społecznego wrzenia. W obawie przed wybuchem kolejnego protestu analogicznego do buntu żółtych kamizelek sprzed kilku lat władze centralne nieco spuściły z tonu i przestały nalegać na wprowadzenie najbardziej radykalnych rozwiązań.

HISZPAŃSKA SPALINOWA REKONKWISTA

Klimatystyczna międzynarodówka od dłuższego czasu z wielkim niepokojem spogląda także w kierunku Hiszpanii. Co prawda, na czele rządu stoi tam wciąż skrajnie lewicowy premier Pedro Sánchez, który odgraża się, że wszystkie miasta liczące co najmniej 50 tys. mieszkańców będą musiały posiadać własne strefy czystego transportu, lecz rosnąca w siłę opozycja coraz częściej skutecznie zakłóca wdrażanie zasad zrównoważonego transportu.

„Prawicowi populiści" z partii VOX zdołali w ubiegłym roku wejść do koalicji rządzących w wybranych miastach, przystępując do likwidacji wielu zmian narzuconych w ostatnim czasie, m.in. przywracając kierowcom pasy ruchu zamienione na ścieżki rowerowe oraz ograniczając zasięg stref czystego transportu (m.in. w Valladolid). Partia, której przewodzi Santiago Abascal, uczyniła nawet z obietnicy odejścia od obecnej polityki klimatycznej na czele ze strefami czystego transportu jeden ze swoich ważniejszych postulatów.

Swego rodzaju opór w Hiszpanii stawiają nie tylko samorządy mające we władzach ugrupowania prawicowe. Z przyczyn praktycznych do rządowego rozporządzenia z 2021 r. nakazującego wprowadzać od stycznia br. strefy czystego transportu nie zastosowało się w pełni wiele prowincjonalnych miast.

Zupełnie inaczej na całą sprawę patrzy się niestety w Belgii, w której przeciętny poziom życia i zarobki są wyższe niż we Francji. System podatkowy tego kraju w sposób szczególny skłania pracodawców do udostępniania służbowych aut, które stanowią rodzaj ukrytego wynagrodzenia. Wypłacanie nadmiernych premii nie ma sensu, ponieważ pochłonęłyby je podatki, dlatego pracownicy nierzadko rekompensują to sobie nowoczesnymi autami. Już od 2026 r. zniżki i ulgi będą jednak przysługiwały tylko posiadaczom zeroemisyjnych pojazdów. Sprawiło to, że tylko między 2022 a 2023 r. udział aut elektrycznych wśród wszystkich pojazdów wzrósł z 3,7 proc. do 7,3 proc.

Dyktujący przepisy dla całej Europy biurokraci z Brukseli żyją zapewne w błędnym wyobrażeniu, że belgijska specyfika jest czymś absolutnie powszechnym w całej Europie. W belgijskiej stolicy ponad 22 proc. pracowników, w tym oczywiście znaczna część urzędników z unijnych instytucji, ma do dyspozycji służbowe auto. Belgowie jeżdżą także jednymi z najnowszych aut, a ich średni wiek lokuje ich na trzecim miejscu w całej wspólnocie (ok. 8,5 r. w 2023 r.).

eprasa.pl f8bc18ad72

Pomimo tego nawet zamożna i posiadająca nowoczesną flotę aut Belgia nie jest w stanie sprostać najbardziej radykalnym planom, które przedstawiono w ostatnim czasie. Zgodnie z nimi z ruchu w belgijskiej stolicy miałyby zostać wykluczone już auta z silnikiem Diesla niespełniające normy EURO 5 oraz z silnikiem benzynowym niespełniającym normy EURO 2. Jak zwracała uwagę jedna z organizacji branżowych, oznaczałoby to, że prawo do wjazdu do Brukseli od stycznia 2025 r. straciłoby aż 850 tys. pojazdów. W Belgii wciąż trwają gorące dyskusje na temat wykonalności takiego przedsięwzięcia, a władze Walonii zdołały przesunąć termin wprowadzenia nowych zasad na 2028 r. Co ciekawe, za późniejszym narzuceniem norm dla transportu są nawet miejscowi socjaliści, którzy najwidoczniej autentycznie przejęli się losem najbiedniejszych oraz grożącymi im kosztami związanymi z życiem bez własnego pojazdu.

EFEKTY UBOCZNE

Podjęte w ciągu ostatnich kilku lat inicjatywy na rzecz utworzenia stref czystego transportu doprowadziły w konsekwencji do tego, że czerwcowe wybory do Parlamentu Europejskiego przyniosły wielką porażkę niemal wszystkim zielonym ugrupowaniom w Europie (poza Skandynawią). W Niemczech Zieloni odnotowali najgorszy wynik wyborczy od 20 lat, a zielona frakcja w europarlamencie została zredukowana o 22 osoby. Żółtą kartkę, którą wyborcy pokazali najbardziej zagorzałym zwolennikom zielonej transformacji, można zinterpretować jako efekt m.in. wprowadzania stref czystego transportu. Społeczeństwo w całej Europie wyraźnie zraziło się do podstawowych założeń zielonej polityki, oddając jednocześnie rekordowo wiele głosów na ugrupowania otwarcie dążące do zerwania z nią.

Jeszcze w 2019 r. kampania wyborcza do Parlamentu Europejskiego stała pod znakiem licytacji w zakresie klimatyzmu, a wyznaczane przez rządy coraz bardziej zielone cele podbijały im sondażowe słupki. Obecnie niemal w całej Europie mamy do czynienia ze wzbierającą falą niezadowolenia oraz sceptycyzmu wobec ratowania planety przed rzekomą katastrofą. Zderzeni z narastającymi kosztami wdrażania zielonej polityki oraz uciążliwościami przekształcania sfery publicznej w poletko doświadczalne zrównoważonego rozwoju mieszkańcy całego kontynentu wyrazili wreszcie swoje niezadowolenie.

W przedstawianym przez międzynarodówkę klimatystyczną jako wzór do naśladowania Londynie działa już specyficzny ruch oporu przeciwko tyranii strefy ultraczystego transportu

Siły sprzeciwiające się kontynuacji wdrażania zielonej polityki nie zdołały jeszcze przejąć władzy w strukturach unijnych, ale można zasadnie przewidywać, że w razie utrzymania obecnego kursu w polityce gospodarczej kolejne wybory przyniosą im wreszcie zwycięstwo. Im bardziej europejskie rządy będą brnąć ku realizacji Zielonego Ładu, tym bardziej gwałtowna będzie reakcja zwrotna nad urną.

SPADEK LĘKU

Klimatystyczna lewica argumentuje, że działania podjęte w ciągu minionych kilku lat na rzecz uruchomienia stref czystego transportu doprowadziły do wymiernych sukcesów. W Londynie, w którym obowiązuje nawet strefa ultraczystego transportu, stężenie dwutlenku azotu w powietrzu udało się zredukować nawet o 40 proc. Redukcja ta ma się przekładać m.in. na spadek liczby zgonów i chorób oddechowych i tym samym niższe koszty leczenia. Badacze z Uniwersytetu w Bath przekonywali nawet, że po wprowadzeniu strefy niskiego transportu odnotowano… spadek poziomu lęku odczuwanego przez mieszkańców.

Bardziej prawdopodobna wydaje się jednak teza, że starania na rzecz wyrugowania aut spalinowych z przestrzeni publicznej mogły wywołać potężny lęk u wszystkich tych, których nie stać na sprostanie zielonym fanaberiom. Wychodząc naprzeciw tym lękom, władze w różnych miejscach Europy coraz częściej stosują rozmaite finansowe zachęty, aby tylko skłonić obywateli do pozbycia się własności prywatnej. We wspomnianej już Brukseli funkcjonuje program Bruxell'Air, w ramach którego w zamian za rezygnację z tablic rejestracyjnych obywatel może otrzymywać regularne wypłaty środków na korzystanie z transportu publicznego i innych form tzw. czystego transportu. Wśród dodatkowych korzyści uczestnictwa w programie są m.in. tańszy Internet oraz zniżki na część usług.

Władze Brukseli najwyraźniej bardzo wzięły sobie do serca idee, które są promowane przez Światowe Forum Ekonomiczne. Organizacja założona przez Klausa Schwaba od wielu lat wspiera inicjatywy na rzecz wprowadzania stref czystego transportu, a jako jedną z metod ich upowszechnienia promuje właśnie rezygnację z prywatnych aut w zamian za przyznawanie specjalnych dopłat na korzystanie z transportu publicznego. Wedle lobbystów z WEF zasada „jedno auto mniej" powinna się stać nowym stylem życia, przynoszącym ze sobą więcej satysfakcji, zdrowia, oszczędności i ratunku dla planety.

Narzucany odgórnie przepis na szczęście najwidoczniej jednak nie przypadł Europejczykom do gustu, ponieważ właściwie zewsząd płyną sygnały świadczące o tym, że reglamentowanie pojazdów spalinowych wywołuje narastający sprzeciw. W przedstawianym przez międzynarodówkę klimatystyczną jako wzór do naśladowania Londynie działa nawet specyficzny ruch oporu przeciwko tyranii strefy ultraczystego transportu (ULEZ).

Grupa aktywistów nosząca nazwę ULEZ Blade Runners wyspecjalizowała się w niszczeniu kamer monitorujących ruch w Londynie, doprowadzając do likwidacji nawet 500 z nich. W ostatnim czasie walczący o swoją wolność mieszkańcy zaczęli nawet nakładać na system monitoringu drewniane budki dla nietoperzy. W brytyjskim prawie tego rodzaju budki znajdują się pod specjalną ochroną, co znacząco ograniczyło władzom możliwość szybkiego ich usunięcia. Nie ulega wątpliwości, że już wkrótce po tego rodzaju wymyślne sposoby obywatelskiego oporu będą sięgali również mieszkańcy polskich miast.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f8bc18ad72

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polak mądry przed szkodą!

Po kilkunastu latach użytkowania auta, diesla, kupiłem kolejne – oczywiście z silnikiem spalinowym, tym razem na benzynę. I ani mi przez myśl nie przeszło, żeby wyrzucać pieniądze na elektryka. Auta na baterie są bowiem dobre, lecz jako zabawki dla dzieci. A tam, gdzie w grę wchodzi prawdziwa niezawodność, czyli w życiu ludzi dorosłych, nie może być mowy o zabawie w elektromobilność.

I nie jestem w Polsce w tym myśleniu odosobniony. Ba, Polaków można by uznać pod tym względem wręcz za ostoję zdrowego rozsądku. Takiej bowiem właśnie odpowiedzi nieodmiennie udzielają oni tym wszystkim, którzy ich do elektromobilności zagrzewają, na czele z byłym premierem Morawieckim, który – jak pamiętamy – odgrażał się, że dzięki jego rządom po Polsce już w 2025 r. będzie jeździć... milion autek na baterie.

A jest ich u nas dziś, czyli u progu 2025 r., niecałe 60 tys. Auta na baterie stanowią więc u nas zaledwie 3,5 proc. wszystkich, gdy średnio w UE – 14 proc. To daje Polakom przedostatnie miejsce w UE, tuż przed Czechami, gdzie e-aut jest jeszcze mniej – 2,8 proc. A raczej daje nam miejsce nie fatalne przedostatnie, lecz wprost przeciwnie – znakomite drugie, tuż po Czechach, którzy pod względem zdrowego rozsądku przodują w całej UE, górując nawet nad nami, Polakami. A „Rzeczpospolita", pisząc, że „Polska jest elektromobilnym skansenem Europy", wali niczym kulą w płot. Polacy (i Czesi) są bowiem w tej mierze prawdziwymi trendsetterami Europy.

Cóż, nie ma co ukrywać, uwielbiam opowieści posiadaczy autek na baterie. O tym, jak po mroźnej nocy przewidywany zasięg ich zaparkowanego na zewnątrz pojazdu gwałtownie zmniejszył się z kilkuset kilometrów wieczorem do kilkudziesięciu rano. Albo o tym, jak wyjazd turystyczny i kolejne postoje planuje się nie ze względu na to, co warto zobaczyć, lecz gdzie da się podładować akumulator. Albo o tym, jak ze strachem obserwując spadający przewidywany zasięg auta, gdy do ładowarki daleko, wyłącza się najpierw ogrzewanie zimą lub klimatyzację latem, a potem radio i jedzie się coraz wolniej, by zużywać coraz mniej prądu, żeby tylko jakoś „dokulać" się do ładowarki.

Aby zatankować normalny samochód – taki z silnikiem spalinowym – wystarczy kilka butelek benzyny lub diesla. A żeby „zatankować" auto na baterię, trzeba mieć prąd, czyli dostęp do działającej elektrowni. A to już trochę większy problem, zwłaszcza w trudnych czasach, niż znalezienie butelki benzyny. Na przykład w czasach wojennych, a przecież nikt nie zapewni, że ich wkrótce nie doczekamy, niestety.

A więc: brawo Polacy! Kolejny raz, nie dając się nabrać na ułudę nowoczesności i postępu, dajemy dowód naszej głębokiej roztropności. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Bajki o prokuraturze

Wśród fraz powielanych przez sprzyjające władzy media i komentatorów najbardziej bawi mnie stwierdzenie, że „teraz prokuratura jest niezależna". Można by powiedzieć, że mówiącym to za mocno wszedł przymusowy uśmiech.

Nie, prokuratura nie jest niezależna – ani formalnie, ani faktycznie. Kompletnie nic się nie zmieniło w organizacji tej struktury po wyborach z października ubiegłego roku. Nadal prokuratorem generalnym jest minister sprawiedliwości – z urzędu. Jedyne zatem, co się zmieniło, to człowiek na tym stanowisku. Nadal też prokuratorzy, działający w takim systemie, starają się odgadywać życzenia rządzących. Tyle że teraz to są inne życzenia.

Kompletnie nic się nie zmieniło. Prokuratura nie jest niezależna – ani formalnie, ani faktycznie

Uśmiechnięta koalicja zapowiadała, że nastąpi „odpolitycznienie prokuratury". Ba, był to jeden z głównych punktów jej programu. W „100 konkretach" jest to pozycja numer 26: „Rozdzielimy funkcję ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Prokurator nie może być politykiem". Na stronie „100 konkretów" władza zaznaczyła na zielono te, które zostały jej zdaniem zrealizowane, oraz na pomarańczowo te, które są „w trakcie realizacji".

Ten punkt zaznaczony jest na pomarańczowo, przy czym w żadnym trakcie realizacji nie jest, ponieważ nie znamy nawet założeń do ustawy, która miałaby ów punkt realizować. I nie ma tu znaczenia, że mógłby taką ustawę zawetować pan prezydent (nie jest zresztą wcale pewne, czyby to zrobił, skoro miałoby to choćby częściowo ograniczać wpływy obecnej władzy w tej instytucji). Jeśli idzie się do wyborów z tak poważnymi planami, to powinno się mieć gotowe rozwiązania. Konkretne.

Prawda jest jednak taka, że nikt żadnego „odpolitycznienia" prokuratury ani nie chciał, ani nie planował. Prokuratura miała nadal działać na zlecenie i tak jest, tyle że kto inny wydaje polecenia.

Owszem, czas rządów i PiS, i tym bardziej KO z koalicjantami pokazuje, że Polsce faktycznie przydałaby się reforma systemu. Jaka – to odrębna sprawa (może należałoby wprowadzić na wzór niektórych państw instytucję sędziego śledczego?), ale nie przeprowadzi jej żadna z dwóch sił politycznych, które dzisiaj dominują. Każda chce korzystać z możliwości, jakie on daje. ©℗

eprasa.pl f8bc18ad72

Z Radosławem Piesiewiczem, prezesem Polskiego Komitetu Olimpijskiego
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Paryż 2024: stawka jest wysoka

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Z jakimi aspiracjami reprezentacja Polski jedzie na igrzyska olimpijskie w Paryżu, których początek już 26 lipca?

RADOSŁAW PIESIEWICZ: Nasi zawodnicy wiedzą, na co ich stać, a ci, którzy są faworytami w swoich konkurencjach, doskonale zdają sobie z tego sprawę i jadą tam w konkretnym celu – walczyć o medale. Wiem, że każdy z nich da z siebie wszystko, co tylko możliwe, bo stawka jest wysoka.

Nasza ekipa dotrze do stolicy Francji w kilku turach? Wiadomo już, ile osób zgromadzi? Czym będą podróżowali?

Większość Biało-Czerwonych poleci z Polski kilkoma rejsami, a niektórzy będą do Paryża docierać z różnych części Europy. Główny środek transportu to oczywiście samoloty – komfort w podróży jest najważniejszy. Narodowy team tworzy 213 sportowców. Po raz pierwszy w dziejach olimpijskich występów wystartuje więcej Polek (113) niż Polaków (100). Sportowcom towarzyszy 251 osób, w tym 110 trenerów.

Miał pan już możność wizytacji wioski olimpijskiej?

Odwiedziłem Paryż w kwietniu tego roku, razem z naszą misją olimpijską byliśmy w miejscu, gdzie powstawała wioska. Na pewno odwiedzę tam naszych zawodników już po zapłonięciu znicza.

PKOl postawił poszczególnym reprezentantom jakieś konkretne wymagania?

To nie my jesteśmy od tego. Wierzymy, że każdy z reprezentantów Polski jedzie na igrzyska, żeby rywalizować o podium lub jak najwyższe lokaty. Mamy oczywiście duże nadzieje na udany występ, lecz nie wywieramy presji na zawodnikach. Jesteśmy tam dla nich, a nie oni dla nas. PKOl ma im wszystko ułatwiać i wspierać każdego z nich na miarę swoich możliwości. Po to jest właśnie misja olimpijska, aby mieli się do kogo zwrócić w przypadku jakiegokolwiek problemu. Nasza misja to doświadczeni ludzie, pod kierownictwem Tomasza Majewskiego, dwukrotnego mistrza olimpijskiego w pchnięciu kulą.

Określono medalowe minimum?

Ani ja, ani PKOl czy też misja olimpijska nie stawiamy takich żądań. Chciałbym, żeby medali było więcej niż w Tokio, ale nigdy na nikogo nacisku nie będę wywierał. Nie chcę, a nawet nie mam takiego prawa. Jedynie zachęcamy do walki, niepoddawania się i wiary w siebie, bo nasi sportowcy są wspaniali. Za ten nadludzki wysiłek oferujemy nagrody, jakich w swej ponad 100-letniej historii PKOl jeszcze nigdy nie zaproponował.

Największe szanse na złote medale mamy w żeńskim tenisie i męskiej siatkówce?

Nie tylko. Jest więcej takowych, choćby kajakarstwo, lekkoatletyka czy wspinaczka sportowa, choć i to nie wszystko. Wierzę w naszych sportowców, a sport jest nieprzewidywalny. Czasem potrafi zaskoczyć każdego.

To będą pierwsze igrzyska po pandemii koronawirusa...

Zmieniła ona wiele w każdej dziedzinie życia. Jeśli jednak chodzi o sport, to jej koniec miał zbawienny wpływ na jego rozwój. Igrzyska olimpijskie w Tokio, które rozegrano bez publiczności, były pod tym względem smutne i nigdy więcej tego sobie nie życzymy.

Ze względów bezpieczeństwa olimpijskie zmagania stają się coraz bardziej hermetyczne. Co kłóci się z ideą Pierre'a de Coubertina.

Bezpieczeństwo jest jednym z najważniejszych, jeśli nie absolutnie najważniejszym aspektem. Tu musi być całkowita pewność, że wszystko jest pod kontrolą. Wiemy, że w Paryżu ta czujność służb mundurowych będzie na najwyższym poziomie. Kilka dni temu poinformowano, że nasze wyspecjalizowane zespoły z psami tropiącymi rozpoczęły służbę przy zabezpieczaniu obiektów sportowych na Igrzyska XXXIII Olimpiady oraz XVII Letnie Igrzyska Paraolimpijskie. Żołnierze 2. Mazowieckiego Pułku Saperów oraz Żandarmerii Wojskowej będą dbać o bezpieczeństwo, przeszukując teren pod kątem materiałów wybuchowych i niebezpiecznych przedmiotów. Ich obecność to większy spokój dla wszystkich uczestników igrzysk. Trzymamy kciuki za nasz dzielny kontyngent, a zarazem dziękuję za pomoc w przeprowadzeniu bezpiecznych igrzysk.

Dopuszczenie do startu sportowców z Rosji i Białorusi wzbudziło kontrowersje...

Takie decyzje podjął MKOl. Światowe federacje sportowe mogły samodzielnie zadecydować, czy ci sportowcy będą mogli brać udział w zawodach i zdobywać kwalifikacje indywidualne, bo w sportach zespołowych takiej możliwości nie mieli w ogóle. Każdy, kto jest przeciwko bestial-

eprasa.pl f8bc18ad72

skiej napaści na Ukrainę, nigdy nie zgodzi się z tym, żeby sportowcy popierający tę agresję byli traktowali na równi z resztą sportowego świata, ceniącego pokój ponad wszystko.

Wielu Białorusinów, a zwłaszcza Rosjan, zrezygnowało jednak z występu pod neutralną flagą...

Wcale mnie to nie dziwi. Z jednej strony musieliby mierzyć się z nieprzychylnością, prawdopodobnie nawet w wiosce olimpijskiej, a z drugiej strony naraziłoby to ich na jakieś nieprzyjemności – delikatnie rzecz ujmując – ze strony władz Rosji czy Białorusi, ponieważ aby wystartować w Paryżu, musieliby opowiedzieć się przeciwko wojnie. Nie zazdroszczę im tego położenia. Nie każdy popiera wojnę, ale w takich sytuacjach nie ma tylko dobrych rozwiązań.

Polki i Polacy będą konkurować w strojach firmy niemieckiej, a nie krajowej. Skąd ta zmiana?

To sprawa biznesowa i wyłącznie to miało wpływ na decyzje podjęte przez PKOl. Informowaliśmy już o tym wielokrotnie dość szczegółowo. Rozmowy z Adidasem rozpoczęliśmy w momencie, kiedy okazało się, że na samym końcu negocjacji sponsorskich polska marka zmieniła front o 180 stopni i wykluczyła możliwość dalszej współpracy na zasadzie sponsorskiej, oferując w zamian tylko rabaty na kolekcję. Nie tego oczekujemy od firmy, która szczyciła się mianem sponsora kolekcji olimpijskiej. Niestety, zdarzyło się to już dość późno, pozostało mało czasu do igrzysk, a wyzwanie było wielkie. Jednak mimo kłopotów zdołaliśmy podpisać kontrakt i stworzyć pierwszą kolekcję z Adidasem. Dodam, że świetną, gdyż mimo wylanego hejtu na to wszystko uważamy, że to doskonałe produkty. To sportowcy są dla nas jedynym krytykiem w tej sprawie. A najwięcej krzyczeli ci, których owe stroje nie dotyczą i dla których nie są one przeznaczone. Dla nas feedback od sportowców był najważniejszy, a wciąż jest on bardzo pozytywny. Tego się trzymamy i pracujemy dalej.

A w jakich ubiorach zaprezentuje się drużyna narodowa podczas ceremonii otwarcia zawodów?

Będą odziani przez uznaną polską markę modową Bizuu. Każdy strój dla każdego polskiego sportowca startującego w Paryżu powstaje na miarę. To skomplikowane, lecz wiem, że nasi sportowcy podczas ceremonii otwarcia olśnią cały świat śledzący inaugurację tego największego sportowego święta na kuli ziemskiej.

Prezes PKOl będzie obecny na trybunach?

Naturalnie! Będę osobiście kibicował polskim sportowcom. Najmocniej, jak się da.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Radosław Piesiewicz
– absolwent prawa na UW, działacz sportowy, m.in. Polskiego Związku Piłki Siatkowej i Polskiego Związku Koszykówki, od ubiegłego roku kieruje Polskim Komitetem Olimpijskim.

Za wyniki uzyskane w Igrzyskach XXXIII Olimpiady Paryż 2024 Polski Komitet Olimpijski przyzna zawodnikom oraz ich trenerom głównym (wskazanym przez właściwy polski związek sportowy) nagrody.
Lista nagród za poszczególne medale:

KONKURENCJE INDYWIDUALNE

Złoty medal
mieszkanie dwupokojowe, nagroda finansowa w wysokości 250 tys. zł, diament, obraz, voucher na wakacje
Srebrny medal
200 tys. zł, diament, obraz, voucher na wakacje
Brązowy medal
150 tys. zł, diament, obraz, voucher na wakacje

DRUŻYNY, OSADY, SZTAFETY, DEBLE, MIKSTY, ZAŁOGI (2-, 3-, 4-, 5-, 6- i 7-OSOBOWE)

Złoty medal
mieszkanie jednopokojowe, 250 tys. zł, diament, obraz, voucher na wakacje – dla każdej osoby
Srebrny medal
200 tys. zł, diament, obraz, voucher na wakacje – dla każdej osoby
Brązowy medal
150 tys. zł, diament, obraz, voucher na wakacje – dla każdej osoby

KONKURENCJE ZESPOŁOWE

Złoty medal
nagroda finansowa w wysokości 2 mln zł do podziału, diament, obraz, voucher na wakacje – dla każdej osoby
Srebrny medal
1,5 mln zł do podziału, diament, obraz, voucher na wakacje – dla każdej osoby
Brązowy medal
1 mln zł do podziału, diament, obraz, voucher na wakacje – dla każdej osoby

TRENERZY GŁÓWNI

Złoty medal
nagroda finansowa w wysokości 100 tys. zł, diament, obraz, voucher na wakacje
Srebrny medal
75 tys. zł, diament, obraz, voucher na wakacje
Brązowy medal
50 tys. zł, diament, obraz, voucher na wakacje

NAGRODY W PRZYPADKU ZDOBYCIA WIĘCEJ NIŻ JEDNEGO MEDALU

Dwa złote medale
1 mieszkanie, nagroda finansowa za złoty medal x 2, 1 diament, 1 obraz, 1 voucher na wakacje
Medale złoty i srebrny
1 mieszkanie, nagroda finansowa za złoto plus za srebro, 1 diament, 1 obraz, 1 voucher na wakacje
Medale złoty i brązowy
1 mieszkanie, nagroda finansowa za złoto plus za brąz, 1 diament, 1 obraz, 1 voucher na wakacje
Dwa srebrne medale
nagroda finansowa za srebrny medal x 2, 1 diament, 1 obraz, 1 voucher na wakacje
Medale srebrny i brązowy
nagroda finansowa za srebro plus za brąz, 1 diament, 1 obraz, 1 voucher na wakacje
Dwa brązowe medale
nagroda finansowa za brązowy medal x 2, 1 diament, 1 obraz, 1 voucher na wakacje

eprasa.pl f8bc18ad72

Masowy transport lotniczy

Jeszcze w latach 70. samolot był drogim i elitarnym środkiem lokomocji

FOT. PIXIEME/SHUTTERSTOCK

Jacek Pałkiewicz

Kiedyś w samolocie były piękne stewardesy, a przy ogonie stał wózek z alkoholem. Dziś w masowych przewozach trudno oczekiwać nawet wygodnego siedzenia

Ostatnio jadąc na lotnisko, wspomniałem o rozmowie sprzed czterech dekad. W starożytnej oazie Tamanrasset w sercu Sahary Tuareg w zaawansowanym wieku, patrząc w oczy zza szczelnie omotanej niebieskim burnusem twarzy, powiedział mi: „Nie rozumiem ciebie. Mówiłeś, że w ciągu jednego dnia dotrzesz samolotem do Algieru. Dla mnie i moich wielbłądów trzeba na to miesiąca. Powiedz, co będziesz robić w pozostałe 29 dni?”. Ta lekcja głęboko utkwiła w mojej pamięci. Nasze miary i styl życia różnią się od siebie o lata świetlne. Nie potrafimy już żyć bez pośpiechu.

Trzydzieści lat temu na Jangcy zdążyłem znaleźć ostatni tradycyjny sampan żaglowy i spłynąć nim do słynnych Trzech Przełomów, których już nie ma, bo pochłonęły je wody megagigantycznej tamy. Na zatoce Ha Long w Wietnamie też pływałem na dżonce, którą zastąpiły nowoczesne kutry rybackie. Podróżowałem, niczym w czasach epoki wiktoriańskiej, na grzbiecie wielbłądów, słoni czy jaków bądź w chybotliwym indiańskim czółnie w Amazonii.

Dziś transport został zdominowany przez lotnictwo, które w ubiegłym roku odnotowało 1,5 mld podróżnych międzynarodowych, chociaż w rzeczywistości 80 proc. światowej populacji nigdy nie wsiadło na pokład samolotu. Świat się skurczył i otworzył na podróżowanie. Niedawno zdarzyło mi się, że po śniadaniu zjedzonym w Warszawie w Madrycie podczas przesiadki skonsumowałem lunch, a w Buenos Aires kolację. Na koniec dnia w 20 minut doleciałem zaś do Montevideo, gdzie zdezorientowany całym wydarzeniem poszedłem spać. A pomyśleć, że cztery dziesiątki lat wcześniej do Ameryki Łacińskiej płynąłem frachtowcem cały miesiąc. Takie porównania i refleksje o tym, czego już nie ma, są nieuchronne nawet dla kogoś, kto zwykle nie bawi się w sentymenty.

OD ELITARNOŚCI DO MASOWOŚCI

Pamiętam, że jeszcze w latach 70. był to dostatecznie drogi i elitarny środek lokomocji. Piękna i zgrabna stewardesa była podziwiana niczym dzisiejsza top modelka. Słynne asystentki pokładowe

eprasa.pl f8bc18ad72

z Singapore Airlines od pierwszego dnia szkolenia skandowały chórem trzy podstawowe reguły dotyczące wzorowej stewardesy: uśmiech, uprzejmość i życzliwość do każdego pasażera. Na psychologiczną ofensywę orientalnych linii lotniczych Zachód odpowiedział postawą swobodnego, a także pewnego siebie zachowania, kompetencją, przyjaznym i łagodnym uśmiechem oraz pogodą ducha. Dzisiaj już takich gracji się nie widuje, chyba że tylko w Emirates, która wyznaczyła wysokie standardy nie tylko pod tym względem. Podczas lotów interkontynentalnych w nocy w ogonie zawsze stał wózek z napojami, piwem, alkoholem czy słodyczami.

Obecnie transport ten stał się masówką, gdzie trudno jest oczekiwać uprzejmości personelu, dobrego pokładowego cateringu albo wygodnego siedzenia. Pasażerowie klasy ekonomicznej ściśnięci są jak sardynki w puszce. Do historii zalicza się poznanie kapitana, który z obsługą kabiny witał pasażerów wchodzących na pokład. Jego elegancki mundur i czapka z logotypem przewoźnika, demonstrujące status pilota, zapewniały mu estymę, a przyjazny głos budził zaufanie. Dziś piloci odizolowani są pancernymi drzwiami, zza których dobiegają tylko sucha informacja o szczegółach lotu bądź enigmatyczna wzmianka o opóźnionym odlocie lub turbulencjach.

Na szczęście wszelkie utracone dogodności rekompensuje w dzisiejszej dobie rozkwit floty przewoźników niskobudżetowych, oferujących niewyobrażalnie atrakcyjne ceny i często przekierowujących przepływ nurtów turystycznych na małe lotniska w pobliżu modnych miejscowości, gdzie nie docierają tradycyjne linie.

Nie bez znaczenia dla wygody podróży znaczenie mają niekrępujące ruchów ubranie i wygodne luźne obuwie. Gwarancją zachowania dobrego samopoczucia w trakcie lotu jest drzemka, dlatego warto wybrać miejsce przy oknie. Osobom mającym problemy z zapadnięciem w drzemkę pomóc mogą naturalne środki nasenne: waleriana czy melatonina, tym bardziej że można je kupić w aptece bez recepty. Lekarze rekomendują, aby co jakiś czas wstać i przespacerować się korytarzem. Z tyłu samolotu można wykonać trochę skłonów i przysiadów, wspiąć się na palcach stóp. Co godzinę, dwie godziny, siedząc w fotelu, zająć się dyskretnie lekką gimnastyką poprawiającą krążenie: poruszać głową, stopami, barkami, skręcać tułowiem.

Dobrze jest zabrać ze sobą dmuchaną poduszkę oraz upewnić się, czy wszystkie urządzenia elektroniczne są naładowane. Warto wziąć filmy lub odcinki swojego ulubionego serialu telewizyjnego, aby obejrzeć je na swoim komputerze lub tablecie. Przydatne są czasopisma i książki – zarówno papierowe, jak i ładowane do e-czytnika.

W samolotach z dwoma przejściami lepiej wybrać miejsce przy przejściu w centralnej części samolotu. Dzięki temu tylko jeden pasażer będzie nas przepraszał, wstając ze swojego miejsca. Miejsca w pierwszych rzędach prawie zawsze gwarantują szybką obsługę. Z tyłu najbardziej trzęsie podczas turbulencji, ale częściej właśnie tam jest więcej pustych miejsc i można nawet się położyć. Chociaż wielu omija ostatni rząd siedzeń ze względu na bezpośrednie sąsiedztwo łazienki i brak możliwości odchylania fotela.

JAK POKONAĆ STRACH

Według sondaży co szósty pasażer odczuwa ustawiczny lęk przed wejściem na pokład samolotu. Nawet ci, którzy latają często, nie zawsze najlepiej się czują w powietrzu. Wynika to głównie z poczucia nieznanego i całkowitego braku kontroli, kiedy zawieszeni 10 km nad ziemią znajdujemy się kilka godzin od celu. Dyskomfort wzbudzają turbulencje czy strach, że pilotom zabraknie paliwa.

W pokonaniu bezpodstawnego strachu przed lataniem istotna jest wiedza, która pomoże pozbyć się irracjonalnych myśli. Trzeba pamiętać, że samolot jest produkowany, konserwowany i eksploatowany przez doświadczonych profesjonalistów, ma podwójne, a często potrójne zabezpieczenia urządzeń eliminujących zagrożenia. Całą podróż nadzorują wyspecjalizowani kontrolerzy lotu. Pasażer jest zatem w dobrych rękach i nie powinien się bać nawet w czasie lądowania awaryjnego. Zwykle się myśli, że spowodowane jest ono poważną usterką i oznacza niebezpieczeństwo. W rzeczywistości najczęściej wykonuje się je nie tyle z powodu realnego zagrożenia, ile wskutek najmniejszego nawet podejrzenia wystąpienia jakiejś usterki.

Bezpieczeństwo lotów potwierdzają statystyki, które udowadniają, że jest to najbardziej bezpieczny środek lokomocji. Dzięki ciągłemu rozwojowi technologii samolot znacznie przewyższa pod względem bezpieczeństwa podróż samochodem czy pociągiem, a także statkiem, a nawet rowerem! W ubiegłym roku lotnictwo pasażerskie na 37 mln lotów przewiozło – według szacunków IATA – 4,3 mld pasażerów. To świadczy o tym, że statystycznie człowiek musiałby latać codziennie przez 103 tys. lat, zanim straciłby życie w katastrofie lotniczej.

Nie ma radykalnych recept na pozbycie się irracjonalnego i niezdrowego strachu przed lataniem. Istnieją jednak małe kroki i nawyki, które podróż za podróżą mogą pomóc nabrać pewności siebie przed każdym startem. Mówiąc najprościej, jedną z najlepszych metod jest częste podróżowanie. Powiedzenie „trening czyni mistrza" sprawdza się i w przypadku strachu przed lataniem. Im częściej latamy, tym mniej bierzemy to pod rozwagę. Negatywne myśli można rozproszyć zagłębieniem się w lekturze, oglądaniem filmu albo zadumą nad czekającymi właśnie bajecznymi wakacjami.

Kiedyś mój znajomy pilot radził, żeby spróbować odwrócić uwagę, stosując prostą technikę relaksacyjną. Trzymając długopis ręką, której zwykle się nie używa, spróbować skoncentrować się na pisaniu swojego imienia na kartce papieru. Sprawdziłem, to działa. Dobrze jest mieć w towarzystwie bliską osobę, która zaszczepi poczucie spokoju i pomoże przetrwać czas w samolocie.

I na koniec – przy pierwszych objawach zdenerwowania warto zaczerpnąć kilka głębokich wdechów oraz wydechów i oddychać powoli. Sztuczka, która funkcjonuje podczas turbulencji, polega na patrzeniu na stewardesy siedzące na swoich miejscach w eleganckich mundurach i z nienaganną szminką. Ich uspokajające i zrelaksowane miny są najlepszym antidotum na niepokój i stres, niosą pomoc, wsparcie i dobre samopoczucie pasażerom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest reporterem i eksploratorem, twórcą survivalu w Europie, odkrywcą źródła Amazonki. Przepłynął samotnie Atlantyk szalupą ratunkową, uczył kosmonautów i elitarne jednostki specjalne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach. Napisał kilkadziesiąt książek.

eprasa.pl f8bc18ad72

PEUGEOT 308

FOT. JAP

Nowa generacja popularnego francuskiego eleganta bez żadnych kompleksów walczy obecnie o tytuł króla lwa klasy kompaktowej. W czarnym umaszczeniu wygląda jednocześnie elegancko i drapieżnie (zdecydowanie najlepiej ze wszystkich dotychczasowych wcieleń 308), przez co przyciąga wzrok przechodniów i innych kierowców.

W testowanej wersji z silnikiem wysokoprężnym jest nie tylko ładny, lecz także wyjątkowo oszczędny. Wypad nad morze z Warszawy w tę i z powrotem na jednym tankowaniu? Żaden problem. Testowane auto ma bowiem pod maską 1,5-litrowy silnik Diesla BlueHDi i jeśli się nie ma zbyt ciężkiej nogi, to spokojnie może nim przejechać tysiąc kilometrów i jeszcze mieć mały zapas w baku, zanim zaświeci się rezerwa. Zużycie paliwa w cyklu mieszanym wyniosło podczas testu średnio 4,5 l/100, ale gdyby była taka potrzeba, dałoby się zejść jeszcze niżej. O takim poczuciu wolności właściciele aut elektrycznych mogą jeszcze tylko pomarzyć.

Wprawdzie Peugeot 308 wygląda muskularnie i rasowo, a po wniesieniu odpowiedniej dopłaty może mieć z tyłu seksowny znaczek GT, ale w testowanej wersji silnikowej demonem prędkości z pewnością nie jest (na sprint od zera do pierwszej setki potrzebuje 10,6 s). Mimo to podróżuje się nim przyjemnie i komfortowo dzięki zawieszeniu, które dobrze radzi sobie z nierównościami. Prędkość maksymalna wynosi 207 km/h. Silnik wysokoprężny o mocy 130 KM bez trudu radzi sobie z ważącym 1,4 tony autem i współpracuje z ośmiostopniową automatyczną skrzynią biegów (jej praca może być nieco rozczarowująca dla miłośników dynamicznej, sportowej jazdy). I chociaż trudno się szczególnie zachwycać dość przeciętnym jak na tę klasę układem kierowniczym, to z 308 da się wykrzesać sporo radości z jazdy.

Wnętrze jest minimalistyczne, ergonomiczne, wykończone dobrej jakości materiałami, całkiem dobrze wyciszone i nowoczesne. Na pochwałę zasługują zwłaszcza odświeżony system infotainment, 10-calowy wirtualny, holograficzny zespół trójwymiarowych zegarów oraz... mięsista, sportowa kierownica. Szkoda jedynie, że klimatyzacją steruje się z poziomu ekranu dotykowego (podczas jazdy ekspresówką lub autostradą na pewno nie jest to najwygodniejsze rozwiązanie). Lepsza mogłaby być również widoczność przez tylną szybę.

Miejsca z przodu w aucie mierzącym 4367 mm długości nie brakuje. Pasażerom siedzącym z tyłu może już jednak być dość ciasnawo, zwłaszcza na dłuższych trasach. Bagażnik jest dość duży jak na tę klasę: ma 412 l pojemności, a po złożeniu tylnej kanapy można zyskać aż 1323 l przestrzeni do załadunku.

Za Peugeot 308 w testowanej wersji silnikowej trzeba zapłacić co najmniej 133,6 tys. zł. Testowana wersja GT to już koszt 154,2 tys. zł. ©℗

PENDRIVE KINGSTON IRONKEY D500S

Wytrzymała cynkowa obudowa, 256-bitowe szyfrowanie sprzętowe AES, możliwość obsługi wielu haseł, opcja podwójnej ukrytej partycji, możliwość ustawienia trybu tylko do odczytu na stałe lub tylko na jedną sesję, a także przyzwoite prędkości odczytu i zapisu – to największe zalety modelu pendrive'a dla Jamesa Bonda i nie tylko amerykańskiej firmy Kingston.

Największą zaletą testowanego urządzenia jest bezpieczeństwo. Pamięć IronKey została wyposażona w wiele zabezpieczeń, dzięki którym spełnia wyśrubowane wojskowe normy bezpieczeństwa. I chociaż wojskowymi normami chwalić się lubią marketingowcy różnych firm, to akurat w przypadku tego produktu nie jest to przesada. Producent zapewnia, że model D500S spełnia wymogi określone przez Narodowy Instytut Norm i Technologii (NIST) w normie FIPS 140-3 Level 3 dla urządzeń kryptograficznych, na których przechowywane są tzw. dane wrażliwe, czyli np. przechowywane przez koncerny finansowe, szpitale lub zakłady opieki zdrowotnej.

Chociaż na tych pendrive'ach nie powinno się przechowywać informacji tajnych czy ściśle tajnych (poufne dane można zapisywać na sporo droższym modelu IronKey S1000), to już sama obudowa sprawia wrażenie, jakby była wykonana dla samego agenta 007 lub przynajmniej dla prezesów największych amerykańskich korporacji. Cynkowa obudowa wypełniona specjalną żywicą epoksydową jest nie tylko wodoodporna, pyłoszczelna, lecz także odporna na zgniecenie i próby siłowego dostania się do środka.

Dane są szyfrowane i odszyfrowywane w pamięci D500S, co pozwala na bezpieczne i dyskretne działanie bez pozostawiania jakichkolwiek śladów w systemie hosta. Dziesięciokrotne błędne wpisanie hasła powoduje, że dane z nośnika są automatycznie bezpowrotnie wymazywane. Co więcej, administrator urządzenia może podzielić nośnik na dwie niezależne partycje, które chronione będą przez dwa oddzielne hasła. Istnieje też możliwość ustawienia podwójnej ukrytej partycji.

W codziennym użytkowaniu przydatna jest też opcja ustawienia trybu tylko do odczytu na stałe lub np. tylko na jedną sesję (gdy akurat trzeba skorzystać z obcego komputera). Na szczęście Kingston na ołtarzu bezpieczeństwa nie złożył prędkości transferu. Deklarowana maksymalna prędkość odczytu wynosi 260 Mb/s, a odczytu to 190 Mb/s. Podczas naszego testu wyniki te bywały czasem nawet przekroczone.

Minusy? Jeden: cena. Za wersję o pojemności 16 GB trzeba zapłacić 511 zł, za 64 GB – 899 zł, 128 GB – 1199 zł, a za maksymalną pojemność 512 GB – ok. 2,1 tys. zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl f8bc18ad72

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Dąbrówno – pułapka na króla

JACEK KOMUDA

Dąbrówno na Mazurach, niegdyś Gilgenburg, położone w malowniczym miejscu, bo pomiędzy dwoma jeziorami – Dąbrową Wielką i Dąbrową Małą – mogłoby zostać swoistą wizytówką regionu, jak Mikołajki czy Olsztyn. Mogłoby, gdyby nie to, że w swej historii było kilkakrotnie zdobywane i palone; a każda z tych krwawych rzezi wywoływała takie zniszczenia, że miasto zatrzymywało się w rozwoju na całe dziesięciolecia. Dziś tylko pozostałości murów i dawnych budowli, zaskakujące w zwykłej, mazurskiej wiosce, pokazują chwalebną przeszłość dawnego miasteczka, założonego przez Krzyżaków na ziemi pruskiego plemienia Sasinów. Osady, która na początku XIV w. uzyskała prawa miejskie i wzbogaciła się o własny zamek; wkrótce powstały tu drewniany kościół i szkoła miejska. Dawny Gilgenburg rozwijał się szybko, znajdował się bowiem na szlaku handlowym prowadzącym z ziem mazowieckich do Malborka i Elbląga. Niestety, ten właśnie trakt stał się przyczyną pierwszego nieszczęścia. 13 lipca 1410 r. pod miasto podeszła ogromna armia polsko-litewska króla Władysława Jagiełły dążącego do rozprawy z zakonem krzyżackim, do której doszło zresztą dwa dni później pod Grunwaldem, z wiadomym skutkiem.

RYS. QBA

Dąbrówno, które miało mury miejskie, zamek wójta krzyżackiego i silną załogę, stało się przeszkodą na drodze sił Korony i Litwy, dążących do uderzenia w samo serce państwa zakonnego. Kiedy bowiem nasze chorągwie podeszły wcześniej pod Kurzętnik, okazało się, że jest on obsadzony, a bród ufortyfikowany przez Krzyżaków. Na naradzie postanowiono zatem odskoczyć na południowy wschód, w stronę Lidzbarka i Działdowa, aby ominąć błotnistą Drwęcę i znowu skierować się na północ – w stronę Malborka. Droga wypadła przez Dąbrówno, na nieszczęście dla miasta. Król Władysław Jagiełło bowiem – jak podaje „Kronika konfliktu" – od razu wydał rozkaz zdobycia miasteczka.

Wojska sprzymierzonych rozpoczęły szturm wieczorem 13 lipca. Miasto było silnie ufortyfikowane, jednak przeciwnik miał ogromną przewagę liczebną. Według ostrożnych szacunków Andrzeja Nadolskiego armia polsko-litewska liczyła co najmniej 30 tys. ludzi. Dlatego po trzygodzinnym szturmie Polacy i Litwini wdarli się na mury, bez litości wycinając obrońców i mieszkańców; wielu pochodziło z terenów Polski, nikt jednak na to nie patrzył. Zdobyto ogromne łupy, w tym zapasy żywności. Znaczna część mieszczan zginęła w pożarze miasta, które podpalono. Według niektórych przekazów wybici zostali w kościele, jednak badania archeologiczne nie potwierdzają tego; nie znaleziono bowiem ich szczątków. Według przekazów źródłowych rzeź była okrutna – zginęli wszyscy mieszkańcy i załoga, ocaleli jedynie ci, którzy zdołali uciec łodziami na jedno z dwóch jezior. Szturmujący Dąbrówno rycerze lub być może ich czeladź podpalili domy, powodując ogromny pożar; zapewne z jego powodu w miasteczku przetrwały tylko nieliczne pamiątki z okresu średniowiecza. Ogień strawił przede wszystkim domy mieszczan zbudowane z pruskiego muru. Zamek zrujnowany został zaś aż do tego stopnia, że odbudowano go dopiero na początku XVI w., później przebudowany został przez rodzinę Finckensteinów, pod koniec kolejnego stulecia na barokową rezydencję. Obecny zaś jego stan trwałej ruiny zawdzięczamy działaniom armii sowieckiej w 1945 r.

Niespodziewanie płonące Dąbrówno stało się pułapką dla armii sprzymierzonych. Pożar zaalarmował przebywające w okolicy wojska krzyżackie, a jednocześnie trwał aż do świtu 14 lipca. Droga przez miasto została zaś zablokowana przez zgliszcza i zwały gruzów; bez wątpienia zatem intencją Władysława Jagiełły nie było podpalenie miasta, a tylko jego zdobycie. Teraz armia polsko-litewska stanęła przed przykrym faktem, że trasa marszu na Malbork ciągle była przegrodzona – tym razem przez pogorzeliska po zdobytym mieście. Na kolejnej naradzie postanowiono zatem jeszcze raz spróbować iść na wschód, aby uniknąć przemarszu przez niebezpieczny przesmyk pomiędzy jeziorami.

Prawdopodobnie w obozie pod dogasającym Dąbrównem król wraz z dowództwem podjął decyzję stoczenia walnej bitwy; postanowiono następnego dnia wyruszyć traktem do Turowa, aby zmusić Krzyżaków do stawienia czoła potężnej armii. Doprowadziło to do spotkania armii na polach sławetnego Grunwaldu.

Dzisiaj jednak w Dąbrównie oglądać można tylko nieliczne zabytki i pamiątki z tego okresu czasu: basztę i fragment murów przy kościele ewangelicko-metodystycznym, ruiny zamku i ogólny, średniowieczny układ uliczek wokół rynku. Miasteczko nigdy bowiem nie odzyskało poprzedniego znaczenia. ©℗

eprasa.pl f8bc18ad72

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Lipcowe smaki

Wszystko, co najsmaczniejsze i najlepsze w kuchni, mamy w lipcu. Już pojawiły się wspaniałe żółtozłote kurki, najbardziej soczyste cukinie, najsmaczniejsze maliny, czereśnie, wiśnie, no i oczywiście bardzo pożywny bób. Mamy w Polsce trzy podstawowe odmiany wiśni. Są to: czerechy, szklanki oraz wiśnie czarne. Oczywiście najsmaczniejsze do jedzenia to czerechy, czyli połączenie wiśni z czereśnią, a najlepsze na sok są wiśnie czarne, które mają najbardziej intensywny kolor i doskonale nadają się do przetworów. My jak co roku zamkniemy w szklanych słoikach odrobinę wiśniowego lata.

W ostatni weekend pod Warszawą niedaleko Tarczyna odbył się festiwal miłośników zdrowego surowego jedzenia. Witariada organizowana już po raz kolejny pokazuje, jak dużym zainteresowaniem cieszy się tematyka zdrowego odżywiania i dbałości o zdrowie. Myślą przewodnią festiwalu jest żywność surowa, nieprzetworzona, naturalna. Witarianie opierają swoją koncepcję żywienia na holistycznym podejściu, łącząc aspekt zdrowotny, ekologiczny i etyczny zarazem. Witarianie jedzą głównie rośliny i owoce nieprzetworzone termicznie, orzechy, nasiona, kiełki oraz algi. A do tego „zero waste", czyli nic nie marnujemy, wszystko wykorzystujemy.

Teraz, latem, kiedy jest upalnie, szczególnie cenimy sobie lekkość i prostotę posiłków, często w kuchni wykorzystujemy cukinię lub kabaczka, które są dietetyczne, lekkostrawne i zarazem odżywcze. Dla miłośników eksperymentów w kuchni możemy przygotować makaron bez mąki – z cukinii możemy zrobić makaron, wykorzystując do tego obieraczkę do warzyw ze specjalną końcówką albo spiralizer krajalnicę, dzięki której uzyskamy efekt cienkiego makaronu. Taki makaron możemy zjadać na surowo z dodatkiem sosu pomidorowego lub warzywnego. My nie do końca jesteśmy zwolenniczkami przejścia całkowicie na surową dietę; według nas surowe dodatki są idealnym uzupełnieniem naszej tradycyjnej diety. Jak zawsze do wszystkiego podchodzimy z pewną ostrożnością, a także z ciekawością i zaufaniem, że wszystko, co jemy, ma nam służyć.

Spaghetti z cukinii

(potrzebujemy temperówki do warzyw lub obieraczki, lub spiralizera)

• 2 średnie cukinie • sól, pieprz • pomidory (najlepsze dojrzałe malinowe) • cebula czerwona lub cukrowa • ząbek czosnku • ½ szklanki oliwy z oliwek • natka pietruszki i bazylii • sok z cytryny • ocet balsamiczny

Cukinię myjemy, obieramy ze skórki (nie musi być dokładnie) i za pomocą temperówki robimy cieniutki makaron; odstawiamy, posypujemy solą. Po chwili, kiedy cukinia puści już wodę, delikatnie odciskamy. Przekładamy na talerz. Na rozgrzanej patelni podgrzewamy oliwę, dodajemy przecisnęły czosnek i pokrojone pomidory, sól, pieprz i bazylię. Wszystko razem mieszamy i podsmażamy kilka chwil.

Odstawiamy, dodajemy ocet balsamiczny. Przekładamy na talerz z cukinią, posypujemy natką. Smacznego! ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Armani 90

W modzie licznik czasu kręci się szybciej. Ale nawet tu 90 lat nie musi oznaczać wieku sędziwego. Dowodem włoski kreator Giorgio Armani, który w granatowym T-shircie, z opaloną twarzą i młodzieńczą sylwetką wygląda na 20 lat mniej.

To człowiek, który zmienił nasz sposób myślenia o modzie. Oczyścił horyzont z posthipisowskiej, pełnej ozdóbek estetyki lat 70. Zredukował ubranie do czystej formy, używając najpiękniejszych tkanin. Zawdzięczamy mu minimalizm, którego jest jednym z ojców założycieli i któremu pozostał wierny do dziś. Matthieu Blazy, dyrektor artystyczny marki Bottega Veneta, zapytany, czy można obecnie oprzeć styl na trwaniu, odpowiedział: „Spójrzcie na Armaniego". Wymowne.

Giorgio urodził się w Piacenzy w północnych Włoszech, dwa lata studiował medycynę, potem był dekoratorem wystaw w domu towarowym Rinascente. Własny biznes otworzył w roku 1970 z partnerem i wspólnikiem Sergiem Galeottim. Zaczął od mody męskiej. Miękkie garnitury, bez struktury, luźne w ramionach stały się wielkim hitem najpierw we Włoszech.

Międzynarodową karierę zapewnił im Richard Gere, który zagrał w nich w filmie „American Gigolo" w 1981 r. Armani został bohaterem mediów. Magazyn „Time" poświęcił mu w 1982 r. okładkę – pierwszemu po Diorze projektantowi mody, któremu się to udało. Wkrótce Giorgio otworzył dział damski.

Jego marka stała się najbardziej pożądanym logo lat 90. Kobiety marzyły o niedościgle skrojonych żakietach bez koloru i srebrzystych sukniach wieczorowych. Sukces zachęcił projektanta do otwarcia kolejnych linii. Powstawały kolejno Emporio Armani, Armani Jeans, Armani Exchange, Armani Casa. Linia dla domu to synteza eleganckiej, wyciszonej estetyki Armaniego. Kto widział meble z tej linii, musi przyznać, że minimalizm odmienił nie tylko nasze ubrania, lecz także nasze mieszkania.

Chociaż lata świetności Armani ma za sobą, to jego biznes kwitnie. Dwaj odwieczni konkurenci – Versace i Valentino – przestali mu zagrażać. Versace nie żyje, Valentino Garavani przeszedł na emeryturę. Tak naprawdę trzej tytani mody włoskiej nigdy ze sobą nie konkurowali, każdy zajął inny kawałek terytorium. Versace grał na przepychu, a Valentino ubierał damy w czerwone suknie na czerwone dywany. O tym, że nie przepadali za sobą, wiedzieli wszyscy, ale dla dobra jedności mody włoskiej przeciw dyktatowi Paryża postanowili się pogodzić.

Mamy swój wkład w propagowanie tego kreatora. „Tani Armani" jako reklama lumpeksu to dowód, że gwiazdora mody naprawdę obdarzamy szacunkiem. ©℗

eprasa.pl f8bc18ad72

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Wścibskie media

Dziś będzie o tym, że podglądają. Media. Mamy dwa spektakularne przypadki, pewnie jest ich więcej, ale nie upublicznionych. Oto w marcu 2022 r. poseł – wtedy Solidarnej Polski, dziś już w PiS – Janusz Kowalski został wyproszony z telewizyjnego studia za złe zachowanie. Ale po opuszczeniu studia przez krewkiego posła okazało się, że we wzburzeniu biedaczek zapomniał ze studia zabrać swoje notatki. Te wypłynęły od razu w „wolnych mediach" i mogliśmy zaglądnąć do narracyjnej kuchni. Poseł sobie tam napisał najważniejsze tezy, parę bon mocików i główne odpornościowe wątki na przewidywane ataki adwersarzy. Normalka.

Zrobiono z tego publiczną bekę na posła, że tak to sobie poukładał. No, śmiechu było co niemiara. Ale niewielu zapytało się, czy to wypada, czyli jak daleko media mogą zaglądać za kulisy. Jestem pewien, że gdyby taki numer przyszłym emisariuszom uśmiechniętej Polski wywinęła np. wtedy PiS-owska TVP, to mielibyśmy gęganie autorytetów o upadku morales i że ten straszny PiS przed niczym się nie cofnie. A więc gdzie się może skończyć ingerencja w prywatność namaszczonych na obciachowców? Notatki to pestka. A może podsłuchać, nagrać i puścić, jak sobie taki ćwiczy przed lustrem wymowę najlepszych kawałków? W kiblu?

Ostatnio tak „przyłapano" Obajtka. Oko kamery uzbrojone w teleobiektyw wyłowiło ręczne transkrypcje fonetyczne przy anglojęzycznych wyrazach, które sobie były prezes wypisał. No, ubaw jak diabli. Przypominało to częste screeny fonetycznych zapisów dancingowych śpiewaków, które przewijają się po Internecie, dając powód do beki z „niewykształconych z mniejszych ośrodków". Ale i ten przykład pokazuje dwoistość podejścia w zależności od tego, kogo takie odkrycie dotyczy. Kiedy przyjechał do nas zespół Metallica, który ma w zwyczaju zaśpiewać jakąś lokalną piosenkę w oryginale, ktoś zwinął i opublikował ich fonetyczny zapis wykonanego podczas koncertu „Snu o Warszawie" Niemena. Wtedy to był powód do uśmiechniętej dumy, kiedy mogliśmy obejrzeć te gryzmoły fonetycznej męki Hetfielda z Metalliki z językiem Jana z Czarnolasu.

Zgnijących nudą komisji zostanie już tylko to – beka z fonetycznego zapisu angielskich nazw tourettowca z Pcimia. Nic o tym, co – niby – miało być istotą przesłuchania prezesa Orlenu, którego pytano o menu w stołówce pracowników zatrudnionych przez Hyundaia. Kolejny żenujący spektakl nieistotności, którą zajmuje się polska polityka. Niestety, wraz z częścią swego elektoratu, który – jak widać – lubi taką jarmarczność. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Niedotrzymana umowa pokoleń

Poseł niemieckiej FDP (partia uznawana za reprezentacje biznesu i pracodawców) Lukas Köhler postuluje odejście od ośmiogodzinnego dnia pracy. Nawołuje do wprowadzenia elastycznych godziny pracy, uzasadniając to nowymi technologiami, e-zatrudnieniem i troską o wygodę pracowników. Niestety, nie o pracowników tu chodzi. W tle jest gorzka prawda, którą bez ogródek ujawniają inni partyjni koledzy Köhlera. Niż demograficzny dotkliwie uderza w rynek pracy, więc aby nie wyhamować gospodarki, konieczne są odważne, choć bolesne decyzje. Związki zawodowe wiedzą, że odejście od ośmiogodzinnego dnia pracy de facto zniesie ochronę pracowników, więc oprotestowały ten postulat. Odrzucają również zachęty finansowe za wydłużenie dziennego czasu pracy. SPD widzi problem, choć postuluje w pierwszej kolejności reformę systemu emerytalnego, zachęcając seniorów do późniejszego przejścia na emeryturę.

Dyskusja w Niemczech trwa, a istotę najprościej wyraziła znana niemiecka ekonomistka prof. Monika Schnitzer: „Pokolenie wyżu demograficznego nie dotrzymało części umowy pokoleniowej. Opłacali emerytów ze swoich składek. Ale nie mieli i nie wychowali wystarczającej liczby dzieci, które później płaciłyby wystarczające składki". Profesor Schnitzer zatrzymuje się tu w swojej diagnozie, więc dopowiem za nią. Pokolenie wyżu demograficznego to pokolenie rewolty hipisowskiej, które wcieliło w życie postulaty rewolucji seksualnej z powszechną antykoncepcją, aborcją, plagą rozwodów i na koniec – nobilitacją politycznego ruchu homoseksualnego. Tu są prawdziwe powody niedotrzymania tej części umowy społecznej. Przynajmniej ktoś wreszcie to powiedział.

Czy Polacy mogą się czegoś nauczyć, spoglądając za płot sąsiada? Patrząc na koalicję – na pewno nie. Wprawdzie „za pierwszego Tuska" rząd podniósł wiek emerytalny, a Michał Boni zaganiał sześciolatki do szkół, żeby wcześniej wypuścić jeden rocznik na rynek pracy, ale było to tylko leczenie objawów, bo prawdziwej przyczyny nikt nie chce dotknąć. Zjednoczona Prawica w pierwszym roku rządów tak bardzo wystraszyła się czarnych protestów, że od tej pory jak ognia unikała sporu światopoglądowego, np. namawiając samorządy, by wycofały uchwały „antygender". Dziś koalicja rywalizuje na najdrastyczniejszy projekt aborcyjny, przygotowuje ustawę o związkach partnerskich, a do szkół ma wrócić deprawacyjna wersja seksedukacji. Od tego dzieci nie przybędzie. Niemiecka ekonomistka przypomina, że istnieje coś takiego jak (niepisana) umowa pokoleniowa. Na odwrócenie depresji demograficznej pewnie jest za późno, ale nawet gdyby… Kto i z kim miałby się dziś w Polsce umawiać? ©℗

eprasa.pl f8bc18ad72

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Giertycha z rzędem...

Radosław Sikorski odebrał w Londynie w imieniu premiera Tuska prestiżową podobno nagrodę Chatham House. Stop. Teraz najciekawsze: została ona przyznana m.in. „w uznaniu niezachwianego zaangażowania w przywracanie demokracji w Polsce". Angielski humor, Monty Python Reaktywacja. Stop.

Profesor prawa z antypodów, znaczy Wojciech Sadurski, jako coś w rodzaju eksperta rzekł w TVN z pełnym przekonaniem, że obrońcy Romanowskiego, tego od Funduszu Sprawiedliwości, to się strasznie ośmieszą, jak spytają, czy on ma immunitet Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, bo oczywiście nie ma i ha, ha, ha, i można go aresztować. Stop. Okazało się, że szef tego Zgromadzenia napisał, że oczywiście Romanowski immunitet ma i nie można go aresztować (pisał bez ha, ha, ha). Stop. Jak ustaliliśmy Sadurski naprawdę wykładał prawo w Australii i naprawdę mu za to płacili. Stop. Antypody, czyli wszystko postawione na głowie.

Dowcip polityczny ma się nieźle. Stop. Po tym, jak po kolei wypuszczano Mariusza Kamińskiego, Michała Wąsika i teraz Marcina Romanowskiego, próbka najnowszego politycznego witza. Stop. Co najlepiej wychodzi Tuskowi? PiS-owcy z aresztów. Stop.

Joe Biden przeszedł pozytywnie pierwszy od dawna test. Stop. Jak poinformował na platformie X, ma COVID i zawiesza kampanię. Stop.

W ramach rozmów wewnątrzkoalicyjnych Ryszard Petru (Trzecia Droga) napisał w mediach społecznościowych: „Obniżamy składkę zdrowotną. Obiecaliśmy i realizujemy". Stop. Na co w ramach konsultacji wewnątrzkoalicyjnych Anna Żukowska (Lewica) odparła w tychże mediach: „Niczego nie obniżacie, żaden normalny minister finansów nie zgodzi się na 64 mld zł luki z powodu Pańskich fantazji. Proszę nie okłamywać ludzi, to nie jest projekt rządowy". Stop. Jak widać, mimo pewnych drobnych tarć rządzenie Polską przekazaliśmy w dobre ręce. Stop.

Teraz będzie o polskim prawie, proszę się trzymać. Stop. Roman Giertych, którego chce przesłuchać prokuratura w sprawie wyparowania ponad 90 mln zł, nie stawia się do prokuratury, ale jednocześnie współpracuje z prokuraturą w charakterze jakby chyba prokuratora w sprawie Funduszu Sprawiedliwości. Stop. Wydaje się, że Giertych, który jest obrońcą Pana Kleksa, czyli skruszonego Mraza, nie powinien mieć dostępu do materiałów tego śledztwa prokuratorskiego. Stop. Pytanie, czy Giertych, który według niektórych prokuratorów ma już postawione zarzuty w sprawie karnej, a według innych zaraz powinny mu być postawione, jest idealną dla tego idealnego rządu osobą walczącą z aferami? Stop. Giertycha z rządem temu, kto powie, że wszystko pataj. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Kotka na gorącym dachu

Zaskakujące informacje o działaniach amerykańskiej Secret Service przynoszą niemal codziennie światowe media. Jak poinformowała dziennikarzy dyrektor tej służby, pani Kimberly Cheatle, już przed postrzeleniem Donalda Trumpa zamachowiec został zidentyfikowany jako osoba „potencjalnie podejrzana". Podejrzenia te nie przerodziły się jednak w skuteczne działania. W nieco dziwny sposób wytłumaczyła pani dyrektor brak zabezpieczeń na dachu, z którego oddano strzały. „Ten akurat budynek miał pochyły dach w swoim najwyższym punkcie. Tak więc, jak wiadomo, są względy bezpieczeństwa, które powinny być uwzględniane, i właśnie z tego powodu nie chcieliśmy umieszczać nikogo na tak pochyłym dachu" – powiedziała Kimberly Cheatle w wywiadzie dla ABC News. „Dlatego podjęto decyzję, by zabezpieczyć ten budynek tylko od środka".

Jeśli, zdaniem dyrektor Secret Service, pochyłe dachy stanowią dla jej agentów zagrożenie tak poważne, to ich kondycja i wyszkolenie odbiegać muszą od stanu, który pokazują nam hollywoodzkie filmy akcji.

Jak donoszą brytyjski dziennik „The Telegraph" oraz stacja telewizyjna Fox News, oficerowie policji zauważyli kręcącego się na miejscu zamachu podejrzanego mężczyznę z dalmierzem na długo przed rozpoczęciem przez Trumpa wyborczego przemówienia. Policjanci donieśli o tym swoim przełożonym, którzy wszczęli dyskusję, czym różni się dalmierz od niewinnej lornetki, przydatnej do oglądania atrakcji na świeżym powietrzu. Nim kwestię tę rozstrzygnięto, padły strzały. Zdaniem dziennikarzy zamachowiec mógł być pod obserwacją agentów Secret Service i policji stanowej przez ostatnie 30 minut, zanim o mało nie zastrzelił Donalda Trumpa.

W kwietniu tego roku grupa demokratycznych polityków wniosła pod obrady Kongresu ustawę, która w ogóle pozbawić miała Donalda Trumpa ochrony Secret Service w razie skazania byłego prezydenta w toczącym się przeciw niemu procesie karnym. Jeden z inicjatorów ustawy, członek Izby Reprezentantów Steve Cohen, pisał niedawno o Trumpie na platformie X: „Jak wiadomo, Trump przez lata trzymał na przy swoim łóżku »Mein Kampf«. Niestety, najwyraźniej także ją czytał". „To nie przypadek, że Trump czerpie swój przekaz bezpośrednio z rasistowskiego, antyżydowskiego podręcznika nazistów. To nigdy nie jest przypadek".

Prezydent Joe Biden uznał już własne słowa o wzięciu Trumpa „na celownik" za niewłaściwe. Jego wezwania do narodowej jedności mogą być w oczach wielu Amerykanów nie tylko nieco spóźnione, lecz także mało wiarygodne. ©℗

eprasa.pl f8bc18ad72

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Komu Soso zrobił kuku?

Oprócz Melanii Kierczyńskiej panoszyła się też w Związku Literatów kolejna ważna „ciotka rewolucji" – babcia Helena Bobińska (1887–1968), fanatyczna stalinówka, sowiecka Polka, jak ją nazywano, autorka sławetnej, wydanej w 1953 r. hagiograficznej książki „Soso. Dziecięce i szkolne lata Stalina". Jak większość ciot rewolucji była pochodzenia żydowskiego, a jej rodzina należała do komunistycznej elity. Jej brat, Julian Brun, oraz mąż, Stanisław Bobiński, byli ważnymi figurami nie tylko w KPP, Komunistycznej Partii Polski, lecz także w Międzynarodówce i Kominternie. Stanisław Bobiński został także członkiem zdradzieckiego „rządu" Marchlewskiego i Dzierżyńskiego, szykującego się na probostwie w Wyszkowie do objęcia władzy w Polsce po zwycięstwie bolszewików. W sierpniowej bitwie roku 1920 przepędził ich jednak Cud nad Wisłą. W 1939 r., po napaści Niemiec na Polskę, Bobińscy razem z ich córeczką uciekli do swego „raju", czyli Związku Sowieckiego. Zamieszkali w Moskwie, w tzw. małym Kremlu, domu dla polskich komunistów. Stanisław Bobiński szybko jednak zostawił żonę i córkę dla młodszej, atrakcyjnej komunistki Jadwigi Siekierskiej, absolwentki filozofii Instytutu Czerwonej Profesury.

Obsesyjnie podejrzliwy Stalin nie miał zaufania do polskich komunistów, szpiegów według niego, rozwiązał więc KPP, a podczas wielkich czystek roku 1937 wymordował większość z nich, m.in. Stanisława Bobińskiego, Brunona Jasieńskiego, Adolfa Warskiego. Represjonowano też ich rodziny, do łagru na Syberii zesłano więc obie żony Bobińskiego, a do przytułku dla dzieci wrogów ludu jego córkę, którą miał z Bobińską. Trafiły tam również dzieci siostrzenicy Heleny Bobińskiej, komunistki, jak wszyscy w tej rodzinie, Celiny Budzyńskiej, wdowy po zamordowanym w 1937 r. Stanisławie Budzyńskim. Została zesłana do łagru na osiem lat. Bobińska i Siekierska znalazły się w jednym łagrze, spały na jednej pryczy, zaprzyjaźniły się. Po sześciu latach odsiadki wyciągnęła je stamtąd wpływowa Wanda Wasilewska. Bobińska zabrała z przytułku swoją zawszoną i obdartą córkę, wróciła z nią w 1945 do Polski, gdzie została oddelegowana. Na odcinek młodzieżowy.

Książki Bobińskiej miały sowietyzować polską młodzież. Propagowały organizację, którą zastępowano likwidowane wtedy harcerstwo

Wstąpiła do Związku Literatów i do partii, żeby – jak z dumą podkreślała – znów budować komunizm. Twierdziła, że to, co przeszli jej rodzina i jej towarzysze, było pomyłką, robotą Berii, Trockiego, wrogów Stalina, który o tym wszystkim nie wiedział, bo na pewno by do tego nie dopuścił. A poza tym gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, rewolucja wymaga ofiar, idea komunizmu jest piękna, trzeba tylko więcej pracować nad jej wykonaniem. „Ta głupia starucha tak mnie prowokacyjnie irytuje, że z trudem trzymam się na wodzy, żeby jej grubo nie nawymyślać" – pisała po jej wystąpieniach Maria Dąbrowska.

Książki Bobińskiej miały sowietyzować polską młodzież. „Pionierzy", „Sąd pionierów" propagowały organizację, którą zastępowano likwidowane wtedy harcerstwo. „Lipniacy" – młodzieżowy kolektyw, „Wielki wychowawca mas" – Dzierżyńskiego, „Zemsta rodu Kabonauri" – zmiany dokonane przez rewolucję październikową. Soso natomiast pokazał przede wszystkim, że jego autorka to umysł zniewolony, bo mimo swoich traumatycznych doświadczeń budowała kult tyrana, napisała agitkę, totalitarną baśń, przedstawiającą go jako ateistycznego świętego. Mały Soso był we wszystkim najlepszy – w nauce, w grupie rówieśników i niczym Jezus w świątyni nauczał, że religia to zabobon, organizował robotnicze bunty. Książka miała trzy wydania, każde w 100 tys. egzemplarzy, tłumaczenia na wiele języków, m.in. bengali. Bobińska dostała za nią Nagrodę Państwową i członkostwo w PEN Clubie.

Ale jej triumf nie trwał długo. Po referacie Chruszczowa o zbrodniach Stalina i Październiku 1956 Soso wycofywano z księgarń i bibliotek, zwożono na makulaturę. Kpiono więc z nietykalnej dotychczas Bobińskiej w żywe oczy, pytano, kiedy wyda drugą część pt. „Komu Soso zrobił kuku" albo „Soso jest be!". „W każdej chwili Dżugaszwili" – mówiono o niej, powtarzano też fraszkę Leca: „Gdyby nie Soso / chodziłaby boso". „Pozostała ortodoksyjną wyznawczynią rosyjskiego komunizmu. Tak jak bojarowie dręczeni przez Iwana Groznego, którzy upadali przed nim na twarz i wielbili go [...]. Naród rosyjski nigdy nie zazna wolności, jego istotą jest cześć bałwochwalcza dla wszelkiej silnej władzy" – pisała o sowieckiej Polce Maria Dąbrowska. ©℗

eprasa.pl f8bc18ad72

BÓG

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Doniesienia i rozmowy na temat zamachu na Trumpa są radykalnie odmienne w Polsce i w USA. W USA zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy Trumpa mówią o cudzie ocalenia. I nie chodzi o cudowny, czyli nieprawdopodobny przypadek, że kula przeszła obok i zawadziła ucho, a nie wbiła się w mózg. Nie chodzi o to, że Trump akurat przypadkiem lekko przekręcił głowę i dlatego żyje. W USA ludzie, politycy i media mówią wprost o boskiej interwencji.

Zacznijmy od samego Trumpa, który nie jest osobą mocno religijną, a jednak napisał, że ocalił go Bóg, nikt inny: „It was God alone…".

W takim tonie – z Bogiem w roli głównej – są utrzymane oficjalne wypowiedzi na ten temat płynące z ust szeryfów prowadzących dochodzenie, przedstawicieli FBI, wypowiedzi polityków republikańskich, oświadczenia Joe Bidena i oficjalne komunikaty Białego Domu.

Jedno z przemówień na Konwencji Partii Republikańskiej zawierało następujące stwierdzenia: Diabeł przyszedł do Pensylwanii, trzymając karabin. Bóg odsunął kulę. Polskie media unikają cytowania takich rzeczy, bo się chyba dziennikarzom wydaje, że w Ameryce wszyscy nagle zdewocieli w wyniku szoku i gadają jak nawiedzeni. Otóż nie! W Ameryce tak było zawsze.

***

W USA rozmowa o Bogu jest tak samo normalna i częsta jak rozmowy o pogodzie, o zdrowiu czy o planach wakacyjnych – jeden z kilku tematów potocznych. Gdy w restauracji rodzina pochyla głowy i zmawia na głos modlitwę przed posiłkiem, nikt się nie gapi, nikt nie dziwi – modlitwa publiczna to nic egzotycznego. W Ameryce nie istnieje pogardliwe określenie „moher".

Gdy w Polsce ktoś zaczyna mówić o Bogu poza kontekstem „dopuszczalnym", czyli typowo kościelnym, pielgrzymkowym czy oazowym, inni uczestnicy rozmowy czują się niezręcznie. Modlitwa przed posiłkiem w restauracji odebrana byłaby jako dziwactwo, dewocja, przesada – niech się modlą w domu, a nie na mieście, przy obcych ludziach. No i mamy w języku polskim całą serię antyreligijnych epitetów – ja np. jestem „katotalibem" i gdybym chciał to przetłumaczyć, aby jakoś opowiedzieć moim kumplom z Arizony, to… nie ma na to słów w języku amerykańskim, bo tu nikt nie gardzi religijnością innych. Mogą być innego wyznania – ja katolik, oni baptyści – lub mogą być niewierzący, ale nawet tacy mają ogólne poszanowanie Boga wyuczone kulturowo.

W USA Bóg (ten Jedyny, chrześcijański) jest wpisany w dokumenty założycielskie kraju, w Deklarację niepodległości, konstytucję, jest widoczny na gmachach i w dokumentach rządowych, a nawet drukowany na pieniądzach. Nie „jakiś" ogólny Bóg, ale TEN konkretny.

***

Opowiem teraz państwu o tym zamachu po amerykańsku. Myśmy to tutaj oglądali na żywo (w Europie ludzie wtedy już spali). A potem całą noc i dwa kolejne dni oglądaliśmy powtórki i zdjęcia. Odbiór polityczny tego zdarzenia był stale obecny gdzieś w tle, ale drugorzędny, a pierwszoplanowe skojarzenia, spostrzeżenia i reakcje dotyczyły nienaturalnej, boskiej interwencji w życie Ameryki i świata.

Fotografię z uniesioną pięścią państwo znają. Cały świat ją zna i ma w oczach. Okrwawiony Trump wstaje, oblepiony agentami ochrony, na niebie amerykańska flaga, a Trump woła: WALCZ, WALCZ, WALCZ. Ale jest też kilka innych fotografii, które myśmy tu widzieli, powtarzanych wiele razy w nocy po zamachu. Jedna z nich przypomina plakat do filmu „Pasja" Mela Gibsona. Ktoś zrobił zdjęcie pod mównicą: Trump powalony, przykryty ciałami agentów, ma twarz tuż przy ziemi, krew kapie, usta lekko rozchylone, a prawa dłoń ułożona jak do modlitwy. To wygląda jak upadek Chrystusa pod krzyżem i takie budzi skojarzenia. Na innym zdjęciu Trump ma na twarzy dwie krwawe rysy, które każdemu Polakowi kojarzą się natychmiast z wizerunkiem MB Częstochowskiej.

Wątek maryjny pojawił się w komentarzach po zamachu od razu: zamach na papieża Jana Pawła II miał miejsce 13 maja 1981 r. – w rocznicę pierwszych objawień fatimskich. Zamach na Donalda Trumpa był w sobotę (dzień maryjny) 13 lipca – w rocznicę trzecich objawień fatimskich. W obu przypadkach mówimy o cudzie uratowania życia, a nie o przypadku.

Trzecie objawienia fatimskie to te, gdy Maryja ponowiła prośbę o codzienne odmawianie Różańca, by prosić o pokój na świecie i zakończenie wojny. Podczas tego objawienia ujawnione zostały „tajemnice fatimskie". Matka Boża zapewniła, że dzięki kultowi Niepokalanego Serca wiele dusz uniknie potępienia. Poinformowała, że konieczne jest poświęcenie Rosji Niepokalanemu Sercu Matki Bożej i Komunia św. wynagradzająca w pierwsze soboty miesiąca. Jeżeli te życzenia zostaną spełnione, to Rosja nawróci się i zapanuje pokój; jeżeli nie, to „bezbożna propaganda rozszerzy swe błędne nauki po świecie, wywołując wojny i prześladowanie Kościoła. Niektóre narody zginą". Na koniec jednak zapewniła: „Moje Niepokalane Serce zatriumfuje".

***

Tuż przed zamachem ksiądz katolicki Jason Charron na prośbę ludzi z kampanii udzielił Trumpowi błogosławieństwa. Następnie z grupą ludzi modlił się o jego bezpieczeństwo. Powiedział do nich: „Modliłem się o jego bezpieczeństwo, ale wy też się módlcie, bo chcą go zabić". A po zamachu: „Nie przyszedłem na wiec, by go kanonizować czy rozgrzeszać z jego wielu wad" – wyjaśnił ksiądz, wskazując na niedawne proaborcyjne uwagi Trumpa. „Byłem tam zachęcić go, żeby budował na zwycięstwach pro-life ze swojej pierwszej kadencji".

W przypadku takim jak ten – gdy ktoś został cudownie uratowany od śmierci – nie należy pytać dlaczego, ale po co. W jakim celu zostałem ocalony? Ocaliłeś, Boże, dziękuję, a teraz powiedz mi, co mam dla Ciebie zrobić. ©℗

eprasa.pl f8bc18ad72

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

STEPHEN J. ROSSETTI: „DZIENNIK AMERYKAŃSKIEGO EGZORCYSTY"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~874 ZŁ~~

402,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 472 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f8bc18ad72

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

TEKSTY Z DODATKÓW SPECJALNYCH TYGODNIKA „DO RZECZY": „PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ" + „PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~711 ZŁ~~

249,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 462 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f8bc18ad72